

Szcześliwy powrót

C. S. FORESTER



calibre 0.7.3

C. S. FORESTER

Szczęśliwy powrót

„WYDAWNICTWO MORSKIE” GDAŃSK

„TEKOP” GLIWICE

1991

Tytuł oryginału angielskiego

The happy return

Tłumaczyła z angielskiego Henryka Stępień

Redaktor

Alina Walczak

Opracowania graficzne Erwin Pawlusiński Ryszard Bartnik

Korekta

Teresa Kubica

© Copyright for the Polish edition, by Wydawnictwo Morskie 1974

ISBN 83-85297-40-5

Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1991

we współpracy z „Tekop” Spółka z o.o. Gliwice

Bielskie Zakłady Graficzne

zam. 1721/k/91

Rozdział I

Z pierwszym brzaskiem dnia kapitan Hornblower wyszedł na pokład rufowy „Lydii”. Bush, pierwszy oficer, który właśnie pełnił wachtę, pozdrowił go bez słowa przykładając palce do kapelusza. W czasie rejsu, trwającego już siedem miesięcy bez dobijania do lądu, Bush zdążył poznać nieco upodobania i uprzedzenia swego kapitana i wiedział, że w tej pierwszej godzinie dnia nie należy odzywać się do niego ani przerywać mu toku myśli.

Zgodnie z regulaminem uświęconym tradycją w trakcie tak niewiarygodnie długiego rejsu pierwszy sternik Brown miał obowiązek pilnować, aby strona nawietrzna pokładu rufowego była już od samego świtu wycegiełkowana i wyszorowana szczotkami wodą z piaskiem. Z chwilą pojawienia się Hornblowera Bush i towarzyszący mu kadet wycofali się na stronę zawietrzną, a kapitan jak co dzień rozpoczął swoją godziną przechadzkę po odcinku pokładu długości dwudziestu jeden stóp[1] specjalnie dla niego wyszorowanym. Z jednej strony odcinek ten zamykały lawety wielkokalibrowych karonad[2] ustawionych na pokładzie rufowym, z drugiej ograniczał go rząd pierścieni, przytwierdzonych do pokładu i przeznaczonych do mocowania linobloków w czasie przesuwania dział. Tak więc przestrzeń pokładu, po której kapitan Hornblower zwykł był co rano odbywać swój godzinny spacer, miała pięć stóp szerokości i dwadzieścia jeden stóp długości.

Kapitan Hornblower przemierzał ten odcinek tam i z powrotem, tam i z powrotem. Mimo że był zupełnie zatopiony w myślach, podległa mu załoga wiedziała z doświadczenia, iż instynkt żeglarski kapitana czuwa nieustannie. Podświadomie mózg jego notował cień takielunku padający na pokład, powiew wiatru muskający policzek i najmniejszy ślad nieuwagi stojącego u steru człowieka, który otrzymywał zaraz ostrą reprymendę, o tyle ostrzejszą, że kapitan nie znosił, gdy coś zakłócało mu tok myśli o tej najważniejszej godzinie dnia. Podobnie, nie zwracając specjalnie uwagi na to, co się dzieje wokół niego. Hornblower zauważał wszystkie istotne elementy składające się na sytuację w danym momencie. Budząc się rzucał mimochodem spojrzenie na kompas kontrolny wmontowany w pokład nad koją i podświadomie stwierdzał, że okręt idzie kursem północno-wschodnim, tym samym od trzech dni. Wchodząc na pokład rejestrował w myśli — zupełnie mimo woli — że wiatr wieje od zachodu z siłą dostateczną na to, aby przy wszystkich postawionych żaglach, z bombramsłami włącznie, można było utrzymać sterowną szybkość; że niebo ma swój odwieczny błękitny kolor, morze jest spokojne niemal jak tafla, a „Lydia” wznosi się i opada łagodnym rytmem na długiej, martwej fali.

Przechadzając się po pokładzie kapitan Hornblower zauważył — a była to pierwsza świadoma myśl tego dnia — że rankiem Pacyfik, ciemnobłękitny w pobliżu burt, ku horyzontowi zmieniający swą barwę na srebrną, przypomina srebrzystość i lazur heraldycznej tarczy herbowej i w tym momencie omal nie uśmiechnął się do siebie, ponieważ podobieństwo to przychodziło mu na myśl każdego ranka w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Ta myśl, która go lekko ubawiła, nie przerwała bynajmniej nieustannej, spokojnej i szybkiej pracy jego mózgu. Hornblower spojrzał w dół trapu, na ludzi zajętych szorowaniem pokładu. Podeszedłszy ku przodowi mógł widzieć inną grupę wykonującą tę samą pracę na pokładzie głównym. Gadali jak zwykle, dwa razy dobiegł go ich śmiech. W porządku, pomyślał. Ludzie rozmawiający i śmiejący się w ten sposób nie wyglądali na spiskowców knujących bunt — a ostatnio taka ewentualność często przychodziła kapitanowi do głowy. Siedem miesięcy spędzonych w morzu pochłonęło prawie całe zapasy, jakie były na okręcie.

Tydzień temu Hornblower obciął racje wody do trzech półkwatek dziennie, a to już było za mało dla ludzi karmionych solonym mięsem i sucharami pod dziesiątym stopniem szerokości geograficznej północnej; tym bardziej że woda, trzymana w beczułkach przez siedem miesięcy, była gęsta od glonów i planktonu.

Również tydzień temu wydano resztki soku cytrynowego i trzeba się było liczyć z tym, że za miesiąc zacznie się skorbut, a nie mieli lekarza na pokładzie, bo stary Hankey zmarł za przyłaskiem Horn wskutek powikłań chorobowych wywołanych pijaństwem i kiłą. Miesiąc temu przydział tytoniu ograniczony został do pół uncji [3] na tydzień i Hornblower cieszył się teraz, że zastrzegł wyłącznie sobie pieczę nad jego rozdziałem. W przeciwnym razie ci bezmyślni głupcy zużyliby już cały zapas; a przecież marynarze pozbawieni tytoniu przestawali być załogą, której można ufać. Hornblower wiedział, że o wiele bardziej byliby zaniepokojeni brakiem tytoniu, niż są niedostatkiem opału do kuchni, mimo że z tego powodu dostają codziennie swoją soloną wieprzowinę lewie zagotowaną w wodzie morskiej.

Brak tytoniu, wody i drzewa opałowego był jednak niczym w porównaniu z wiszącą nad nimi groźbą wyczerpania się grogu. Hornblower nie odważył się dotąd obciąć jego dziennej racji i cały zapas rumu w magazynie mógł starczyć jeszcze na dziesięć dni. A na najlepszej nawet załodze na świecie nie można by polegać, jeśli by się ją pozbawiło codziennej racji rumu. Znajdowali się na Morzu Południowym i w promieniu dwóch tysięcy mil nie było żadnego innego królewskiego okrętu wojennego. Gdzieś na zachodzie leżały wyspy z romantycznych opowieści, z pięknymi kobietami i jedzeniem, które można było mieć bez pracy. Życie w szczęśliwym nieróbstwie było w ich zasięgu. Jakiś łotr lepiej poinformowany od reszty załogi mógłby napomknąć o tym. Zrazu nie daliby mu może posłuchu, ale później, bez błogosławionych południowych przerw na grog, mogliby nadstawić chętnego ucha. Od czasu gdy załoga „Bounty”, uwiedziona urokami Pacyfiku, podniosła bunt, kapitanowie okrętów jego królewskiej mości króla Anglii, których obowiązek zagnał w te strony, byli prześladowani obawą przed podobnymi wypadkami na swych okrętach.

Przechadzając się po pokładzie Hornblower raz jeszcze popatrzył uważnie na załogę. Siedem miesięcy w morzu bez żadnego kontaktu z lądem było doskonałą okazją do wytresowania tej bandy hultajów i zrobienia z niej marynarzy; lecz był to równocześnie zbyt długi okres bez żadnej rozrywki. A zatem im szybciej dotrze teraz do wybrzeży Nikaragui, tym lepiej. Wyjście na ląd rozerwie załogę; można też będzie zaopatrzyć się w wodę, świeżą żywność, tytoń i alkohol. Hornblower przebiegł w myśli swoje ostatnie obliczenia dotyczące położenia okrętu. Był pewien co do szerokości geograficznej, a obserwacja księżyca ubiegłej nocy zdawała się potwierdzać wskazania długości geograficznej na chronometrze, chociaż wydawało się rzeczą nie do wiary, aby po siedmiomiesięcznej podróży można było w ogóle polegać na chronometrach. Przypuszczalnie o mniej niż sto mil przed nimi, a najwyżej o trzysta, leży brzeg Pacyfiku i ląd Ameryki Środkowej. Oficer nawigacyjny Crystal kręcił z powątpiewaniem głową, słysząc, z jaką pewnością siebie mówił to Hornblower, ale Crystal to stary osioł, do niczego jako nawigator. W każdym razie za dwa, najpóźniej za trzy dni okaże się, kto miał rację.

Hornblower zaczął się teraz zastanawiać, jak spędzić te dwa lub trzy dni. Ludzie muszą wciąż mieć coś do roboty. Nic bardziej nie sprzyja powstaniu buntu, jak dni trawione na bezczynności. Myśl o możliwości buntu na okręcie nie przyszła Hornblowerowi ani razu do głowy w czasie

oblędnych dziesięciu tygodni, gdy lawirując nieustannie opływali przylądek Horn. Podczas wachty przedpołudniowej trzeba będzie przygotowywać ludzi do akcji bojowej i ćwiczyć ich w strzelaniu z dział, po pięć rund z każdego. Wstrząsy mogą przytłumić wiatr na jakiś czas, ale na to nie ma rady. Była to — być może — ostatnia okazja, aby poćwiczyć strzelanie, zanim trzeba będzie użyć dział w prawdziwej bitwie.

Inna jeszcze myśl przyszła kapitanowi do głowy. Pięć rund z każdego działa pochłonie przeszło tonę prochu i kul. A tymczasem już i tak po zużyciu wszystkich prawie zapasów „Lydia” płynęła pod bardzo małym balastem. Kapitan przywołał na myśl obraz fregaty na wodzie i sytuacji w magazynach okrętowych. Był już czas znów się zająć wytrzymowaniem okrętu. Gdy załoga zje obiad, on sam opuści się w łodzi na wodę i opłynie okręt dookoła. Według jego przypuszczeń „Lydia” powinna mieć teraz lekkie przegłębienie na rufę. Można by to jutro zlikwidować przesuwając dwa pierwsze działa na baku ku przodowi, na ich pierwotne pozycje. Że zaś okręt będzie musiał skrócić żagle na czas jego pobytu w łodzi, mógłby sam dopilnować wykonania tego zadania, pozostawiając Bushowi wolną rękę w ćwiczeniach na masztach. Jak przystało pierwszemu oficerowi, Bush pasjonował się tą stroną praktyki żeglarskiej. Dziś załoga mogłaby pobić swoje poprzednie rekordy, to znaczy jedenaście minut i pięćdziesiąt jeden sekund na podniesienie steng oraz dwadzieścia cztery minuty i siedem sekund na rozwinięcie wszystkich żagli, poczynając od zamocowania ustawionych steng. Hornblower zgadzał się z Bushem, że oba te czasy mogłyby być znacznie lepsze — wiele okrętów osiągało lepsze wyniki — przynajmniej tak twierdzili ich kapitanowie.

Wiatr wzmógł się nieznacznie; do uszu kapitana dobiegł szmer takielunku. Z muśnięć, jakie Hornblower czuł na policzkach i szyi, zorientował się, że kierunek wiatru musiał się przesunąć jeden, a może dwa rumby ku rufie. Właśnie gdy pomyślał, jak też szybko Bush zauważy tę zmianę, usłyszał głos wzywającego wachtę. Clay, kadet służbowy z pokładu rufowego, darł się jak opętany na bezanwachtę. Od czasu gdy okręt opuścił Anglię, głos chłopca przeszedł mutację. Teraz Clay uczył się używać go we właściwy sposób, zamiast, jak przedtem, wydawać na zmianę to piski, to skrzeki.

Hornblower przechadzał się dalej i nie widząc jeszcze z tej części pokładu, co załoga teraz robi, słuchał dobrze mu znanej sekwencji dźwięków towarzyszącej wachcie, która pędziła na rufę. Trzask i skowyt powiedziały mu, że trzcina bosmana Harrisona wylądowała na siedzeniu jakiegoś guzdrały albo pechowca. Harrison był świetnym żeglarzem, ale miał skłonność do walenia trzcina po dobrze zaokrąglonych zadach. Każdy marynarz z tyłkiem w ciasno opiętych spodniach mógł się spodziewać, że dostanie po nim z tej tylko przyczyny, zwłaszcza jeśli pech sprawił, że Harrison zastał go przy robocie wymagającej skłonu w przód.

Rozmyślenia o tej słabości Harrisona zajęły Hornblowerowi prawie tyle czasu, ile trwało wytrzymywanie żagli. Gdy marynarze skończyli, Harrison ryknął: — Tak mocować! — po czym wachta pognęła gromadą do swoich poprzednich zajęć. „Dzyń-dzyń, dzyń—dzyń, dzyń-dzyń, dzyń” — rozdzwonił się dzwon okrętowy. Siedem uderzeń na ranną wachtę. Hornblower przechadzał się znacznie dłużej niż godzinę, jak to miał w zwyczaju, toteż zaczynał czuć przyjemne szczypanie potu pod koszulą. Podeszedł do Busha, który stał obok sternika.

— Dzień dobry, panie Bush — powiedział.

— Dzień dobry, sir — odrzekł Bush, zupełnie jakby nie zauważył, że od przeszło godziny kapitan spacerował w odległości czterech jardów[4] od niego.

Hornblower spojrział na tabliczkę z wpisywanymi na bieżąco danymi do dziennika okrętowego za okres ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie było na niej nic szczególnie godnego uwagi. Nanoszone co godzina dane logu mówiły, że szybkość wynosiła trzy węzły[5], cztery i pół węzła, cztery węzły i tak dalej; natomiast z tabliczki kursowej wynikało, że okręt przez całą dobę zdołał się utrzymać na kursie północno-wschodnim. Kapitan zdawał sobie sprawę, że pierwszy oficer obserwuje go z ogromną uwagą i że z trudem powstrzymuje się od pytań, jakie chciałby mu zadać. Tylko jeden człowiek na pokładzie wiedział, dokąd „Lydia” zdąża, a tym człowiekiem był kapitan. Opuszczając port otrzymał rozkazy w zalakowanej kopercie, a gdy zgodnie z instrukcją otworzył ją, znalazłszy się pod 30° szerokości północnej i 20° zachodniej, i przeczytał jej zawartość, nie potrafił zdecydować się na to, by przynajmniej swemu zastępcy powiedzieć, jaka jest treść rozkazów. Przez siedem miesięcy porucznik Bush powstrzymywał się od zadawania pytań, lecz teraz znać było po nim, z jakim trudem mu to przychodzi.

— Hmm — chrząknął Hornblower wymijająco. Bez słowa odwiesił tabliczkę, zszedł po trapie w dół i udał się do swej kabiny.

Tajemniczość kapitana działała fatalnie na Busha. Hornblower jednak wstrzymywał się od omawiania z nim swoich rozkazów nie z obawy, że Bush wygada się przed załogą, lecz z braku zaufania do samego siebie. Gdy pięć lat temu odbywał swój pierwszy rejs jako kapitan, pofolgował swej wrodzonej rozmowności i jego ówczesny pierwszy oficer, dopuszczony przezeń do komitywy, doprowadził do tego, że on, Hornblower, nie potrafił już wydać żadnego rozkazu, zanim go z nim nie przedyskutował. Na następnym dowodzonym przez siebie okręcie Hornblower próbował ograniczyć rozmowy ze swoim pierwszym oficerem do wymogów zwykłej grzeczności, ale stwierdził, że nie umie się w tych granicach utrzymać i zawsze powie o jedno słowo za dużo, czego potem musi żałować. Bieżący rejs rozpoczął więc z mocnym postanowieniem (jak pijak, który nie ufa sobie, że potrafi pić umiarkowanie) odzywania się do swoich oficerów tylko wtedy, gdy tego będzie wymagała służba. Postanowienie to umocniło się w nim, gdy przeczytał rozkazy, które kładły nacisk na jak najdalej posunięte zachowanie tajemnicy. Przez siedem miesięcy dotrzymywał swego postanowienia; w miarę jak nienaturalna sytuacja ciążyła mu coraz silniej, stawał się coraz bardziej milczący. Na Atlantyku rozmawiał niekiedy z Bushem na temat pogody. Gdy weszli na Pacyfik, pozwalał już sobie tylko na odchrząknięcia.

Sypialnia kapitańska była małym skrawkiem przestrzeni odgrodzonym od właściwej kabiny. Połowę miejsca zajmowało działo osiemnastofuntowe; reszta była prawie całkowicie wypełniona przez koję, biurko i komodę. Steward kapitański, Polwheal, układał właśnie brzytwę i miseczkę do golenia na małej półce umocowanej pod skrawkiem lustra; sypialnia ledwie mieściła ich obu naraz. Polwheal przycisnął się do biurka, żeby przepuścić wchodzącego kapitana. Nie odezwał się ani słowem. Był to człowiek niezwykle małomówny i to był powód, że kapitan wybrał właśnie jego, by strzegł go przed rozmownością, którą grzeszył nawet w stosunku do służby.

Hornblower ściągnął z siebie wilgotną koszulę i spodnie i stanąwszy nago przed lustrem zaczął się golić. Twarz, która patrzyła nań z lustra, nie była ani ładna, ani brzydka, ani stara, ani młoda. Składała się na nią para brązowych oczu o melancholijnym wyrazie, czoło dosyć wysokie i

dosyć prosty nos; ładne usta zakrzepły w wyraz siły nabyte w czasie dwudziestu lat służby na morzu. Falujące brązowe włosy, potargane w tej chwili, zaczęły się już przerzedzać nad czołem, czyniąc je jeszcze wyższym. Dla kapitana Hornblowera było to źródłem irytacji; nie chciał nawet myśleć, że może być kiedyś łysy. Odbicie w lustrze przypomniało mu o innym zmartwieniu. Spojrzał na swe obnażone ciało. Był smukły i muskularny. Gdy wyprostował się na całą swoją wysokość sześciu stóp, miał całkiem niezłą figurę. Lecz w miejscu, gdzie kończyły się żebra, zarysowywał się wyraźnie zaokrąglony brzusek, wystający już nieco ponad linię żeber i kości biodrowych. Z siłą rzadką w jego generacji Hornblower nienawidził myśli, że mógłby stać się otyłym. Irytowało go, że to szkaradne wybrzuszenie zniekształca jego smukłe ciało, obciążone gładką skórą. To był właśnie powód, dla którego — będąc z natury człowiekiem niezbyt skorym do wysiłku i przeciwnym wszelkiej rutynie — zmuszał się do codziennego spaceru po pokładzie rufowym.

Skończywszy golenie Hornblower oddał brzytwę i pędzel Polwhealowi, żeby je umył i odłożył na miejsce. Począł, aż steward zarzuci mu na plecy podarty szlafrok sukienny, po czym udał się na pokład. Tam, przy pompie, Polwheal zdjął z niego szlafrok i zaczął pompować wodę morską, podczas gdy kapitan z powagą obracał się pod jej strumieniem. Po skończonej kąpeli Polwheal przykrył szlafrokiem Ociekające wodą plecy kapitana i poszedł za nim do kabiny. Na koi leżała czysta płócienna koszula, znoszona już, lecz starannie pocerowana, oraz białe spodnie. Hornblower ubrał się, a Polwheal pomógł mu włożyć stary niebieski mundur ze zblakłą lamówką i podał kapelusz. Wszystko to odbyło się bez jednego słowa — tak doskonale Hornblower wyćwiczył się w narzuconym sobie nawyku milczenia. Walcząc z własną rozmownością, on — który nienawidził rutyny — tak dalece popadł w jej władzę, że jak każdego ranka znalazł się na pokładzie rufowym dokładnie w momencie, gdy dzwon uderzył ósmy raz.

— Marynarze do ukarania, sir? — spytał Bush, dotykając palcami kapelusza.

Hornblower skinął głową. Świergotliwy dźwięk gwizdków bosmańskich przeszył powietrze.

— Cała załoga do asysty przy karze! — wrzasnął Harrison na pokładzie głównym. Ze wszystkich stron marynarze zaczęli zbiegać się i ustawiać w szereg na swoich stałych miejscach.

Hornblower z kamiennym wyrazem twarzy stał wyprostowany przy poręczy pokładu rufowego. Wstyd mu było wobec siebie, że instytucję kary uważa za coś niehumanitarnego i że czuje wewnętrzny opór, gdy ma wydać rozkaz ukarania lub przyglądać się procedurze wymierzania kary. Te dwa czy trzy tysiące chłost, których był świadkiem w ciągu ostatnich dwudziestu lat, nie znieczuliły go wcale. W istocie był teraz bardziej miękki (z czego sobie boleśnie zdawał sprawę) niż jako siedemnastoletni kadet. Tego ranka ofiara — marynarz z Walii nazwiskiem Owen — musiała jednak otrzymać swoją porcję. Człowiek ten nie potrafił powstrzymać się od plucia na pokład i Bush bez porozumienia z kapitanem zapowiedział, że za każdym razem, gdy złapie Owena na pluciu, wymierzy mu chłostę. Dla dobra dyscypliny Hornblower musiał zaaprobować tę decyzję swojego oficera, chociaż osobiście miał poważne wątpliwości, czy chłosta przyniesie pożytek komuś, kto jest na tyle głupi, że nawet groźba kary nie może go powstrzymać od plucia na pokład.

Na szczęście wszystko poszło szybko. Pomocnicy bosmana podciągnęli obnażonego do pasa Owena do want grotmasztu i walili go za każdym uderzeniem bębna. W odróżnieniu od innych marynarzy Owen wył z bólu, ilekroć dziewięciopalcza dyscyplina lądowała na jego plecach, i

tańczył groteskowo, uderzając bosymi stopami o pokład. Otrzymałszy swoje dwa tuziny razów umilkł i zwisnął nieruchomo na związanych rękach. Ktoś chlusnął nań wodą i zepchnięto go szturchańcem na dół.

— Załoga na śniadanie, panie Bush! — rzucił sucho Hornblower. Wydawało mu się, że jest bardzo blady, ale miał nadzieję, iż pod słońcem tropiku opalił się na tyle, że nie było tego widać. Tego rodzaju rozrywka przed śniadaniem, jak chłostanie półgłupka, nie była w jego guście; czuł niesmak do siebie za to, że nie był ani na tyle silny, by przerwać tę scenę, ani dość pomysłowy, by znaleźć jakieś wyjście z dylematu, przed którym postawiła go decyzja Busha.

Oficerowie stojący w szeregu na pokładzie zrobili w tył zwrot i rozeszli się. Gerard, drugi oficer, przejął pokład od Busha. Okręt był jak magiczna mozaika o geometrycznym deseniu; ledwie zburzono na nim ład, a natychmiast harmonijny układ sam się porządkował w nowy wzór.

Hornblower zszedł do kabiny, gdzie Polwheal przygotował mu śniadanie.

— Kawa i owsianka, sir — powiedział.

Hornblower usiadł za stołem. W ciągu siedniomiesięcznej podróży zjedzono wszystko, co miało jakiś smak. Kawa, którą pił teraz, była wyciągiem z palonego chleba i jedyną jej zaletą było to, że była słodka i gorąca. To co Polwheal nazwał owsianką, miało konsystencję kleistej mazi o trudnym do określenia wyglądzie, a przyrządzone było z gniecionych okruchów sucharów i mielonej solonej wieprzowiny. Hornblower jadł machinalnie, błędząc myślami gdzie indziej. Postukiwał o stół sucharem trzymany w lewej ręce, żeby strząsnąć z niego drobne robaczki.

Gdy tak siedział przy śniadaniu, zewsząd dochodziły doń znajome odgłosy. Drewniane części „Lydii” skrzypiały łagodnym unisono, ilekroć okręt znalazłszy się na grzbiecie unoszącej go martwej fali zaczynał kołysać się lekko i kiwać. Nad głową słyszał stapanie obutych nóg Gerarda po pokładzie rufowym, czasem tupot stwardniałych bosych stóp, gdy ktoś z załogi przebiegał tamtędy. Od przodu szedł jednostajny, wytrwały szczeł pomp wysysających jak co dzień wodę z żęz. Wszystkie te odgłosy to rozlegały się, to milkły, tylko jeden — szelest wiatru w niezliczonych linach takielunku brzmiał nieustannie i tak monotennie, że ucho przywykło doń i chwyciło go tylko wtedy, gdy kierowało się uwagę specjalnie na ten odgłos. Ten cichutki śpiew, harmonia tysiąca wysokich tonów i przydźwięków, dochodził do każdego zakątka okrętu przekazywany z lin na drewno z powolnym, powtarzającym się regularnie skrzypieniem.

Hornblower skończył swoją „owsiankę” i z melancholijną niechęcią popatrzył na suchar, którym postukiwał cały czas o stół. Taki suchar to marne pożywienie dla mężczyzny. W braku masła — ostatnia beczka zjełczała miesiąc temu — będzie musiał popijać suche kęsy kawą z palonego chleba, żeby je jakoś przełknąć. Zanim zdążył ugryźć pierwszy, z góry dobiegł go podniecony okrzyk. Znieruchomiał z sucharem w pół drogi do ust.

— Ziemia! — usłyszał. — Hej, pokład! Ziemia dwa rumby z lewej burty! — To obserwator z salingu przywoływał pokład.

Siedząc z sucharem w ręku Hornblower słuchał odgłosów poruszenia na okręcie. Wszyscy

musieli być niezwykle podnieceni tym, że po raz pierwszy od trzech miesięcy w czasie tego rejsu, którego celu nie znali, mieli teraz zobaczyć ląd. Hornblower poczuł, że jego samego ogarnia też podniecenie, którego źródłem był nie tylko ten przejmujący niepokój, ogarniający nawigatora, gdy zbliżając się do lądu ma się wkrótce przekonać, czy dobrze trafił, lecz także myśl, że być może za dobrą znajdzie się w punkcie kulminacyjnym niebezpiecznej i trudnej misji, z jaką wysłali go lordowie z Admiralicji. Poczul szybsze bicie serca i zapragnął z całą siłą wybiec od razu na pokład, jak mu dyktował instynkt. Lecz powstrzymał się. Jeszcze silniej pragnął być w oczach swych oficerów i załogi wzorem opanowania i pewności siebie, a pod tym względem tylko częściowo mógł być z siebie zadowolony. Im większym respektem cieszy się kapitan, tym lepiej dla okrętu. Zmusił się do przybrania swobodnej pozy i założywszy nogę na nogę popijał dalej kawę z doskonałą obojętnością, gdy kadet Savage zapukawszy do drzwi wpadł do kabiny jak bomba.

— Sir, pan Gerard wysłał mnie, żebym pana zawiadomił, że po lewej burcie od dziobu widać ląd! — Savage mówił to z takim podnieceniem, że ledwie mógł ustać spokojnie. Hornblower pociągnął jeszcze jeden łyk kawy, a potem odezwał się głosem spokojnym, cedząc powoli słowa:

— Proszę powiedzieć panu Gerardowi, że będę na pokładzie za pięć minut, jak tylko skończę śniadanie.

— Tak jest, sir!

Savage wypadł z kabiny. Jego duże, ciężkie stopy zadudniły po trapie.

— Savage, hej, Savage! — krzyknął za nim Hornblower.

Pyzata twarz Savage'a, niby księżyc w pełni, ukazała się znów w drzwiach.

— Zapomniałeś zamknąć drzwi! — powiedział Hornblower lodowatym tonem. — I nie rób tyle hałasu na trapie!

— Tak jest, sir! — odrzekł Savage, zupełnie zbity z tropu.

Hornblower pogładził się po podbródku z zadowoleniem. Mógł sobie pogratulować tej sceny. Wypił jeszcze łyk kawy, ale nie był już w stanie gryźć dalej suchara. Bębniąc palcami po stole czekał, aż upłynie pięć minut, które sam sobie wyznaczył.

Usłyszał, jak młody Clay drze się z topu masztu, dokąd Gerard musiał go posłać z lunetą:

— Wygląda jak paląca się góra, sir. Dwie płonące góry. Wulkany, sir!

Hornblower przywołał natychmiast z pamięci obraz mapy, którą tak często studiował w zaciszu kabiny. Wulkany znajdowały się wzdłuż całego tego wybrzeża i pojawienie się dwóch po lewej burcie nie musiało być nieomylnym wskazaniem pozycji okrętu. A jednak... a jednak wejście do zatoki Fonseca powinno się zaznaczyć dwoma wulkanami z lewej burty. I dlatego było rzeczą całkiem możliwą, że po jedenastu tygodniach żeglugi, nie mając ani razu lądu w zasięgu widzenia, trafił dokładnie na właściwy brzeg. Nie mógł już usiedzieć spokojnie. Wstał od stołu i udał się na pokład świadomie wolnym krokiem, bez oznak najmniejszego przejęcia się tym, co się działo.

Rozdział II

Oficerowie „Lydii” stali na pokładzie rufowym stłoczeni w zbitą gromadkę. Byli tu już czterej porucznicy, oficer nawigacyjny Crystal, Simmonds z piechoty morskiej, intendent Wood i kadeci pełniący akurat wachtę. Na wanty wyroili się podoficerowie i zwykli marynarze. Wyciągnięto też wszystkie chyba lunety, jakie były na okręcie. Hornblower pomyślał, że srogi, beznamiętny służbista przeciwstawiłby się temu, zupełnie przeciw naturalnemu, zachowaniu się ludzi w takiej chwili. I tak też uczynił.

— Co to znaczy? — powiedział sucho. — Czy na tym okręcie nikt nie ma nic do roboty? Panie Wood, proszę posłać po bednarza. Zajmiecie się napełnianiem beczek wodą. A pan, poruczniku Gerard, dopilnuje sprzątnięcia bombramsli i żagli bocznych.

Na okręcie znów zawrzała praca, rozległy się gwizdki, głośna komenda Harrisona: — Cała załoga do zwijania żagli! — i rozkazy wykrzykiwane przez Gerarda z pokładu rufowego. „Lydia”, idąc teraz pod zwykłymi żaglami, kołysała się łagodnie na martwej fali biegnącej z baksztagu.

— Sir, zdaje się, że widzę dym — powiedział Gerard tonem jakby przepraszającym za to, że wraca do tematu łądu. Podał Hornblowerowi swoją lunetę i wskazał ręką przed siebie. Nisko nad horyzontem Hornblower dojrzał przez teleskop coś szarawego pod płatem białej chmury, co mogło być dymem.

— Hmm — chrząknął. Nauczył się ograniczać możliwie często swoje odezwania do tej monosylaby. Podszedł do fokmasztu od nawietrznej i zaczął piąć się w górę po wantach. Nie był wcale wysportowany i nie bardzo miał chęć wchodzić na maszt, ale trzeba to było zrobić. Miał nieprzyjemną świadomość, że oczy wszystkich na pokładzie, którzy nie byli akurat zajęci, śledzą jego ruchy, toteż mimo że luneta przeszkadzała mu, krępując swobodę ruchów, czuł, że powinien zrezygnować z przejścia przez przełaz marsla i dokonać trudnej sztuki wspięcia się na zewnątrz po podwantach. Nie mógł też sobie pozwolić na pauzę na schwytnie oddechu — mając pod swą komendą kadetów, dla których niczym było przebiec na wyścigi bez przystanku z dna ładowni aż do topu grotmasztu.

Wspinanie się dłoń za dłonią po wantach bramstengi zmęczyło go porządnie. Ciężko dysząc dotarł na szczyt masztu i usadowił się tak, aby mimo gwałtownego falowania piersi i zdenerwowania, jakie go nagle ogarnęło, móc możliwie pewnie nakierować lunetę. W odległości może piętnastu stóp od Hornblowera okrakiem na noku rei siedział Clay, machając nonszalancko nogami, ale kapitan udał, że go nie widzi. Okręt kołysał się lekko, lecz tam, w górze, ciało kapitana zakreślało wraz ze szczytem masztu duże koło — w górę, w przód, na boki i w dół. Początkowo Hornblower tylko chwilami dostrzegał przez lunetę zarys odległych gór, po jakimś czasie udało mu się jednak utrzymać je coraz dłużej w swoim polu widzenia. Luneta odsłaniała przed nim dziwny krajobraz. Były tam ostre wierzchołki paru wulkanów — dwa, bardzo wysokie, leżały z lewej burty, a obok nich i z prawej strony widniało mnóstwo mniejszych. Wpatrując się w ten widok Hornblower dojrzał kłąb dymu wydobywającego się z jednego wierzchołka — a raczej nie z samego wierzchołka, lecz gdzieś z boku wulkanu. Dym wznosił się wolno ku górze i stapał z płatem wiszących nad nim białych chmur. Oprócz tego widać było również długie pasmo gór, których

szczyty wyglądały na granie skalne, choć samo pasmo zdawało się być łańcuchem wygasłych wulkanów, o ściętych wierzchołkach, zwiertzałych z upływem stuleci; niegdyś, gdy wszystkie wulkany były jeszcze czynne, ten kawałek wybrzeża musiał wyglądać jak diabelska kuchnia. Górne odcinki wierzchołków wulkanów i szczytów górskich miały ciepłoszary kolor z odcieniem różowym, dolne wydały się Hornblowerowi podobne do zielonych wodospadów. Taki wygląd nadała im zapewne roślinność porastająca wąwozy w zboczach gór. Hornblower ustalił z pamięci względne wysokości i położenie wulkanów i z danych tych wykreślił w myśli mapę. Porównał ją z obrazem mapy morskiej, którą miał jakby odbitą w mózgu. Podobieństwo nie uległo wątpliwości.

— Sir, zdaje się, że dojrzałem kipieli[6] — powiedział Clay.

Hornblower skierował lunetę w dół, ku stopom gór. Rozciągał się tam szeroki, nieprzerwany pas zielonej gęstwiny, z której sterczały małe wulkany. Przesunął lunetę wzdłuż tego pasa tuż przy krawędzi horyzontu i z powrotem. Zdawało mu się, że zobaczył błysk bieli. Szukając ponownie tego miejsca już zwątpił, że coś widział naprawdę, lecz oto miał ją znów w polu widzenia — plamkę bieli, to pojawiającą się, to niknącą mu sprzed oczu.

— Istotnie. To na pewno kipieli — powiedział i od razu pożałował, że się odezwał. Nie było potrzeby dawać Clayowi żadnej odpowiedzi. Reagując na jego słowa podważał mniemanie o sobie jako o człowieku o kamiennym wprost spokoju. „Lydia” szła wciąż tym samym kursem ku brzegom wyspy. Spoglądając w dół Hornblower widział na dziobówce, sto czterdzieści stóp pod sobą, zabawnie skrócone postacie ludzkie; ślad fali wokół dziobu mówił mu, że okręt robi w tej chwili jakieś cztery węzły. Dopłyną do brzegu jeszcze dobrze przed zmrokiem, zwłaszcza że powiew wiatru może się wzmóc ku wieczorowi. Rozprostował nieco skurczone członki i znów utkwiał wzrok w brzegu leżącym przed nim. W miarę upływu czasu dostrzegał coraz więcej białej piany tam, gdzie początkowo widział zaledwie ślad kipieli. Musi to być miejsce, gdzie podpływająca martwa fala rozbija się o pionową skałę i wyrzuca pianę tak wysoko w górę, że mógł ją zobaczyć ze swego miejsca na maszcie. Zaczynał się upewniać, że doprowadził okręt do właściwego celu. Po obu stronach kipieli widać było szeroki pas spokojnej wody, a dalej z każdej strony sterczał średniej wielkości wulkan. Szeroka zatoka z wysepką w połowie wejścia i dwa wulkany po bokach — tak właśnie oznaczona była zatoka Fonseca na mapie morskiej. Hornblower uświadomił sobie nagle z całą ostrością, że drobny błąd popełniony przezeń w nawigacji mógłby ich zaprowadzić o dwieście mil od miejsca, gdzie się teraz znajdowali; na tak usianym wulkanami brzegu jeden odcinek bardzo przypominał drugi. Nawet to, że widział teraz przed sobą zatokę i wyspę, mogło być skutkiem jakiegoś specyficznego ukształtowania wybrzeża. Ponadto nie mógł zbyt polegać na mapach sporządzonych na podstawie szkiców, które Anson[7] zdobył na tych wodach sześćdziesiąt lat temu. Każdy wiedział, co warta jest mapa zrobiona przez jakiegoś diega[8], poprawki zaś naniesione na te mapy przez nie znających się na rzeczy kreślarzy z Admiralicji mogły się okazać zupełnie bezwartościowe.

Gdy jednak dalej obserwował krajobraz, wątpliwości zaczęły się stopniowo rozpraszać. Otwierająca się przed nim zatoka była bardzo duża — druga podobnej wielkości na tym samym wybrzeżu nie mogłaby ująć uwagi marnych tutejszych kartografów. Hornblower ocenił wzrokiem, że wejście, włączając w to wysepki, miało nieco ponad dziesięć mil[9] szerokości. W głębi zatoki leżała duża wyspa o typowym dla tego krajobrazu kształcie — stromy okrągły stożek sterczący

pionowo z wody. Kapitan nie mógł dojrzeć końca zatoki nawet teraz, gdy okręt był od niej o dziesięć mil bliżej niż w chwili zauważenia tego wejścia.

— Panie Clay — powiedział Hornblower, będąc na tyle łaskawy, by odjąć lunetę od oczu — może pan już zejść. Proszę przekazać panu Gerardowi pozdrowienia ode mnie i poprosić, żeby posłał całą załogę na obiad.

— Tak jest, sir — odpowiedział Clay.

Z faktu przyśpieszenia obiadu o pół godziny załoga zorientuje się teraz, że nadchodzi coś niezwykłego. Oficerowie na okrętach brytyjskich zawsze pilnowali, aby ludzie mieli pełne żołądki, zanim będzie się od nich żądać wysiłku ponad zwykłą miarę.

Hornblower wrócił do obserwacji ze szczytu masztu. Nie było już wątpliwości, że „Lydia” zmierza do zatoki Fonseca. Wprowadzając okręt wprost do zatoki po jedenastu tygodniach żeglugi z dala od widoku lądu dokonał nadzwyczajnego wyczynu nawigacyjnego, z którego każdy miałby prawo być dumny. Hornblower nie odczuwał jednak dumy. Natura jego nie pozwalała mu się cieszyć z osiągnięcia rzeczy leżących w jego możliwościach; kapitan miał zawsze ambicję dążyć do tego, co niemożliwe; okazać się silnym, małomównym wspaniałym mężczyzną, całkowicie odpornym na jakiegokolwiek wzruszenia.

Na razie nie widać było w zatoce łodzi ani dymów, ani żadnych innych śladów życia. Brzeg, do którego zbliżał się Hornblower — niby drugi Kolumb — mógł być nie zamieszkany. Miał jeszcze conajmniej godzinę na podjęcie decyzji co do dalszego działania. Złożył lunetę, zszedł na dół i świadomie wolnym krokiem udał się na pokład rufowy.

Przy balustradzie stali Crystal z Gerardem, pogrążeni w ożywionej rozmowie. Niewątpliwie stanęli tak, aby człowiek u steru nie mógł słyszeć, o czym mówią; odesłali też kadeta służbowego na odpowiednią odległość. Ze sposobu, w jaki patrzyli na zbliżającego się kapitana, widać było wyraźnie, że mówili właśnie o nim.

Podniecenie ich było całkiem zrozumiałe, jeśli zważyło się fakt, że „Lydia” była pierwszym brytyjskim okrętem wojennym, który od czasu podróży Ansona dotarł do hiszpańskiego wybrzeża Ameryki nad Pacyfikiem. Znajdowali się na wodach „przeorywanych” przez sławetny galeon z Acapulco, który z corocznej wyprawy przywoził skarby warte milion funtów; wzdłuż tego wybrzeża kursowały powolne statki kabotażowe przewożące srebro Potosi[10] do Panamy. Wyglądało na to, że jeśli tylko tajne rozkazy będące w posiadaniu kapitana pozwoliły, każdy człowiek załogi mógłby się uważać za posiadacza fortuny w rękę.

— Panie Gerard, proszę posłać jakiegoś rozgarniętego człowieka z dobrą lunetą na fokmaszt — to było wszystko, co Hornblower powiedział, schodząc na dół.

Rozdział III

W kabinie czekał już posiłek przyniesiony przez Polwheala. Hornblower zastanawiał się przez moment, czy tu w tropiku, i to w samo południe, warto jeść obiad złożony z tłustej solonej

wieprzowiny. Nie był wcale głodny, ale chęć zaimponowania stewardowi przemogła brak apetytu spowodowany podnieceniem. Usiadł za stołem i jadł nieprzerwanie przez jakieś dziesięć minut, zmuszając się do połykania obrzydliwych w smaku kęsów. Na dodatek Polwheal śledził każdy jego ruch z pełnym desperacji zainteresowaniem. Pod jego uporczywym spojrzeniem Hornblower wstał i schyliwszy głowę, żeby nie uderzyć o opadający tu nisko pokład, przeszedł do kabiny sypialnej i otworzył biurko.

— Polwheal! — zawołał

— Słucham, sir! — odpowiedział Polwheal, pojawiając się błyskawicznie w drzwiach.

— Wyjmij mój najlepszy mundur i przyszyj do niego nowe epolety. Oczyszcz białe spodnie — nie, bryczesy, i daj mi moje najlepsze jedwabne białe pończochy i trzewiki z klamrami. A pamiętaj, że klamry mają błyszczeć. I spadę ze złotą rękojeścią.

— Tak jest, sir! — odpowiedział Polwheal.

Wróciwszy do głównej części kabiny Hornblower wyciągnął się na skrzyni pod oknem rufowym i rozłożył tajne rozkazy Admiralicji. Czytał je tyle razy, że treść ich znał już prawie na pamięć, lecz ostrożność kazała mu sprawdzić, czy dobrze rozumie każde słowo. Szczerze mówiąc, były sformułowane w sposób dosyć rozwlekły. Któryś z urzędników Admiralicji musiał puścić wodze fantazji przy ich układaniu. Pierwsze dziesięć ustępów dotyczyło podróży do chwili obecnej; przede wszystkim nakazywały działać w jak największej tajemnicy, tak aby do Hiszpanii nie dotarła najmniejsza wzmianka o zbliżaniu się brytyjskiej fregaty do wybrzeży Pacyfiku objętych hiszpańskim władaniem. „W związku z tym prosimy i nakazujemy” w czasie trwania podróży możliwie jak najmniej wyglądać lądu i „niniejszym zabraniamy panu absolutnie” zbliżać się po wejściu na Pacyfik w zasięg widzenia lądu aż do momentu przybycia do ujścia zatoki Fonseca. Hornblower wypełnił rozkazy co do joty, chociaż w całej Admiralicji niewielu było kapitanów, którzy potrafiliby dokonać i dokonaliby tego. Doprowadził swój okręt z Anglii aż do tego miejsca nie widząc w ogóle lądu, z wyjątkiem przelotnego rzutu oka na przylądek Horn. Gdyby jednak tydzień temu zgodził się na ustalenie kursu okrętu według propozycji Crystala, „Lydia” wpływałaby teraz do Zatoki Panamskiej, kompletnie zaprzepaściwszy szansę zachowania swego rejsu w tajemnicy.

Hornblower oderwał myśli od sporu, jaki wynikł wówczas na temat deklinacji magnetycznej na tych wodach, o którą należało poprawić wskazania kompasu i zmusił się do dalszego studiowania rozkazów. „Prosimy i nakazujemy niniejszym” natychmiast po dotarciu do zatoki Fonseca zawrzeć sojusz z Don Julianem Alvarado, właścicielem wielkiego obszaru ciągnącego się wzdłuż zachodniego wybrzeża zatoki. Don Julian zamierza z pomocą Brytyjczyków wznieść powstanie przeciw monarchii hiszpańskiej. Hornblower ma przekazać mu pięćset muszkietów i bagnetów, pięćset pasów z ładownicami i milion sztuk amunicji do broni ręcznej, które otrzymał w Portsmouth, i ma uczynić wszystko, co uważa za słuszne, aby zapewnić powstaniu powodzenie. Gdyby uznał za rzecz konieczną, może przekazać powstańcom jedno lub więcej dział stanowiących wyposażenie okrętu; lecz powierzone mu pięćdziesiąt tysięcy gwinei w złocie ma pod karą oddania go pod sąd wojenny wypłacić dopiero wówczas, gdy się okaże, że bez tej pomocy powstanie upadnie. Ma wspomagać powstańców, na ile to będzie w jego mocy, i nawet uznać zwierzchnictwo Don Juliana Alvarado nad całym podbitym w przyszłości przez niego terytorium,

pod warunkiem że w zamian za to Don Julian zwiąże się układami handlowymi z królem Brytanii.

Wzmianka o układach handlowych podziałała widocznie na wyobraźnię urzędnika Admiralicji, gdyż w następnych dziesięciu akapitach górnolotnym stylem rozwiódł się szczegółowo nad pilną potrzebą udostępnienia posiadłości hiszpańskich dla handlu brytyjskiego. Balsam peruwiański i drzewo kampszowe[11], koszenila[12] i złoto czekają na wymianę za brytyjskie wyroby. Pióro urzędnika wprost ociekało podnieceniem, gdy opisywał te szczegóły pięknym zaokrąglonym pismem. „Ponadto jest tam odnoga zatoki Fonseca zwana przypuszczalnie Estero Real, która niemal dochodzi do położonego w głębi lądu jeziora Managua, a to z kolei, jak się przypuszcza, ma połączenie z jeziorem Nikaragua, którego wody rzeką San Juan spływają do Morza Karaibskiego. Kapitana Hornblowera prosi się i nakazuje mu się uczynić wszystko dla otworzenia tej drogi przez przesmyk dla handlu brytyjskiego i zaleca mu się wpłynąć na Don Juliana, by jego wysiłki poszły w tym kierunku”.

Rozkazy mówiły dalej, że dopiero po udanym zakończeniu powstania wznieconego przez Don Juliana i wykonaniu wszystkich poleceń kapitanowi Hornblowerowi wolno będzie zaatakować statki ze skarbami znajdujące się na Pacyfiku, przy czym ma on nie czynić żadnych przeszkód w żegludze, jeśli mogłoby to dotknąć w jakiś sposób tych mieszkańców, którzy skądinąd byliby skłonni poprzeć powstanie. Do wiadomości kapitana podano, że dla wzmocnienia władzy królewskiej Hiszpanie trzymają podobno na tych wodach dwupokładowy okręt uzbrojony w pięćdziesiąt dział, o nazwie „Nativi-dad”. W związku z tym prosi się kapitana i nakazuje mu się, aby przy pierwszej sposobności „zdobył, zatopił, spalił lub zniszczył” ten okręt.

Rozkazy kończyły się poleceniem, aby przy najbliższej sprzyjającej okazji kapitan Hornblower nawiązał kontakt z kontradmirałem dowodzącym bazą na Wyspach Zawietrznych[13] w celu otrzymania dalszych rozkazów. Kapitan złożył szeleszczące papiery i zagłębił się w myślach. Rozkazy były zwykłym połączeniem poleceń ledwie możliwych do wykonania z czystą donkiszoterią; właśnie czegoś takiego mógł się spodziewać kapitan dowodzący samotną jednostką odkomenderowaną z wód krajowych. Tylko szczer lądowy mógł wydać rozkaz dopłynięcia do zatoki Fonseca bez widoku choćby kawałka ziemi na Pacyfiku — i tylko szereg cudownych zabiegów okoliczności (Hornblower nie przypisywał tego swojej zdolności logicznego rozumowania ani znajomości sztuki żeglarskiej) pozwoliło na ich wypełnienie.

Wzniesienie powstania w hiszpańskich koloniach w Ameryce było od dawna marzeniem rządu brytyjskiego — marzeniem, które stało się zmorą dla tych oficerów brytyjskich, którym polecono je realizować. Admirał Popham i admirał Stirling, generał Beresford i generał Whitelocke, wszyscy oni w ciągu ostatnich trzech lat ucierpieli na honorze i reputacji w trakcie wielokrotnych prób wzniecenia powstania nad rzeką la Pląta.

Otwarcie drogi dla handlu brytyjskiego przez przesmyk Darien było też od dawna podobnym marzeniem hodowanym przez urzędników Admiralicji, mających do dyspozycji bardzo ogólne mapy i ani krzty doświadczenia praktycznego. Trzydzieści lat temu sam Nelson jako młody kapitan nieledwie postradał życie dowodząc ekspedycją w górę tej właśnie rzeki San Juan, którą teraz nakazano Hornblowerowi udostępnić od strony jej źródeł.

Ukoronowaniem wszystkiego była niedbała wzmianka o znajdującym się na tych wodach

okręcie nieprzyjaciela, uzbrojonym w pięćdziesiąt dział. Było to typowe dla Whitehall[14], że fregatę z trzydziestoma sześcioma działami na pokładzie wysyłano lekką ręką przeciwko nieprzyjacielowi o prawie dwa razy większym uzbrojeniu. Brytyjska marynarka wojenna miała w czasie tych wojen tyle sukcesów w pojedynkach między okrętami, że teraz już oczekiwano zwycięstw w każdej nierównej walce. Gdyby przypadkiem „Natividad” zdobyła przewagę nad „Lydia”, nie przyjęto by żadnych tłumaczeń i kariera Hornblowera byłaby skończona. Nawet gdyby nieunikniony w tej sytuacji sąd wojenny nie złamał go, musiałby wegetować do końca życia na marnej pensyjce. Niepowodzenie w zdobyciu „Natividad”, niepowodzenie w zapoczątkowaniu udanego powstania, niepowodzenie w otwarciu przesmyku dla handlu — każde z tych zupełnie prawdopodobnych niepowodzeń oznaczałoby utratę reputacji, pracy i to, że trzeba będzie po powrocie stanąć przed obliczem żony z piętnem człowieka, który nie znalazł się na wysokości zadania.

Rozważywszy te wszystkie ponure możliwości Hornblower ze stanowczym optymizmem odsunął je na bok. Przede wszystkim musi się koniecznie skontaktować z Don Julianem Alvarado, co wydawało się być rzeczą dosyć interesującą, a przy tym względnie łatwą. Następnie trzeba będzie zdobyć statki ze skarbami i dostać przyzwołe, jakie się za to należało. O dalszą przyszłość postanowił się nie martwić. Podniósł się ze skrzyni i przeszedł do kabiny sypialnej.

Wchodząc dziesięć minut później na pokład rufowy śmiał się w duchu widząc, jak jego oficerowie bezskutecznie starają się udawać, że nie zauważyli jego wspaniałego paradnego munduru z epoletami, jedwabnych pończoch, butów z kłaniami ze żłobionej stali, trójgraniastego kapelusza i szpady ze złotą rękojeścią. Hornblower spojrzał na szybko zbliżający się brzeg.

— Panie Bush, niech biją w bębny na alarm — powiedział. — Przygotować się do boju.

Dźwięk werbla postawił całą załogę na nogi. Wachta z dołu biegła przeskakując po kilka stopni naraz. Popędzana krzykami i razami podoficerów załoga rzuciła się do przygotowywania okrętu do walki. Pokłady polano wodą i posypano piaskiem; usunięto grodzie; załogi przeciwpożarowe zajęły stanowiska przy pompach; zziębnięci chłopcy znosili pociski do dział; na dole steward wyznaczony do funkcji chirurga zestawiał na kokpi-cie kufarki kadetów, przygotowując zaimprovizowany stół operacyjny.

— Panie Bush, niech działa będą załadowane i przygotowane do strzału — powiedział Hornblower.

Była to uzasadniona ostrożność w sytuacji, gdy okręt wpływał fordewindem prosto na terytorium hiszpańskie. Obsługa dział zwolniła wiązania lawet i ciągnąc desperacko za talie przetoczyła działa na środek pokładu. Załadowano proch i kule, zniżono wyloty luf i z szalonym wysiłkiem natoczono armaty ku otwartym furtom strzelniczym.

— Okręt gotowy do boju, sir. W dziesięć minut i dwadzieścia jeden sekund — zameldował Bush w momencie, gdy umilkły ostatnie odgłosy przygotowań. Bush w żaden sposób nie mógł się jeszcze zorientować, czy były to prawdziwe przygotowania do boju, czy tylko ćwiczenia. Ta jego niepewność głaskała próżność Hornblowera.

— Bardzo dobrze, panie Bush. Niech pan pošle dobrego marynarza z sondą na ławę wantową. I bądźcie gotowi do rzucenia kotwic.

Powiew od strony morza nasilał się z każdą chwilą, i „Lydia” szła coraz szybciej. Patrząc z pokładu rufowego przez lunetę Hornblower widział każdy szczegół wejścia do zatoki oraz, od strony zachodniej, między wyspą Conchaquita i zachodnią częścią lądu, szeroki kanał, który — jak zapewniała mapa morska — miał głębokość dwudziestu sążni[15] aż do pięciu mil w głąb lądu. Ale tym hiszpańskim mapom nie można było wierzyć.

— Ile na sondzie? — zawołał Hornblower.

— Lina nie sięga dna, sir.

— Ile sążni rozwinęliście? Weźcie sondę głębinową.

— Tak jest, sir.

Na okręcie zapadła martwa cisza; słyhać było tylko odwieczny śpiew wiatru w olinowaniu i szmer wody pod rufą.

— Rozwinęliśmy sto sążni. Wciąż nie ma gruntu, sir.

A zatem brzeg musi być tu bardzo stromy, gdyż od lądu dzieliło ich już tylko dwie mile. Nie można jednak ryzykować wpakowania się na mieliznę pod pełnymi żaglami.

— Zwinąć dolne żagle — powiedział Hornblower. — Sondować dalej.

Idąc na samych marszałgach „Lydia” pełzła ku lądowi. Wkrótce też marynarz z ławy wantowej krzyknął, że sonda dosięgła dna na głębokości stu sążni; po każdym rzuceniu ołowianki głębokość okazywała się coraz mniejsza. Hornblower bardzo chciał wiedzieć, czy przyływ się już zaczął. Jeśli miałby w ogóle osiąść na mieliznie, to byłoby znacznie lepiej, gdyby się to stało w czasie przyboru wody — niestety, nie było sposobu na wyliczenie, czy woda przybiera, czy opada. Kapitan wspiął się na wanty bezanmasztu, do połowy kolumny, skąd był lepszy widok. Cała załoga, z wyjątkiem marynarza zajętego sondowaniem, stała wyprostowana w oślepiającym skwarze. Znajdowali się już prawie u wejścia do kanału. Hornblower dostrzegł kawałek drewna unoszący się na wodzie od strony bliższego brzegu. Skierował nań lunetę i stwierdził, że drewno płynie w stronę zatoki. A zatem szedł przyływ — coraz lepiej.

— Głębokość dziewięć sążni — zawołał człowiek od sondy.

A sporządzona przez diegów mapa wykazywała w tym miejscu dziesięć sążni.

— Siedem i pół!

Kanał stawał się coraz płytszy. W takim razie trzeba będzie wkrótce rzucić kotwicę.

— Siedem i pół.

Na razie głębokość była wystarczająca. Hornblower wydał komendę sternikowi i „Lydia” długim łukiem wykręciła w prawo.

— Siedem i pół.

Wciąż jeszcze dość głęboko „Lydia” utrzymywała się na swoim nowym kursie.

— Przy marce siedem.

Hornblower penetrował wzrokiem kanał, próbując określić linię najgłębszej wody.

— Przy marce siedem.

Rozkaz Hornblowera skierował „Lydię” ku bardziej odległemu brzegowi. Bush spokojnie posłał ludzi do brasów, żeby wytrzymowali reje na nowy kurs.

— Siedem i pół.

To już było lepiej.

— Dziewięć.

Jeszcze lepiej. „Lydia” weszła już dobrze w zatokę, a Hornblower widział, że przyptyw wciąż trwa. Wpływali wolno na wodę gładką jak tafla szkła. Człowiek od sondy śpiewnie podawał głębokości. Stroma stożkowata góra w środku zatoki była coraz bliżej.

— Osiem bez ćwierci — zawołał marynarz od sondy.

— Kotwice gotowe? — spytał Hornblower. — Gotowe, sir.

— Równy siedem.

Nie było sensu posuwać się dalej.

— Kotwicę rzuć!

Lina kotwiczna zawyła w kluzie. Marynarze z wachty skoczyli zwijać marszagle i „Lydia” zaczęła się obracać na kotwicy pod działaniem wiatru i prądu przyptywu. Hornblower zszedł na pokład rufowy.

Bush patrzył na niego jak na cudotwórcę. W siedem tygodni po minięciu przylądka Horn kapitan przyprowadził „Lydię” prosto do celu; przybył tu w godzinach popołudniowych, popychany wiatrem i niesiony przyptywem. A jeśli zagroziłoby im tu jakieś niebezpieczeństwo, to z zapadnięciem nocy prąd odpływu i bryza do lądu wyniosą ich z powrotem na morze. Bush nie umiałby powiedzieć, ile zawdzięczali szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, a ile prawidłowości obliczeń; że zaś miał on znacznie lepsze mniemanie o umiejętnościach żeglarskich Hornblowera niż sam Hornblower, był skłonny przypisać mu większą zasługę, niż się faktycznie należała.

— Panie Bush, proszę zatrzymać wachtę na rufie — powiedział Hornblower. — Wachtę na dole niech pan zwolni.

Na okręcie oddalonym o milę od ewentualnego niebezpieczeństwa i przygotowanym do boju nie było potrzeby trzymać całej załogi na stanowiskach. Ludzie z wachty z dołu skupili się wzdłuż poręczy nadburcia i wesoło gwarząc gapili się na ląd pokryty zieloną dżunglą i usiany szarymi skałami. Hornblower zdał sobie nagle sprawę, że nie bardzo wie, co robić dalej. Podniecenie spowodowane doprowadzeniem „Lydii” do nie znanego portu nie pozwoliło mu na staranne zaplanowanie następnego kroku, jak miał to w zwyczaju. Wątpliwość rozstrzygnęło wołanie marynarza z gniazda bocianiego.

— Hej, pokład! Od brzegu odbija łódź. Dwa rumby za trawersem prawej burty.

Podwójna plamka bieli sunęła wolno ku „Lydii”. Spojrzawszy przez lunetę Hornblower stwierdził, że jest to otwarta łódź płynąca pod dwoma małymi łacińskimi żaglami. Gdy podpłynęła bliżej, zobaczył, że jej załoga składa się z sześciu śniadoliczych ludzi; na głowach mieli szerokie słomiane kapelusze. Łódź stanęła w dryfie jakieś pięćdziesiąt jardów od okrętu; ktoś przy żaglu rufowym wołał po hiszpańsku, trzymając dłonie ustach zwinięte w trąbkę:

— Czy to okręt angielski?

— Tak. Prosimy na pokład — odpowiedział Hornblower. Dwa lata spędzone w więzieniu hiszpańskim dały mu okazję nauczenia się tego języka i Hornblower sądził, że temu właśnie zawdzięczał, iż wybrano go do spełnienia tej specjalnej misji.

Łódź zbliżyła się do burty i człowiek, który krzyczał do nich, wdrapał się lekko po drabince na pokład. Zatrzymał się przy burcie i potoczył ciekawym spojrzeniem po nienagannie czystych pokładach, dostrzegając absolutny porządek rzucający się wszędzie w oczy. Miał na sobie czarną kamizelkę bez rękawów, obramowaną złotym haftem, brudną białą koszulę i nie mniej brudne białe spodnie, sięgające za kolana i postrzępione u dołu. Był boso, a u czerwonego pasa na biodrach nosił dwa pistolety i ciężki krótki miecz. Mówił po hiszpańsku jak rodowity Hiszpan, ale nie wyglądał na człowieka tej narodowości; czarne włosy zwisające na uszy były długie, proste i bez połysku, jego ciemna cera miała odcień czerwony, a białka oczu były lekko zabarwione na żółto. Z górnej wargi zwisał długi, cienki wąsik. Z miejsca dostrzegł kapitana, wyglądającego wspaniale w swoim paradnym mundurze i trójgraniastym kapeluszu, i ruszył ku niemu. Na taką właśnie okazję Hornblower ubrał się w co miał najlepszego i teraz był zadowolony ze swej przezorności.

— Pan jest kapitanem, sir? — zapytał przybysz.

— Tak. Horatio Hornblower, kapitan „Lydii”, fregaty jego królewskiej mości króla Brytanii, do pańskich usług. A kogo mam przyjemność witać?

— Manuel Hernandez, generał porucznik w służbie el Suprema.

— El Suprema? — zapytał Hornblower zdziwiony. Słowo to było trudne do przetłumaczenia na język angielski. „Wszechmocny” najlepiej chyba oddawało jego znaczenie.

— Tak. El Suprema. Jesteście tu oczekiwani od czterech miesięcy, nie, od sześciu.

Hornblower zastanawiał się przez moment. Nie wolno mu było odsłonić powodu swego przybycia żadnej nie upoważnionej osobie, lecz fakt, że ten człowiek wiedział, iż tu na nich czekano, wskazywałby, iż jest on członkiem spisku Alvarada.

— Mam polecenie skontaktować się z kimś innym niż z el Supremem — powiedział, grając na zwłokę.

Hernandez uczynił gest zniecierpliwienia.

— Nasz władca, el Supremo, był do niedawna znany ludziom jako jego ekscelencja Don Julian Maria de Jesus de Alvarado y Montezuma — odpowiedział.

— Ach tak, — rzekł Hornblower. — Właśnie z Don Julianem chcę się widzieć.

Hernandez był wyraźnie zirytowany niedbałym tonem, jakim kapitan wymienił imię Don Juliana.

— El Supremo — powiedział kładąc nacisk na słowo — wysłał mnie, żebym pana przyprowadził przed jego oblicze.

— Gdzież on jest?

— U siebie w domu.

— A który to jego dom?

— Kapitanie, zdaje się, że powinno panu wystarczyć, iż el Supremo żąda pańskiego przybycia.

— Tak pan sądzi? Więc muszę panu oznajmić, senor, że kapitanowie okrętów jego królewskiej mości króla brytyjskiego nie są zwyczajni stawiać się na każde skinienie. Może pan iść i powtórzyć to Don Julianowi.

Postawa Hornblowera wskazywała, że rozmowa jest skończona. Na twarzy Hernandeza odbiła się wewnętrzna walka, ale perspektywy stanięcia przed el Supremem bez kapitana nie musiała być nęcąca.

— To tamten dom — powiedział wreszcie ponurym głosem, wskazując na zatokę. — Obok góry. Musimy przejść przez miasto, którego stąd nie widać, żeby się tam dostać.

— Dobrze, pójdę z panem. Przepraszam na chwilę, generale.

Hornblower odwrócił się do Busha, który stał obok z wyrazem zaintrygowania i podziwu na twarzy, jaki często widuje się u ludzi, gdy słyszą, jak ich rodak rozmawia biegle w nieznanym języku.

— Panie Bush — powiedział — schodzę na brzeg i mam nadzieję, że wkrótce wrócę. Gdybym jednak nie wrócił i nie przysłał panu do północy żadnej wiadomości, proszę podjąć niezbędne kroki dla zapewnienia bezpieczeństwa okrętu. Oto klucz od mego biurka. Rozkazuję panu o północy przeczytać adresowane do mnie tajne rozkazy rządowe i działać zgodnie z nimi, w sposób jaki pan uzna za właściwy.

— Tak jest, sir — odpowiedział Bush. Na jego twarzy odmalował się niepokój i kapitan z dreszczem zadowolenia uświadomił sobie, że Bushowi naprawdę zależało na pomyślnym powrocie jego kapitana.

— Czy sądzi pan, sir, że to bezpiecznie tak samemu na ląd?

— Nie wiem — odpowiedział Hornblower z niekłamaną obojętnością. — Jedno wiem, że muszę iść.

— W razie gdyby to był jakiś podstęp, to wyciągniemy pana stamtąd całego i zdrowego.

— Przede wszystkim proszę myśleć o bezpieczeństwie okrętu — odrzekł sucho Hornblower, wyobrażając sobie Busha z oddziałem desantowym, błądzącym po omacku w malarycznej dżungli Ameryki Środkowej. Odwróciwszy się do Hernandeza rzekł: — Señor, jestem do pańskiej dyspozycji.

Rozdział IV

Łódź weszła miękko na złocisty piasek pokrywający plażę wokół cypla. Ciemnonica załoga wyskoczyła i podciągnęła łódź tak, aby Hornblower i Hernandez mogli suchą stopą wyjść na brzeg. Hornblower rozejrzał się z ciekawością dookoła. Miasto dochodzące prawie do skraju plaży składało się z kilkuset chat z liści palmowych i tylko kilka domków było krytych dachówką. Hernandez powiódł kapitana w tamtą stronę.

— Agua, agua — zaskrzeczał jakiś głos, gdy podeszli bliżej. — Wody, na litość boską, wody!

Przy ścieżce stał blisko dwumetrowy słup, do którego przywiązany był człowiek w pozycji stojącej; ręce miał wolne i wymachiwał nimi jak oszalały. Oczy wychodziły mu z orbit, a język jakby nie mieścił się w ustach, niczym u idioty. Wokół nieszczęśliwca krążyły z trzepotem sępy.

— Kto to? — spytał Hornblower, wstrząśnięty tym widokiem.

— Człowiek, którego el Supremo skazał na śmierć z pragnienia — odrzekł Hernandez. — To jeden z tych nieoświeconych.

— Ma być zamęczony na śmierć?

— To już drugi jego dzień. Umrze jutro, gdy padną na niego promienie południowego słońca — wyjaśnił obojętnie Hernandez. — Zawsze wtedy umierają.

— Jakąż on popełnił zbrodnię?

— Powiedziałem przecież, kapitanie, że to jeden z nieoświeconych.

Hornblower stłumił chęć zapytania, co znaczy być oświeconym; mógł się tego domyślić choćby z faktu, że Alvarado przybrał imię el Supremo. Lecz nie potrafił zdobyć się na jakiś protest i przeszedł w milczeniu za Hernandezem obok nieszczęśliwej ofiary — podejrzewał, że żadna interwencja z jego strony nie zmieni rozkazów wydanych przez el Suprema, a bezskuteczny sprzeciw mógłby tylko poderwać jego prestiż. Postanowił odłożyć działanie do chwili, aż stanie twarzą w twarz z wodzem.

Wąskie błotniste ścieżki, brudne i cuchnące, wiły się między chatami z liści palmowych. Siedzące na dachach sępy swarzyły się z kręcącymi się w dole kundlami. Mieszkający tu Indianie oddawali się swoim zwykłym zajęciom, nie zwracając uwagi na człowieka, który umierał z pragnienia w odległości kilkudziesięciu jardów od nich. Podobnie jak Hernandez wszyscy mieli skórę brązową z lekko czerwonawym odcieniem. Dzieci biegały nago, kobiety były w brudnych czarnych lub białych szatach, a nieliczni widziani mężczyźni mieli na sobie tylko krótkie białe spodnie do kolan; górna część ich ciał była obnażona. Połowa domków to były sklepy, otwarte z jednej strony i oferujące na sprzedaż parę garści owoców lub kilka jajek. Przy jednym z nich czarno ubrana kobieta targowała się zawzięcie.

Kilka koników uwiązanych na niewielkim placu w centrum miasteczka wojowało z muchami. Ludzie Hernandeza odwiązali spiesznie dwa z nich i trzymali je za uzdy, aby on i kapitan mogli wsiąść. Dla Hornblowera był to trudny moment; wiedział, że nie jest dobrym jeźdźcą, a na nogach miał swoje najlepsze jedwabne pończochy i czuł, że w swoim kapeluszu i ze szpadą u boku nie będzie wyglądał zbyt godnie na grzbiecie konia. Ale nie było na to rady. Oczekiwano od niego tak wyraźnie, że wsiądzie na konia i pojedzie, iż nie mógł się wycofać. Wsadził stopę w strzemię, wskoczył na siodło i stwierdził z ulgą, że konik jest posłuszny i spokojny. Puścił się kłusem obok Hernandeza, podskakując niezgrabnie na wybojach. Pot ściekał mu z twarzy, a co parę sekund musiał poprawiać na głowie swój trójgraniasty kapelusz. Za miastem kręta ścieżka biegła stromo w górę i była tak wąska, że mieściła tylko jednego jeźdźcę, toteż Hernandez z kurtuazyjnym gestem wyminął Hornblowera i pojechał przodem. Eskorta wlokła się za nimi w odległości około pięćdziesięciu jardów.

Na wąskiej ścieżce obrosłej z obu stron drzewami i krzakami było duszno i gorąco. Wokół jadących krążyły owady, gryząc bezlitośnie. Po przejechaniu pół mili napotkali jakichś rozleniwionych wartowników, którzy stanęli niezdarnie na baczność, a jadąc dalej mijali innych ludzi, przywiązanych — jak ów pierwszy, na którego natknął się Hornblower — do słupów i umierających z pragnienia. Były tam też trupy cuchnące rozkładem i obsiadłe przez chmary much, które — spłoszone przez mijające je konie — brzęczały ze wzmożoną zajadłością. Odór był okropny. Obzarte sępy, odrażające ze swymi nagimi szyjami, polatywały ciężko nad ścieżką tuż przed końmi i niezdolne wzbic się w powietrze szukały ucieczki w lesie.

Hornblower miał już powiedzieć: „A więc dalsi nieoświeceni, generale?” — lecz zaniechał tego, uświadomiwszy sobie bezskuteczność takiej uwagi. Lepiej było nie mówić nic, niż powiedzieć coś, co w niczym nie mogło pomóc. Jechał w milczeniu wśród odoru rozkładających się ciał i chmar much i próbował wyobrazić sobie mentalność człowieka, który zostawiał gnijące trupy nieledwie na progu swego domu.

Ścieżka wspięła się na występ skalny i przez moment miał przed sobą widok zatoki w dole, niebieskosrebrnozłotej w wieczornym słońcu, i „Lydię” stojącą na kotwicy w samym jej środku. Nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, las po obu stronach zamienił się w uprawną ziemię. Ścieżka biegła teraz przez pomarańczowe gaje, gdzie drzewa uginały się pod ciężarem owoców, a poprzez drzewa Hornblower zobaczył łany dojrzałych zbóż. Słońce, opadające szybko za horyzont, oświetlało złociste owoce, a gdy wyszli zza zakrętu, ujrzeli w jego świetle niski, obszerny, biały budynek, zamykający drogę.

— Dom el Suprema — powiedział Hernandez.

Na patio[16] podeszła służba, żeby odebrać od nich konie. Zesztywniały Hornblower zsiadł i stwierdził z rezygnacją, do jak okropnego stanu jazda konna doprowadziła jego najlepsze jedwabne pończochy. Odzież starszych służących, którzy wiedli ich ku domowi, przypominała połączeniem strojności i nędzy odzienie Hernandeza. Górą przybrani w czerwień i złoto, dołem mieli bose stopy i łachmany. Jeden z nich, rysami twarzy zdradzający silną domieszkę krwi murzyńskiej i indiańskiej u swych przodków oraz lekki ślad cech europejskich, przyodziany najwspanialej, wyszedł do nich ze zmartwionym wyrazem twarzy.

— El Supremo musiał czekać — powiedział. — Proszę iść za mną jak najszybciej.

Ruszył przodem, biegnąc niemal wzdłuż korytarza ku drzwiom wybitym mosiądzem. Zastukał w nie głośno, odczekał chwilę, zastukał raz jeszcze i zginając się w pół otworzył. Idąc za gestem Hernandeza Hornblower wszedł do środka, za nim Hernandez, po czym majordomus zamknął drzwi. Znajdowali się w podłużnej sali, lśniącej nieskalaną bielą wapna, o suficie wspartym na grubych drewnianych belkach, malowanych i rzeźbionych. W drugim jej końcu, samotne w ponurej pustce pokoju, stało potrójne podium, a na nim w fotelu pod baldachimem siedział człowiek, dla spotkania z którym Hornblowerowi kazano odpłynąć pół kuli ziemskiej. Nie wyglądał zbyt imponująco ani dostojnie; mały człowieczek o ciemnej cerze, nerwowo ruchliwy, ze świdrującymi czarnymi oczkami i prostymi czarnymi włosami, zaczynającymi już siwieć. Powierzchność zdradzała nieznaczną domieszkę krwi indiańskiej u jego europejskich protoplastów. Odziany był po europejsku, w czerwony surdut obramowany złotem, biały żabot, białe bryczesy i pończochy. Na butach miał złote kłamy. Hernandez zgiął się przed nim służalczo.

— Długo cię nie było — warknął Alvarado. — Podczas twojej nieobecności jedenastu ludzi dostało chłostę.

— Supremo — odrzekł Hernandez cichym głosem, szcękając zębami ze strachu — kapitan wyruszył zaraz, jak usłyszał twoje wezwanie.

Alvarado zwrócił swe świdrujące spojrzenie na Hornblowera, który skłonił się sztywno. Przyszło mu do głowy podejrzenie, że być może cierpienia tych jedenastu wychłostanych ludzi w jakiś sposób były związane z ilością czasu, jaką zajęło przejechanie konno z brzegu morza do tego domu.

— Kapitan Horatio Hornblower z „Lydii”, fregaty jego królewskiej mości króla Anglii, do pańskich usług, sir — powiedział.

— Przywiózł mi pan broń i proch?

— Mam je na okręcie.

— To dobrze. Proszę załatwić z generałem Hernandezem sprawę wylądunku.

Hornblower pomyślał o pustych prawie magazynach na fregacie; a miał do karmienia trzystu osiemdziesięciu ludzi. Ponadto, jak każdy kapitan, zaczynał już odczuwać irytację z powodu swej zależności od lądu. Nie odzyska spokoju i równowagi, póki „Lydia” nie napełni się znów zapasami żywności, wody, drzewa opałowego i innych potrzebnych rzeczy w ilościach dostatecznych na to, aby opłynąć z powrotem przylądek Horn i dotrzeć, jeśli już nie do kraju, to przynajmniej do Indii Zachodnich lub do Świętej Heleny.

— Nie mogę niestety wydać niczego, sir, dopóki potrzeby mojego okrętu nie zostaną zaspokojone — powiedział. Usłyszał, jak Hernandez wciągnął gwałtownie powietrze wobec tej świętokradczej gry na zwłokę w obliczu rozkazów el Suprema. Brwi władcy zbiegły się w jedną linię; przez moment wydawało się, że będzie próbował narzucić swoją wolę kapitanowi, ale widząc doszedł do wniosku, że nie ma sensu spierać się ze swym nowym sprzymierzeńcem, bo już po chwili twarz jego się rozpuodziła.

— Oczywiście — odpowiedział. — Proszę powiedzieć generałowi Hernandezowi, czego panu potrzeba, a on wszystko dostarczy.

Hornblower miał już do czynienia z oficerami w służbie hiszpańskiej i wiedział, jak potrafią obiecywać, nie wykonując przyrzeczeń, i odkładać załatwienie spraw na później; poznał ich fałsz i dwulicowość. Sądził, że jeszcze mniej można ufać zbuntowanym oficerom z Ameryki Hiszpańskiej. Postanowił więc od razu powiedzieć, jakie są jego potrzeby, by mieć nadzieję na ich chociaż częściowe zaspokojenie w najbliższej przyszłości.

— Moje beczki na wodę muszą być jutro napełnione — powiedział.

Hernandez skinął głową.

— W pobliżu miejsca, w którym wylądowaliście, jest źródło. Jeśli pan sobie życzy, mogę dać ludzi do pomocy.

— Dziękuję, ale to nie będzie potrzebne. Załoga da sobie radę sama. Prócz wody potrzeba mi...

Hornblower zaczął szybko podsumowywać w myśli wielorakie potrzeby fregaty przebywającej siedem miesięcy w morzu.

— Tak senior?

— Potrzeba mi dwieście wołów. A jeśli będą chude i małe — to dwieście pięćdziesiąt. Pięćset świń. Sto kwintali soli. Czterdzieści ton sucharów, a jeśli ich nie dostanę, to równowartość w mące oraz piece i opał potrzebny do wypieku. Sok z czterdziestu tysięcy cytryn, pomarańczy lub

limon[17] — dostarczę na to baryłki. Dziesięć ton cukru. Pięć ton tytoniu. Tona kawy. Uprawiacie tu ziemniaki, prawda? Więc dwadzieścia ton ziemniaków mi wystarczy.

Twarz Hernandeza wydłużyła się, w miarę jak kapitan recytował tę długą listę.

— Ależ, kapitanie... — próbował oponować, lecz Hornblower przerwał mu z miejsca.

— Następnie — kontynuował — na nasze bieżące potrzeby w czasie postojów w porcie będę potrzebował pięć wołów dziennie, dwa tuziny kurcząt, jajek tyle, ile zdoła pan dostarczyć, i codziennie świeżych warzyw w ilości dostatecznej dla załogi mego okrętu.

Hornblower był najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem, lecz gdy szło o jego okręt, obawa niepowodzenia czyniła go nieoczekiwanie twardym i odważnym.

— Dwieście wołów! — powiedział kompletnie załamany Hernandez. — Pięćset świń!

— Tak właśnie powiedziałem — odrzekł Hornblower nieugiętym tonem. — Dwieście t ł u s t y c h wołów. W tym momencie wmieszał się el Supremo.

— Dopilnuj, żeby potrzeby kapitana zostały zaspokojone

— rzekł z niecierpliwym ruchem ręki. — Zaczynaj od razu.

Hernandez zawahawszy się przez chwilę krótszą niż ułamek sekundy, opuścił pokój. Wielkie, obite mosiądzem drzwi zamknęły się cicho za nim.

— To jedyny sposób postępowania z tymi ludźmi — powiedział lekko el Supremo. — Nie są lepsi od zwierząt. Wszelka delikatność w stosunku do nich jest zbędna. Niewątpliwie zdążając tutaj widział pan po drodze różnych zbrodniarzy poddanych karze?

— Tak, widziałem.

— Moi ziemscy przodkowie — rzekł el Supremo — zadawali sobie wiele trudu obmyślając wyrafinowane sposoby karania. Palili ludzi z wyszukaniem ceremoniałem, wycinali im serca przy akompaniamencie muzyki i tańców lub przyprawiali o śmierć zawijając ich w surowe skóry bydlęce i wystawiając na działanie słońca. Według mnie to wszystko nie jest potrzebne. Wystarczy zwykły rozkaz: przywiązać człowieka i zostawić, żeby umarł z pragnienia. Człowiek umiera i koniec z nim.

— Tak — powiedział Hornblower.

— Nie są zdolni przyswoić sobie najprostszycy nawet pojęć. Do dziś są tacy, co nie mogą zrozumieć tak oczywistej prawdy, że krew Alvarada i Montezumy musi być boska. Wciąż trwają przy swoich nedorzecznych Chrystusach i Dziewicach.

— Czyżby? — rzekł Hornblower.

— Jeden z moich pierwszych poruczników nie potrafił otrząsnąć się z wpływu swego wcześniejszego wychowania. Gdy ogłosiłem moją boskość, powiedział, że trzeba by rozesłać misjonarzy do plemion, żeby ich nawracali, tak jakbym ogłaszał nową religię. Nie potrafił nigdy zrozumieć, że nie jest to kwestia, zapatrywać, lecz fakt niezbity. Rzecz jasna zmarł z pragnienia jako jeden z pierwszych.

— Oczywiście.

Hornblower był tym wszystkim zupełnie oszołomiony. Trzymał się jednak kurczowo faktu, że musi stać się sprzymierzeńcem tego szaleńca. Jeśli zdobycie zapasów dla „Lydiej” zależało od czegokolwiek, to wyłącznie od zgodnego z nim współdziałania — i to była sprawa absolutnie najważniejsza.

— Wasz król Jerzy musiał być uradowany wieścią, że zgadzam się współdziałać z nim — ciągnął el Supremo.

— Wysłał mnie do pana z zapewnieniem o swej przyjaźni — odpowiedział Hornblower ostrożnie.

— Oczywiście — powiedział el Supremo. — Nie ośmieliłby się posunąć dalej. Krew rodziny Gwelfów nie może naturalnie równać się z krwią Alvaradów.

— Hmm — odrzekł Hornblower. Uznał, że ten nieobowiązujący dźwięk może być równie użyteczny w rozmowie z el Supremem, jak z porucznikiem Bushem.

El Supremo lekko zmarszczył brwi.

— Mam nadzieję — powiedział nieco surowo — że znana jest panu historia rodu Alvarado? Wie pan chyba, kto pierwszy o tym nazwisku dotarł do tego kraju?...

— To był porucznik Corteza... — zaczął Hornblower.

— Porucznik? Nic podobnego. Jestem zdziwiony, że może pan wierzyć w takie brednie. Był przywódcą konkwistadorów; przedstawianie Corteza jako wodza jest tylko fałszowaniem historii. Alvarado podbił Meksyk. Stamtąd przybył na to wybrzeże i zdobył je całe aż po przesmyk. Poślubił córkę Montezumy, ostatniego z cesarzy, a ja będąc bezpośrednim potomkiem z tego związku postanowiłem wybrać z imion rodowych imiona Alvarado i Montezuma. Lecz w Europie, na długo przed przybyciem głowy dynastii do Ameryki, imię Alvarado było znane przed Habsburgami i Wizygotami, przed Rzymianami i cesarstwem Aleksandra i wywodzi się z samych źródeł czasu. Dlatego też jest rzeczą całkiem naturalną, że w obecnym pokoleniu ród nasz został w mojej osobie podniesiony do godności boskiej. To dobrze, że pan się ze mną zgadza, kapitanie... kapitanie...

— Hornblower.

— Dziękuję. A teraz kapitanie Hornblower, powinniśmy przystąpić do omówienia planów rozszerzenia mego imperium.

— Jak pan sobie życzy — odrzekł Hornblower. Czuł, że musi się zgadzać z tym obłąkańcem przynajmniej do chwili, aż „Lydia” napełni swe magazyny żywnościowe, chociaż wątpliwa już przedtem nadzieja stanięcia na czele udanego buntu w tym kraju słabła w nim coraz bardziej.

— Burbon, który nazywa siebie królem Hiszpanii — powiedział el Supremo — utrzymuje w tym kraju swego urzędnika, który zwie siebie generałem kapitanem Nikaragui. Jakiś czas temu wysłałem do tego dżentelmena pismo nakazujące oddanie mi hołdu. Nie uczynił tego, a nawet był na tyle nierozważny, że mojego posła powiesił publicznie w Managui. Spośród zuchwalców, których wysłał następnie, by pozyskać sobie mą boską osobę, część została wybita w drodze, część zmarła z pragnienia przywiązana do słupów, a tylko kilku miało tyle szczęścia, że ujrzeli światło i teraz są w mojej armii. Jak słyszę, generał kapitan dowodzi obecnie oddziałem o sile trzystu ludzi w mieście El Salvador. Gdy wyładuje pan broń przeznaczoną dla mnie, proponuję ruszyć na to miasto, które spalę razem z generałem kapitanem i z tymi jego ludźmi, którzy okażą się nieoświeceni. Może, kapitanie, będzie mi pan towarzyszyć? Płonące miasto jest godne obejrzenia.

— Najpierw muszę dostać żywność dla mego okrętu — powiedział Hornblower stanowczo.

— Wydałem już co do tego rozkazy — odpowiedział el Supremo z odcieniem zniecierpliwienia.

— Ponadto — ciągnął kapitan — moim obowiązkiem będzie ustalić wpierw miejsce pobytu hiszpańskiego okrętu wojennego „Natividad”, który, o ile wiem, znajduje się w tej okolicy. Zanim włączę się do jakichkolwiek operacji na lądzie, muszę dopilnować, żeby nie mógł on uczynić szkody mojemu okrętowi. Muszę go zdobyć lub mieć pewność, że znajduje się dostatecznie daleko, by nie mógł stanąć nam na przeszkodzie.

— Więc niech go pan raczej zdobędzie, kapitanie. Według informacji, jakie otrzymałem, może on lada chwila wpłynąć do zatoki.

— Wobec tego muszę natychmiast wracać na mój okręt — powiedział Hornblower w najwyższym podnieceniu. Panika owładnęła nim na myśl, że okręt uzbrojony w pięćdziesiąt dział mógł by pod jego nieobecność zaatakować „Lydię”. Co powiedzieliby lordowie z Admiralicji, gdyby fregata brytyjska została utracona w czasie, gdy jej kapitan znajdował się na lądzie?

— Zaraz podadzą jeść. Otóż i są! — powiedział el Supremo.

W momencie gdy to mówił, drzwi na końcu sali otworzyły się, gromada służących zaczęła wchodzić wolnym krokiem niosąc wielki stół ze srebrnymi nakryciami i cztery wielkie srebrne świeczniki, każdy z pięcioma zapalonymi świecami.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę czekać na posiłek. Nie wolno mi — rzekł Hornblower.

— Jak pan chce — powiedział obojętnie el Supremo. — Alfonso!

Majordomus o murzyńskim wyglądem wystąpił naprzód z pokłonem.

— Dopilnuj, żeby kapitan Hornblower wrócił na swój statek.

Wypowiedziawszy te słowa, el Supremo zapadł w zamyślenie. Wydawał się nie dostrzegać krzątający towarzyszącej przygotowywaniu uczy. Nie obdarzył już więcej spojrzeniem Hornblowera, który stojąc przed nim zaczynał żałować swej pochopnej decyzji powrotu na okręt; obawiał się, czy swoim zachowaniem nie obraził el Suprema, i martwił się koniecznością uzupełnienia zapasów „Lydii”, zdając sobie przy tym ostro sprawę z tego, że taka niepewność w obliczu człowieka, który nie zwraca nań w ogóle uwagi, wcale nie dodaje mu godności.

— Tędy, senor — powiedział Alfonso, biorąc go za łokieć, podczas gdy wzrok el Suprema był wciąż skierowany w przestrzeń ponad głową kapitana. Hornblower ustąpił i ruszył za majordomusem na patio.

W półmroku czekało tam na niego dwóch ludzi i trzy konie. Bez słowa, zdeorientowany tym nagłym obrotem wydarzeń, Hornblower postawił stopę na złączonych dłoniach półnagiego niewolnika klęczącego przy koniu i wskoczył na siodło. Eskortujący go ludzie ruszyli przodem w stronę bramy, a on podążył za nimi. Noc zapadała szybko.

Na zakręcie ścieżki otworzył się przed nimi widok na zatokę. Młody księżyc szybko bladł na niebie. Ciemny kształt pośrodku srebrzystej wody wskazywał, gdzie „Lydia” stoi na kotwicy — ona przynajmniej była czymś trwałym i rzeczywistym w tym zwariowanym świecie. Na wschodzie szczyt góry nagle zabarwił się czerwienią, rzucając odblask na wiszące nad nim chmury, po czym rozpląnął się w ciemności. Jadąc ostrym kłusem w dół stromą ścieżką mijali cuchnące zwłoki i jęczących ludzi przywiązanych do słupów, aż wjechali do miasteczka. Nie było tu ani świateł, ani żadnego ruchu, i Hornblower musiał się zdać na konia, instynktownie podążającego na zakrętach za eskortą. Odgłosy podków końskich ucichły, gdy wjechali na miękki piasek plaży; równocześnie Hornblower usłyszał żalosne jęki pierwszego człowieka, którego widział poprzednio przywiązanego do słupa, i dojrzał słabą fosforescencję morza przy brzegu.

Po ciemku na wycucie znalazł drogę do czekającej łodzi i spoczął na ławce. Przy akompaniamencie wrzaskliwych rozkazów niewidoczna załoga odbiła od lądu. Nie było ani śladu wiatru — bryza morska ucichła z zachodem słońca, a bryza lądowa jeszcze się nie zaczęła. Niewidzialna w ciemnościach załoga pracowała przy sześciu wiosłach, wzbijając fontanny wody, a piana ledwie dostrzegalna przy każdym uderzeniu wiosła pobudzała fosforescencję. Zagłębiali się wolno w zatokę przy rytmicznym odgłosie wiosła. Z dala na wodzie kapitan dostrzegł słaby zarys „Lydii”, a w minutę później usłyszał miły głos Busha, który zawołał:

— Kto na łodzi?

Hornblower złożył dłonie w trąbkę i przyłożywszy je do ust odkrzyknął: — „Lydia”!

Kapitan okrętu królewskiego płynący małą łodzią zamiast nazwiska podaje nazwę swego okrętu.

Hornblower usłyszał teraz to, co się spodziewał usłyszeć, i zobaczył to, co się spodziewał zobaczyć: tupot i zamieszanie spowodowane przez podoficerów i trawnych biegnących do traw, odmierzonego krok żołnierzy piechoty morskiej, mruganie latarń. Łódź podeszła blisko i kapitan

wskoczył na trap. Dobrze było poczuć znów solidne drewno dębowe pod stopami. Gwizdki podoficerów zwały się w jeden chór, żołnierze sprezentowali broń i u szczytu trapu pojawił się Bush, aby powitać Hornblowera z całą pompą i ceremoniałem należnym kapitanowi przybywającemu na pokład.

W świetle latarni Hornblower dojrzał wyraz ulgi na otwartym obliczu Busha. Rzucił okiem po pokładach; jedna wachta, owinięta w koce, leżała na nagich deskach pokładu, druga przykucnęła przy działach, gotowa do boju. Bush zachował wszelkie środki ostrożności niezbędne w czasie postoju na kotwicy w porcie, który mógłby się okazać wrogi.

— Bardzo dobrze, panie Bush — rzekł Hornblower. Po czym uświadomił sobie, że jego najlepsze białe bryczesy zaplamiły się od brudnego siodła, a najlepsze białe pończochy są poprzecierane na łydkach. Poczul się niekon-tent ze swego wyglądu. Wstyd mu było, że wrócił na okręt w tak opłakanym stanie i nie załatwiwszy — jak mniemał — niczego na przyszłość. Był zły na siebie; bał się, że straci u Busha na opinii, gdy tamten pozna fakty. Czuł, że mu policzki czerwienieją z zażenowania i swoim zwyczajem schronił się za barierę małomówności.

— Hmm — chrząknął sucho. — Proszę mnie zawołać, gdyby zaszło coś, co by to uczyniło rzeczą konieczną.

Odwrócił się i już bez słowa zszedł do swojej kabiny, gdzie zasłony płócienne zastąpiły usunięte grodzie.

Bush patrzył za znikającą sylwetką kapitana. Wokół zatoki migotały i żarzyły się wulkany. Załodze podnieconej przybyciem do obcego kraju pilno było usłyszeć, co ją czeka, toteż poczuli się rozczarowani, podobnie jak oficerowie, którzy ze zrzędyłymi minami patrzyli, jak kapitan schodzi do swej kabiny.

Przez krótki moment Hornblower miał uczucie, że jego dramatyczne pojawienie się i odejście skompensowało mu nieco przykrą świadomość niepowodzenia. Lecz trwało to zaledwie moment. Usiadłszy na koi i odesławszy Polwheala poczul, że ogarnia go znów przygnębienie. Znużony umysł z trudem powrócił do rozważania kwestii, czy uda mu się dostać jutro zapasy. Trapił się myślą, czy zdoła wzniecić na tyle udane powstanie, żeby zadowolić Admiralicję. Trapił się czekającym go pojedynkiem z „Natividad”.

A przez cały czas, gdy snuł te rozważania, czuł, że rumieni się ze wstydu na wspomnienie bezceremonialnej odprawy ze strony el Suprema. Uświadamiał sobie, że niewielu kapitanów w służbie jego królewskiej mości poddałoby się tak potulnie takiemu jaśniepańskiemu potraktowaniu.

— Ale co, u diabła, mogłem zrobić? — spytał sam siebie z rozrzewniającą bezradnością.

Nie przykręcając knota latarni leżał w swej koi, pocąc się w martwocie tropikalnej nocy, a myśli jego to wracały w przeszłość, to wybiegały w przyszłość.

A potem zasłona płócienna zatrzepotała. Po pokładach przemknął słaby powiew. Marynarski instynkt mówił mu, jak „Lydia” obraca się na kotwicy. Poczul delikatne drżenie, jakie przebiegło

okręt, gdy lina kotwiczna wyprężyła się w kierunku, skąd powiał wiatr. Nareszcie zaczęła się bryza od lądu. Na okręcie od razu zrobiło się chłodniej. Hornblower przewrócił się na bok i zasnął.

Rozdział V

Wątpliwości i obawy, jakie poprzedniego wieczora ogarnęły Hornblowera, gdy próbował zasnąć, znikły z nastaniem dnia. Obudzony kapitan poczuł przypływ świeżych sił. Gdy pił kawę, którą Polwheal przyniósł mu o świcie, w głowie roіło mu się od planów i po raz pierwszy od tygodni pozwolił sobie na zrezygnowanie z ranej przechadzki po pokładzie rufowym. Wyszedłszy na pokład postanowił, że muszą przynajmniej napełnić beczki wodą i uzupełnić zapasy opału. Na jego rozkaz grupy marynarzy pośpieszyły do talii, by podnieść największą szalupę i wychylić ją za burtę oraz opuścić łodzie zawieszzone u żurawików na rufie. Wkrótce łodzie załadowane pustymi beczkami i pełne podnieconych marynarzy szły ku lądowi; na dziobie każdej z nich siedziało dwóch żołnierzy piechoty morskiej w czerwonych uniformach, z muszkietami załadowanymi i bagnetami osadzonymi na broń. W uszach brzmiało im jeszcze echo ostatnich rozkazów sierżanta, który powiedział, że jeśli w czasie pobytu na lądzie zdezerteruje chociaż jeden marynarz, wszyscy odczują to porządnie na swych grzbietach.

W godzinę później szalupa wróciła pod żaglami, załadowana po brzegi beczkami z wodą. Gdy wyładowywano je i spuszczano do ładowni, kadet Hooker przybiegł do Hornblowera i salutując zameldował:

— Pędzą bydło ku brzegowi, sir.

Hornblower musiał uczynić wysiłek, by zachować obojętny wyraz twarzy i przyjąć wiadomość tak, jakby się jej spodziewał.

— Ile sztuk? — rzucił oschłym tonem. Zadał to pytanie by zyskać na czasie, lecz odpowiedź zaskoczyła go jeszcze bardziej.

— Setki, sir. Jest tam jeden diego pilnujący stada, gada strasznie dużo, ale nikt z naszych nie potrafił zrozumieć jego mowy.

— Przyślijcie go do mnie, jak będziecie znów na brzegu — rzekł Hornblower.

Przerwę, która teraz nastąpiła, Hornblower poświęcił na przygotowanie się do podjęcia decyzji. Krzyknął do marynarza na szczycie masztu, żeby dobrze obserwował kierunek od morza. Z jednej strony mogło się zdarzyć, że „Natividad” wpłynie tu z Pacyfiku; w tym wypadku „Lydia”, zaskoczona z połową załogi na brzegu, nie będzie miała czasu wyjść z zatoki i będzie musiała stoczyć nierówną walkę na zamkniętych wodach. Z drugiej strony istniała możliwość, że uda się uzupełnić wszystkie zapasy i w ten sposób uniezależnić się całkowicie od lądu. Z tego, co Hornblower miał możność zaobserwować w czasie pobytu na brzegu, wynikało, że odkładanie tego momentu było ogromnie niebezpieczne; w każdej chwili powstanie Don Juliana Alvarado mogło skończyć się nagle i krwawo.

Człowiekiem, o którym mówił kadet, był Hernandez. Przybył w tej samej łodzi z dwoma

małymi żaglami łacińskimi, którą Hornblower został odwieziony na „Lydię” ubiegłego wieczora. Na pokładzie rufowym kapitan i przybysz pozdrowili się wzajemnie.

— Czterysta sztuk bydła do pańskiej dyspozycji, kapitanie — rzekł Hernandez. — Moi ludzie pędzą je ku brzegowi.

— Dobrze — odrzekł Hornblower, jeszcze niezupełnie zdecydowany, co ma robić dalej.

— Obawiam się, że dostarczenie żądanej liczby świń zajmie więcej czasu — ciągnął Hernandez. — Moi ludzie zbierają je po całym kraju, ale świń nie da się pędzić tak szybko.

— Tak — rzekł Hornblower.

— Jeśli chodzi o sól, nie będzie łatwo zgromadzić sto kwintali, których pan żądał. Zanim nasz władca ogłosił swą boskość, sól była objęta monopolem królewskim i w rezultacie odczuwało się jej brak. Posłałem jednak ludzi do warzelnii w Jiquiliso i spodziewam się, że znajdą jej tam dosyć.

— Tak — powiedział Hornblower. Pamiętał, że żądał soli, ale nie mógł sobie przypomnieć, jaką ilość wtedy wymienił.

— Kobiety zbierają już dla pana cytryny, pomarańcze i limony, ale obawiam się, że będziemy mogli dostarczyć całą żadaną ilość dopiero za dwa dni.

— Hmm — chrząknął Hornblower.

— Cukier już czeka w cukrowni el Suprema, a tytoniu jest dość w magazynie. Czy życzy pan sobie jakiś specjalny gatunek? Przez pewien czas zwijaliśmy cygara tylko na nasze własne potrzeby, ale mogę znowu zapędzić kobiety do tej pracy, jak skończą zbierać owoce.

— Hmm — rzekł znowu Hornblower, w porę stłumiwszy okrzyk zadowolenia, którego omal nie wydał, gdy usłyszał o cygarach — trzy miesiące temu wypalił ostatnie ! Jego ludzie palili skręty z plecionego tytoniu virginia, ale tu, na tym wybrzeżu będzie on naturalnie nieosiągalny. Widział jednak często marynarzy brytyjskich żujących ze smakiem na pół wysuszone liście mniej znanych gatunków tytoniu.

— Proszę dostarczyć tyle cygar, ile pan może — powiedział sztucznie obojętnym tonem. — Co do reszty, jest mi wszystko jedno, co pan przyśle.

Hernandez skłonił się.

— Dziękuję, senior. Z dostarczeniem kawy, jarzyn i jaj nie będzie żadnych trudności. Ale suchary...

— Słucham?

Widać było, że Hernandez boi się tego, co ma powiedzieć.

— Ekscelencjo, proszę mi wybaczyć, ale w naszym kraju uprawiamy tylko kukurydzę. Na tierra templada[18] uprawia się trochę pszenicy, ale ta ziemia jest jeszcze w rękach nieoświeconych. Czy może być mąka kukurydziana?

Na twarzy Hernandeza malowała się obawa, gdy patrzył na Hornblowera czekając, co ten powie. W tym dopiero momencie Hornblower uświadomił sobie, że Hernandez boi się o swoją głowę i że lekkomyślne zatwierdzenie jego żądań przez el Suprema miało znacznie większy skutek, niż miałby jakikolwiek opatrzony stemplami i pieczęciami rozkaz zaadresowany do przedstawiciela władzy hiszpańskiej.

— To trudna sprawa — powiedział surowo Hornblower. — Moi angielscy marynarze nie są przyzwyczajeni do mąki kukurydzianej.

— Wiem — odrzekł Hernandez, a zaciśnięte kurczowo palce jego rąk drgały niespokojnie. — Zapewniam jednak jego ekscelencję, że mogę zdobyć dla pana mąkę pszenną tylko drogą walki, a jestem pewien, że el Supremo nie życzyłby sobie, abym się teraz wdawał w walkę. El Supremo będzie zły.

Hornblower przypomniał sobie przerażenie, z jakim Hernandez patrzył na el Suprema poprzedniego wieczora. Człowiek ten umierał ze strachu, aby nie doniesiono el Supremowi, że nie wykonał jego rozkazów. I nagle Hornblower przypomniał sobie coś, o co nie wiadomo czemu zapomniał wówczas poprosić, co było chyba ważniejsze niż tytoń lub owoce, a już na pewno o wiele ważniejsze niż różnica między mąką kukurydzianą i pszenną.

— Dobrze — rzekł — zgodzę się na mąkę kukurydzianą. Ale w związku z tym muszę poprosić o coś jeszcze.

— Oczywiście, kapitanie. Dostarczę wszystko, czego pan zażąda. Proszę tylko powiedzieć co.

— Potrzebuję czegoś mocniejszego do picia dla moich ludzi — rzekł Hornblower. — Można tu dostać wino? Napoje alkoholowe?

— Jest trochę wina, wasza ekscelencjo. Ale niedużo. Ludzie na tym wybrzeżu piją napój alkoholowy, do którego być może wy nie jesteście przyzwyczajeni. Ten napój bywa dobry, kiedy jest dobrej jakości. Pędzi się go, ekscelencjo, z odpadów cukrowniczych, z melasy.

— Rum, na Boga! — zawołał Hornblower.

— Tak, senor, rum. Czy przyda się na coś jego ekscelencji?

— Mogę to przyjąć w miejsce czegoś lepszego — powiedział Hornblower obojętnym tonem.

Serce skakało mu z radości. W oczach oficerów zdobycie rumu i tytoniu na tym naszpikowanym wulkanami wybrzeżu będzie wyglądało na cud.

— Dziękuję panu, kapitanie. A czy mamy już zacząć ubój bydła?

Decyzję w tej sprawie Hornblower odwlekał od momentu, w którym usłyszał o przybyciu bydła na brzeg. Zanim zdecydował się na ryzykowny krok, spojrzął na obserwatora na szczycie masztu, ocenił siłę wiatru i popatrzył uważnie na morze.

— Dobrze — odpowiedział w końcu. — Zaczynamy.

Wiatr od morza był słabszy niż poprzedniego dnia, a im słabszy wiatr, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że przybycie „Natividad” przeszkodzi „Lydii” w uzupełnianiu zapasów. Jak się okazało, zadanie to zostało wykonane bez zakłóceń. Przez dwa dni łodzie kursowały tam i z powrotem między brzegiem i okrętem. Przybywały wyładowane krwistymi połciami mięsa. Piasek na brzegu spływał krwią szlachtowanych zwierząt, a na pół oswojone sępy obżerały się nieprzytomnie na stosie odpadów. Na pokładzie intendent i jego ludzie pracowali w piekącym skwarze jak niewolnicy, napełniając mięsem beczki z solanką i ustawiając je w magazynach. Bednarz z pomocnikami harowali dwa dni niemal bez przerwy robiąc nowe beczki i naprawiając stare. Wory mąki, baryłki z rumem, bele tytoniu — marynarze przy taliach oblewali się potem, windując to wszystko z łodzi na pokład. „Lydia” napełniała powoli swój brzuch.

Dobre intencje tych na łądzie były tak oczywiste, że Hornblower dał rozkaz zwolnienia ładunku przeznaczonego do wyładowania na tutejszym brzegu i łodzie przywożące mięso i mąkę na okręt wracały teraz wypełnione skrzyniami muszkietów i baryłkami prochu i śrutu. Hornblower kazał spuścić na wodę swój gig i od czasu do czasu opływał okręt dookoła, sprawdzając jego trym; spodziewał się, że w każdej chwili trzeba będzie podnieść kotwicę i wypłynąć na morze, aby stoczyć walkę z „Natividad”.

Pracowano dniem i nocą. W ciągu piętnastu lat na morzu — a każdy rok był rokiem wojny — Hornblower widział nieraz, jak marnowały się wspaniałe szanse przez zwykły brak energii lub niedopilnowanie, by załoga dała z siebie maksimum wysiłku. Prawdę mówiąc, sam stracił parę okazji w podobny sposób. Wciąż jeszcze czuł ukłucie wstydu na wspomnienie, jak na przykład w okolicy Azorów zaprzepaścił możliwość zdobycia statku korsarskiego. Nie chcąc znów skompromitować się we własnych oczach, gnał ludzi do roboty, aż upadali na nosy.

Nie było teraz czasu cieszyć się przyjemnościami, jakie ofiarowywał ląd. Wprawdzie grupa marynarzy na brzegu rozpaliwszy ogromne ognisko piekła przy nim swoje racje i rozkoszowała się smakiem pieczonego świeżego mięsiwa, po siedmiu miesiącach spożywania solonego, gotowanego w morskiej wodzie, ale z przekorą charakterystyczną dla marynarzy angielskich ludzie ci odwracali się ze wstrętem od proponowanych im wspaniałych owoców — bananów i pawpaw[19], ananasów i guawy[20] — i uważali się za poszkodowanych, ponieważ dawano im te owoce zamiast codziennej racji gotowanego suszonego grochu.

I wówczas, gdy wieczorem drugiego dnia Hornblower przechadzał się po rufie, ciesząc się powiewem bryzy morskiej, najświeższej o tej porze, i delektując się myślą, że w razie konieczności nie będzie już zależny od lądu przez następne sześć miesięcy, i z najwyższą przyjemnością oczekując wspaniałej kolacji z pieczonej kury, od brzegu dobiegł go odgłos strzelaniny. Najpierw rozproszona salwa, kilka oderwanych strzałów, a potem następna nierówna salwa. Hornblower zapomniał o kolacji, o dobrym samopoczuciu, o wszystkim. Kłopoty na łądzie, rzecz obojętna jakiego rodzaju, oznaczały, że powodzenie jego misji jest zagrożone. W

gorączkowym pośpiechu przywołał gig i już po chwili łódź szła ku brzegowi, niesiona uderzeniami mocnych wiosła, które gięły się od siły, z jaką marynarze ciągnęli je, poganiani przekleństwami sternika Browna.

Scena, jaką zobaczył, gdy okrążyli cypel, przeszła jego najgorsze oczekiwania. Cała grupa załogi, która przebywała akurat na lądzie, zbiła się w gromadkę na plaży. Dwunastu żołnierzy piechoty morskiej stało w szeregu na jednym skrzydle; nabijali właśnie muszkiety po oddanych strzałach. Obok nich skupili się marynarze, uzbrojeni w co się dało. Tubylcy otaczali ludzi z okrętu szerokim półkolem, wymachując mieczami i muszkietami, a na kawałku piasku dzielącym obie grupy leżały dwa ciała. Na skraju wody, w tyle za grupą marynarzy, leżał ktoś z załogi wsparty na łokciu i wymiotował obficie krwią. Dwaj koledzy pochyłali się nad nim.

Hornblower wyskoczył z łodzi na płyciznę i nie zwracając uwagi na ранego marynarza parł naprzód, rozpychając zebrany tłum. W momencie gdy stanął na wolnym kawałku piasku, z półkola tubylców zgromadzonych w górnej części plaży wznosił się obłoczek dymu i kula ze świstem przeleciała nad głową kapitana. Lecz Hornblower nie zwrócił i na to uwagi.

— Opuścić muszkiety! — ryknął na żołnierzy i odwróciwszy się w stronę gwałtownie gestykulującego tłumy miejscowych ludzi podniósł rękę, dłonią zwróconą w ich stronę, czyniąc instynktownie ruch oznaczający pokojowe zamiary. Był tak wściekły, że ktoś psuje mu szansę na powodzenie, iż w umyśle jego nie było miejsca na strach o własne życie.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał.

Grupą z okrętu dowodził Galbraith. Chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo jeden z tych, którzy byli przy umierającym koledze zapomniawszy o dyscyplinie w napadzie świętego oburzenia — Hornblower uznał je za charakterystyczne dla prostych marynarzy z dolnego pokładu i jako takie za godne nieufności i pogardy — przepchnął się do przodu i rzeki:

— Oni tam torturowali jakiegoś biedaka, sir. Przywiązali go do pala i zostawili, żeby zdechł z pragnienia.

— Milczeć! — krzyknął Hornblower nie posiadając się z wściekłości nie tylko z powodu naruszenia dyscypliny, ale także dlatego, że uświadomił sobie piętrzące się przed nim trudności. — Panie Galbraith!

Galbraith nie był szybki ani w mówieniu, ani w myśleniu.

— Nie wiem, jak się to zaczęło, sir — zaczął. Mimo że od dzieciństwa pędził życie na morzu, wymowa jego wciąż zachowała lekki ślad szkockiego akcentu. — Stamtąd, z góry nadbiegła ich gromada. Mieli ze sobą Smitha, był ranny.

— Już nie żyje — powiedział ktoś.

— Milczeć! — krzyknął znowu Hornblower.

— Zobaczyłem, że chcą nas zaatakować, no to kazałem żołnierzom strzelać, sir — ciągnął

Galbraith.

— Pomówię z panem później, panie Galbraith — rzucił sucho Hornblower. — Jenkins, i ty, Poole, coście robili tak daleko?

— No więc, sir, to było tak, sir... — zaczął Jenkins. Był teraz zbity z tropu i potulny jak owca. Hornblower kipiał z wściekłości, a jemu udowodniano publicznie złamanie rozkazów.

— Wiedziałeś, że rozkaz zabrania komukolwiek przechodzić za strumyk?

— Tak, sir.

— Jutro rano pokażę ci, co znaczą rozkazy, i tobie też, Poole. Gdzie sierżant od piechoty morskiej?

— Tutaj, sir.

— Ładnie pilnujecie, sierżancie, skoro ci ludzie mogli przejść! Co robiły wasze posterunki?

Sierżant nie mógł wykrztusić ani słowa wobec tego niezaprzeczalnego dowodu niedopatrzenia z jego strony; stał sztywno na baczność i milczał.

— Rano pomówi z wami pan Simmonds — ciągnął Hornblower. — Wątpię, czy po tej rozmowie będziecie jeszcze mieli belki na ramieniu.

Hornblower potoczył spojrzeniem po swoich ludziach. Po gwałtownej reprimendzie wszyscy byli zastraszeni i potulni. Kapitan czuł, jak jego wściekłość opada na myśl, że udało mu się opanować sytuację, nie wypowiadając ani słowa na usprawiedliwienie zachowania się tubylców. Odwrócił się, by powitać Hernandeza, który przygalopował co sił na swoim koniku i ściągnąwszy cugle stanął wzbijając fontannę piasku.

— Czy el Supremo wydał rozkaz, aby zaatakowano moich ludzi? — zapytał Hornblower nie dając mu dojść do słowa.

— Nie, kapitanie — odpowiedział Hernandez i Hornblower zanotował z satysfakcją, jak drgnął on na dźwięk imienia el Suprema.

— Myślę, że nie będzie zbyt zadowolony z pana, gdy mu o tym powiem — ciągnął Hornblower.

— Pańscy ludzie próbowali uwolnić człowieka skazanego na śmierć — powiedział Hernandez na pół rozgniewanym, na pół przeprasającym tonem. Widać było, że nie czuje się zbyt pewnie na swoim gruncie i że obawia się reakcji Alvarada na ten incydent.

Hornblower mówił dalej ostro. Nikt z otaczających go Anglików — jeśli się dobrze orientował — nie umiał mówić po hiszpańsku, ale zależało mu, by załoga czuła (teraz, gdy dyscyplina została przywrócona), że jest on całym sercem po jej stronie.

— To nie powód, żeby pańscy ludzie zabijali moich — powiedział.

— Są wściekli i niezadowoleni — odrzekł Hernandez. — Cały kraj został przeczesany w poszukiwaniu żywności dla pana. Człowiek, którego pańscy ludzie usiłowali ocalić, został skazany za to, że chciał ukryć swoje świnie w dżungli, by nie dostały się panu.

Ostatnie słowa Hernandez wypowiedział z wyrzutem, lecz także z odcieniem złości. Hornblower pragnął załatwić sprawę polubownie, nie drażniąc jednak swoich ludzi. Postanowił odprowadzić Hernandeza na bok, poza zasięg słuchu Anglików, i przemówić doń bardziej łagodnym tonem; lecz zanim zdążył to uczynić, uwagę jego zwrócił jeździec pędzący galopem od strony plaży i wymachujący szerokim słomianym kapeluszem. Był to peon[21], zwykły typ Indianina. Wszystkie oczy zwróciły się ku przybyszowi, który ostatkiem sił zawołał:

— Statek... statek się zbliża!

Był tak podniecony, że przeszedł na język indiański, i Hornblower nie mógł zrozumieć jego dalszych słów. Hernandez wystąpił w roli tłumacza.

— Człowiek ten stał na punkcie obserwacyjnym tam, na szczycie wzgórza — powiedział. — Mówi, że dojrzał stamtąd żagle okrętu idącego ku zatoce.

Hernandez zadał szybko przybyszowi kilka dalszych pytań, na które tamten odpowiedział kiwaniem głową, gestami i gwałtownym potokiem słów indiańskich.

— On mówi — ciągnął Hernandez — że często widywał przedtem „Natividad” i jest pewien, że to jest ten sam okręt i że na pewno zdąży tutaj.

— Jak daleko jest stąd? — zapytał Hornblower i Hernandez przetłumaczył odpowiedź.

— Daleko jeszcze, jakieś dwadzieścia mil albo i więcej — powiedział. — Przybywa od południowego wschodu, z Panamy.

Hornblower pocierał podbródek, zastanawiając się głęboko.

— Do zachodu słońca będzie iść z bryzą morską — mruknął do siebie i spojrzął na słońce. — To może potrwać jeszcze z godzinę. W godzinę później zacznie wiać bryza od strony lądu i będzie mógł utrzymać kurs, ale idąc ostro pod wiatr. W zatoce może być o północy. Przez mózg przepływał mu strumień planów i pomysłów. Możliwości przybycia okrętu pod osłoną nocy trzeba przeciwstawić to, co wiedział o nawyku żeglarzy hiszpańskich niewchodzenia do portu w nocy i unikania wszelkich skomplikowanych wyczynów nawigacyjnych, chyba że okoliczności byłyby absolutnie sprzyjające. Żałował, że nie wie czegoś więcej o kapitanie hiszpańskiej fregaty.

— Czy ten okręt „Natividad”, często zawija do waszej zatoki? — zapytał.

— Tak, kapitanie, często.

— Czy jego kapitan jest dobrym żeglarzem?

— O tak, kapitanie, bardzo dobrym.

— Hmm — mruknął Hornblower. Opinia szczura lądowego o umiejętnościach żeglarskich kapitana fregaty mogła być niewiele warta, niemniej jednak należało ją wziąć pod uwagę.

Hornblower znów potarł podbródek. Stoczył już dziesięć pojedynków na morzu. Jeśli wyprowadzi „Lydię” na otwarte wody i tam rozpocznie walkę z „Natividad”, oba okręty mogą strzaskać się nawzajem, tak że zostaną z nich tylko wraki. Olinowanie, reje, kadłuby i żagle zostałyby poszarpane na strzępy przez pociski. „Lydia” mogłaby ponieść duże straty w ludziach, a tu, na Pacyfiku, nie znajdzie się nikogo na ich miejsce. Zużyłoby też swoje bezcenne zapasy amunicji. Z drugiej strony, jeśli zostanie w zatoce, a plan, który obmyślił, nie powiedzie się — jeśli „Natividad” poczeka z wejściem do rana — wtedy on będzie musiał przebijać się z zatoki przeciw bryzie wiejącej od morza, dając Hiszpanom absolutną przewagę w razie dojścia do walki. Siła „Natividad” była tak przeważająca, że otwarte starcie się z tym okrętem byłoby ze strony „Lydii” wielce nierozważne. Czy powinien więc zaryzykować zwiększenie szans przeciwnika? Lecz ewentualne korzyści były tak ogromne, że zdecydował się ryzykować.

Rozdział VI

Z pierwszymi podmuchami bryzy od lądu „Lydia” niczym zjawa w świetle księżyca zaczęła prześlizgiwać się przez zatokę. Hornblower nie odważył się na postawienie żagli, gdyż biała plama płótna mogłaby z dala zostać zauważona przez okręt znajdujący się na morzu. Przy pomocy dwóch największych łodzi, w które wyposażony był okręt, sondując wciąż uważnie przeholowano „Lydię” na głęboką wodę, pod brzeg wyspy położonej u wejścia do zatoki — wyspy Manguera, jak nazwał ją Hernandez, gdy Hornblower szkicował mu w ogólnych zarysach swój plan. Przez godzinę ludzie pracowali ciężko u wiosł, chociaż Hornblower pomagał im jak mógł, wydając komendy sternikowi, aby wykorzystał jak najbardziej dryf „Lydii” wywołany działaniem wiatru na jej takielunek. Wreszcie dotarli do miejsca wybranego na postój i kotwica z pluskiem opadła w wodę.

— Panie Bush, niech umocują bójkę do liny kotwicznej. I miejcie linę gotową do wyrzucenia — rozkazał Hornblower.

— Tak jest, sir.

— Niech łodzie dobiją do burty. Chcę, żeby ludzie odpoczęli.

— Tak jest, sir.

— Panie Gerard, pan obejmie komendę na pokładzie. Proszę dopilnować, aby marynarze na oku nie posnęli. Panów Busha i Galbraitha proszę ze mną na dół.

— Tak jest, sir.

Okręt zaczęło ogarniać podniecenie. Wszyscy na pokładzie domyślali się, jaki jest plan kapitana, chociaż nie znano jeszcze szczegółów, które dopiero w tej chwili wyjaśniał on swoim oficerom. W ciągu dwóch godzin, jakie upłynęły od nadejścia wiadomości o zbliżaniu się

„Natividad, umysł Hornblowera pracował intensywnie nad udoskonaleniem planu działania. Nic nie mogło zawieść i należało zrobić wszystko, co tylko mogło przyczynić się do sukcesu.

— Czy wszystko jasne? — zapytał. Stał w swej oddzielonej zasłonami kabinie, przygarbiony pod belkami pokładu, a porucznicy czekali, niezręcznie obracając w palcach kapelusze.

— Tak jest, sir.

— Doskonale — powiedział Hornblower i odprawił ich wszystkich. Lecz już po paru minutach niecierpliwość i obawa wyгнаły go znów na pokład.

— Hej, tam na oku! Jak widzisz nieprzyjaciela?

— Właśnie zaszedł za wyspę, sir. Jest za widnokretem. Widzę tylko ich marsie, sir, pod bramsłami.

— Jaki ma kurs?

— Trzyma się wiatru, sir. Powinien podejść do zatoki na tym halsie.

— Hmm — chrząknął Hornblower i zszedł z powrotem na dół.

Upłyną jeszcze co najmniej cztery godziny, zanim „Natividad” dotrze do wejścia i będzie można przystąpić do dalszego działania. Hornblower spostrzegł się, że przygarbiony wpół chodzi tam i z powrotem po swej małej kabinie i zatrzymał się, wściekły na samego siebie. Kapitan z jego marzeń, człowiek o stalowych nerwach, nie pozwoliłby sobie nigdy doprowadzić się do stanu takiego rozgorączkowania, choćby nawet za cztery godziny miał rzucić na szalę swoją zawodową reputację. Musi pokazać ludziom na okręcie, że również w obliczu niepewności potrafi zachować spokój.

Wyszedłszy spoza zasłon rzucił sucho do grupy ludzi skupionych przy dziale na pokładzie głównym:

— Zawołajcie Polwheala! — A gdy Polwheal się pojawił, ciągnął dalej: — Zanieś panu Bushowi pozdrowienia ode mnie i powiedz mu, że jeśli może oderwać panów Galbraitha, Claya i Savage'a od ich obowiązków, to proszę, aby zjedli ze mną kolację i zagrali partyjkę wista.

Galbraith był również zdenerwowany. Nie tylko dlatego, że przewidywał bitwę; nie mógł zapomnieć o tym, że czeka go jeszcze przyobiecana reprimenda za udział w popołudniowej utarczce. Jego kościste ciało Szkota poruszało się niespokojnie, a rumieniec oblał mu twarz aż po wystające kości policzkowe. Nawet dwaj kadeci przycichli i stali się niespokojni.

Hornblower zmusił się do odegrania roli uprzejmego gospodarza; każde wyrzeczone przezeń słowo było obliczone na podniesienie opinii o jego kamiennym spokoju. Przeprosił za skromną kolację — okręt przygotowując się do boju musiał wygasić wszystkie ognie, toteż podano tylko zimne potrawy. Lecz widok piezonego kurczęcia na zimno, zimnej pieczeni wieprzowej, złocistych placków kukurydzianych i stosów owoców pobudził apetyt szesnastoletniego kadeta Savage'a i kazał mu zapomnieć o skrzepowaniu.

— To jest lepsze od szczurów, sir — powiedział zacierając rękę.

— Szczurów? — spytał Hornblower nieprzytomnie. Mimo pozorów uwagi myślami był nie w kabinie, lecz na pokładzie.

— Tak jest, sir. Zanim weszliśmy do tego portu, szczury były u nas, kadetów, ulubioną

potrawą.

— Były — powtórzył za nim Clay. Ukroił sobie kilka wielkich płatów zimnej wieprzowiny, nabrał dużo skwarek i dołożył to wszystko do połówki kurczaka leżącej już na talerzu. — Płaciłem temu złodziejowi Baileyowi trzy pensy za sztukę, za szczury w pierwszym gatunku.

Hornblower z wysiłkiem oderwał swe myśli od zbliżającej się „Natividad”, by wspomnieć czas, gdy sam był na pół zagłodzonym kadetem, nękanym tęsknotą za domem i chorobą morską. Starsi od niego zajadali się szczurami i twierdzili, że wypasione sucharami są potrawą znacznie delikatniejszą niż wołowina, która przeleżała dwa lata w beczulce. Sam nie potrafił nigdy przełknąć bez odrazy potrawy ze szczura, ale za nic nie przyznałby się do tego przed tymi chłopcami.

— Trzy pensy za szczura to chyba trochę za drogo — powiedział. — Nie przypominam sobie, żebym będąc kadetem płacił za nie aż tyle.

— Sir, czyżby pan sam jadł kiedyś szczury? — zapytał Savage zdumionym głosem.

Na to bezpośrednie pytanie Hornblower mógł odpowiedzieć tylko kłamstwem.

— Naturalnie — odrzekł. — Dwadzieścia lat temu warunki życia kadetów na okręcie były bardzo podobne do dzisiejszych. Zawsze uważałem, że szczur buszujący przez całe swoje życie w skrzyniach z chlebem jest potrawą godną królów, a cóż dopiero kadetów!

— Na miły Bóg! — powiedział z przejęciem Clay, odkładając widelec i nóż. Nie przyszło mu nigdy do głowy, że ten jego surowy i nieugięty kapitan był kiedyś kadetem, co jadał szczury.

Obaj chłopcy spoglądali na kapitana z podziwem. Tak jak przypuszczał Hornblower, ten drobny ludzki rys w jego charakterze podbił całkowicie ich serca. Z końca stołu dobiegło westchnienie Galbraitha. On sam jadł szczury nie dalej jak trzy dni temu, ale wiedział doskonale, że przyznanie się do tego nie tylko nie zwiększyłoby jego respektu, a przeciwnie: zmniejszyłoby go. Taki już był z niego niewydarzony oficer. Hornblower musiał poprawić samopoczucie Galbraitha.

— Wypijmy razem szklaneczkę wina, panie Galbraith — powiedział, podnosząc swoją szklankę. — Muszę przeprosić, że nie dałem dziś mojej najlepszej madery, ale zachowuję ostatnie dwie butelki na jutro, żeby poczęstować kapitana hiszpańskiego okrętu, gdy znajdzie się na pokładzie jako nasz jeniec. Za nasze przyszłe zwycięstwa!

Opróżniono szklanki i skrępowanie minęło. Hornblower powiedział, „n a s z jeniec”, podczas gdy większość kapitanów użyłaby słowa „mój jeniec”. I powiedział także: „n a s z e zwycięstwa”. Surowy, chłodny kapitan, zwolennik ostrej dyscypliny, na moment ukazał ludzkie cechy i dopuścił swych podwładnych do komitywy. Każdy z trzech młodszych oficerów oddałby w tej chwili życie za niego i Hornblower, wodząc spojrzeniem po ich zarumienionych twarzach, zdawał sobie z tego sprawę. Cieszyło go to i równocześnie irytowało. Wiedział jednak, że wobec perspektywy bliskiej bitwy, która może wymagać najwyższego poświęcenia, musi mieć za sobą załogę nie tylko lojalną, lecz ogarniętą entuzjazmem.

Do kabiny wszedł jeszcze jeden kadet, młody Knyvett.

— Sir, pan Bush przesyła pozdrowienia i zawiadamia, sir, że ze szczytu masztu widać już kadłub nieprzyjaciela.

— Czy idzie kursem na zatokę?

— Tak, sir. Pan Bush mówi, że za dwie godziny powinien mieć go w zasięgu dział.

— Dziękuję, panie Knyvett — powiedział Hornblower, odprowadzając go. Przypomnienie, że za dwie godziny weźmie się za bary z fregatą uzbrojoną w pięćdziesiąt dział, pobudziło znów jego serce do szybszego bicia. Musiał zrobić duży wysiłek, żeby zachować niewzruszone oblicze.

— A zatem, panowie, mamy jeszcze dosyć czasu na naszego roberka — powiedział.

Cotygodniowa wieczorna partia wista, którą kapitan rozgrywał ze swoimi oficerami, była dla nich — a szczególnie dla kadetów — ciężką próbą. Sam Hornblower był dobrym, zapalonym graczem; pomagała mu w tym dokładna obserwacja i znajomość psychiki partnerów. Lecz dla niektórych z nich, nie mających wyczucia w kartach i nie umiejących zapamiętać przebiegu gry, wieczory karciane u Hornblowera były prawdziwą męką.

Polwheal sprzątnął ze stołu, rozesłał zielone sukno i przyniósł karty. Hornblower stwierdził, że gra pomaga mu zapomnieć o nadchodzącej bitwie. Był na tyle entuzjastą wista, że mimo rozterki duchowej dawał się pochłonać grze. Tylko w przerwach na rozdawanie i obliczanie punktów czuł, że serce bije mu szybciej i krew podchodzi do gardła. Uważnie śledził, jakie karty schodzą na stół, pamiętając, że Savage lubi jak uczeń wyrywać się ze swoimi asami, a Galbraith nieodmiennie zapomina ostrzec swego partnera, że nie ma pomocy w jego kolorze, i czyni to dopiero wtedy, gdy już na to za późno. Pierwszy rober skończył się szybko. Na twarzach oficerów pojawił się wyraz konsternacji, gdy Hornblower zaproponował następny. Nie mogli nic wyczytać z jego twarzy.

— Clay, musi pan wreszcie zapamiętać — rzekł — że mając sekwens złożony z króla, damy i waleta trzeba zagrać w króla. Na tym polega cała sztuka zagrywki.

— Tak jest, sir — powiedział Clay, robiąc oczy do Savage'a, ale kapitan spojrzał ostro na niego i Clay natychmiast zaczął patrzeć w karty. Gra ciągnęła się dalej i wszystkim się wydawało, że nie będzie miała końca. Jednak skończyła się wreszcie.

— Rober — oznajmił Hornblower, podkreślając zapis. — Myślę, panowie, że czas, abyśmy udali się na pokład.

Rozległo się ogólne westchnienie ulgi i stopy zaszurały o pokład. Hornblower uznał, że za wszelką cenę musi utrzymywać opinię o swej niewzruszalności.

— Rober nie skończyłby się tak prędko — ciągnął sucho — gdyby pan Savage zwracał uwagę na zapis. Mając dziewięć lew panowie Savage i Galbraith wygraliby robra, gdyby wzięli jeszcze jedną lewę. A więc przy ósmym wyjściu pan Savage powinien był zagrać w asa kierowego, zamiast ryzykować impas. Przyznaję, że gdyby impas się udał, wzięłoby o dwie lewy więcej, ale...

Hornblower ciągnął dalej jednostajnym głosem, a trzej pozostali uczestnicy gry wierzili się na swoich krzesłach. Mimo to, kiedy kapitan podążył przodem po stopniach trapu, spojrzeli po sobie z wyrazem podziwu w oczach.

Na pokładzie panowała śmiertelna cisza. Załoga przywarowała na swoich stanowiskach. Księżyc zachodził szybko, było jednak na tyle widno, że gdy oko przywykło do słabego światła, można było dojrzeć, co się dzieje wokoło. Bush zasalutował kapitanowi.

— Sir, wróg dalej zdąża ku zatoce — powiedział ochryłym głosem.

— Niech pan znów pośle ludzi do szalupy i kutra — odrzekł Hornblower. Po wantach wspiął się na bram-reję bezanmasztu. Stamtąd sięgał już wzrokiem za wyspę. W odległości około mili w świetle księżyca zapadającego w morze dojrzał białe żagle „Natividad”, wrogiej fregaty idącej na wiatr ku wejściu do zatoki. Walcząc z ogarniającym go podnieceniem próbował przewidzieć jej ruchy. Było rzeczą mało prawdopodobną, aby z „Natividad” można było na tle ciemnego nieba dojrzeć bramstengi „Lydii”. I właśnie cały plan kapitana opierał się na założeniu, że wróg ich nie dostrzeże. „Natividad” musi wkrótce wykonać zwrot przez sztag, a nowy kurs przywiedzie ją wprost ku wyspie. Może zechce obejść ją od nawietrznej, ale na to nie można było zbyt liczyć. Aby wejść do zatoki, będzie musiała znowu wykonać zwrot przez sztag i to będzie ta szansa dla kapitana „Lydii”. Obserwując „Natividad” zauważył, że jej żagle błysnęły na moment jaśniej, by znów ściemnieć po wykonaniu zwrotu. Okręt kierował się na środek wejścia, lecz dryf i rozpoczynający się odpływ przyniosą go z powrotem w pobliże wyspy. Kapitan zszedł na pokład.

— Panie Bush — powiedział — proszę posłać ludzi na górę, niech będą gotowi do stawiania żagli.

Okręt napełnił się przyciszonym hałasem, gdy marynarze z tupotem bosych stóp rozbiegli się po pokładzie i zaczęli pięć się po wantach. Hornblower wyjął z kieszeni srebrny gwizdek. Nawet nie zadał sobie trudu, by zapytać, czy wszyscy są gotowi na sygnał i odpowiednio poinstruowani, co mają robić. Bush i Gerard byli dobrymi oficerami.

— Idę teraz na dziób, panie Bush — powiedział. — Postaram się wrócić na pokład rufowy na czas, ale gdybym nie zdążył, pan zna moje rozkazy.

— Tak jest, sir.

Hornblower przeszedł spiesznie wzdłuż nadburcia, wyminął działa na dziobie, z obsługą przykucniętą wokół nich, i przedostał się na bukszpryt. Z rei żagla rozprzowego wzrok jego sięgnął za wyspę; zobaczył, że „Natividad” kieruje się wprost na nich. Dojrzał fosforyzujący połysk piany przy dziobnicy i usłyszał niemal, jak okręt wroga tnie wodę. Z wysiłkiem przełknął ślinę i już całe podniecenie opuściło go. Śmiertelnie spokojny zapomniał o sobie; tylko umysł pracował jak maszyna, obliczając czas i odległość. Słyszał już głos człowieka z „Natividad”, który rzucał sondę, chociaż nie mógł jeszcze rozróżnić jego słów. Okręt hiszpański zbliżał się coraz bardziej: Hornblower słyszał już paplaninę załogi rozgadanej jak zawsze Hiszpanie; nikt nie obserwował morza na tyle czujnie, by dostrzec nagie maszty „Lydii”. Potem dobiegły go rozkazy wykrzykiwane na

pokładzie „Natividad” — okręt zaczynał wykonywać zwrot. W tym momencie Hornblower włożył gwizdek do ust, zagwizdał i cała załoga „Lydii” ruszyła do akcji. Na wszystkich rejach równocześnie rozwinięto żagle, zwolniono linę kotwiczną, odrzucono cumy łodzi. Biegąc ku rufie Hornblower zderzył się z ludźmi przy brasach w momencie, gdy okręt odpadał od wiatru. Podniósł się z pokładu i biegł dalej, podczas gdy „Lydia” ruszyła naprzód nabierając wciąż szybkości. Przybył do steru na czas.

— Tak trzymać! — krzyknął do sternika. — Trochę w lewo! Jeszcze trochę! Teraz ster w prawo na burtę!

Wszystko stało się tak szybko, że ledwo hiszpan wykonał zwrot przez sztag i nie zdążył jeszcze nabrać szybkości na nowym kursie, gdy „Lydia” wyskoczyła nań z ciemności spoza wyspy i otarła się ze zgrzytem o jego burtę. Okręt angielski zbierał teraz owoce miesięcy ćwiczeń. Gdy oba okręty się zetknęły, rozległa się pojedyncza rozproszona salwa burtowa i pokład „Natividad” zasypany został odłamkami kartaczy. W górze marynarze z „Lydii” wybiegli na noki rej i szczepili okręty linami. Na pokładzie grupa abordażowa biegła już z krzykiem ku furtom lewej burty.

Na okręcie hiszpańskim panowało kompletne zaskoczenie. Jeszcze chwilę temu cała załoga była pochłonięta normalną pracą, gdy wtem widocznie jakiś nie znany przeciwnik podszedł nagle i uderzył z trzaskiem w burtę. Błyski wrogich pocisków rozrywały noc na strzępy. Ze wszystkich stron załogę raziły pociski, a oto już uzbrojony nieprzyjaciel z szatańskim wyciem wdzierał się na pokład. Żadna najbardziej wyszkolona i zdyscyplinowana załoga nie wytrzymałaby wstrząsu wywołanego takim zaskoczeniem. W ciągu ostatnich dwudziestu lat, które „Natividad” spędziła na patrolowaniu wybrzeży Pacyfiku, nie zdarzyło się, aby jakiś okręt nieprzyjacielski znalazł się od niej bliżej niż o cztery tysiące mil morskich.

Było jednak paru odważnych, którzy próbowali stawić opór. Kilku oficerów wydobyło szpady. Na wysokim pokładzie rufowym znajdował się oddział, uzbrojony po otrzymaniu wieści o rebelii na lądzie. Kilku ludzi chwyciło za drągi kabestanu i kołki do mocowania lin. Lecz górny pokład został wymieciony błyskawicznie przez falę abordażowców z dzidami i nożami. Rozległ się jeden wystrzał z pistoletu i już stawiający opór Hiszpanie zostali powaleni lub zepchnięci na dół; reszta stała stłoczona pod strażą.

A na dolnym pokładzie ludzie kręcili się na oślep, szukając dowódców i środków do stawienia oporu. Gromadzili się w ciemnościach, gotowi do walki z wrogiem, który był już na górze, i do obrony luków, gdy nieoczekiwanie z tyłu rozległo się przeraźliwe wycie. Dwie łodzie z załogą Gerarda dotarły do bakburty „Natividad” i marynarze wyważywszy furty prowadzące na pokład dolny wdarli się przez nie rojem, wyjąc, zgodnie z rozkazami, jak potępieńcy — Hornblower przewidział, że psychologiczny efekt zaskoczenia, zwłaszcza w wypadku niezdyscyplinowanych Hiszpanów, okaże się silniejszy, jeśli atakujący będą krzyczeli ile sił. Po tym nowym momencie zaskoczenia opór na dolnym pokładzie załamał się zupełnie; tak oto owocowała przezorność Hornblowera, który wysłał te dwie łodzie z załogą, aby zaszły wroga od tyłu.

Rozdział VII

Kapitan „Lydii” wyszedł na swą codzienną ranną przechadzkę po pokładzie rufowym. Gdy się

tam ukazał, sześciu hiszpańskich oficerów próbowało go pozdrowić z ceremonialną kurtuzją, ale marynarze z „Lydii” odpędzili ich szturchańcami, nie chcąc dopuścić, by spacer kapitana, który stał się uświęconym rytuałem po tylu miesiącach podróży, został zakłócony przez zwykłych jeńców.

A kapitan miał wiele spraw do przemyślenia — zbyt wiele na to, by mógł sobie pozwolić na delektowanie się świadomością, że ubiegłej nocy jego fregata, wzięwszy do niewoli okręt dwupokładowy i nie straciwszy przy tym ani jednego człowieka, dokonała wyczynu bez precedensu w dziejach brytyjskiej marynarki wojennej. Zamiast się cieszyć, musiał obmyślić swoje następne posunięcie. Po zdobyciu „Natividad” stał się panem wód południowych. Wiedział dobrze, że lądowa komunikacja była tak trudna, iż cały handel — można by nawet powiedzieć całe życie — kraju zależało od żeglugi przybrzeżnej; a teraz żadna łódź nie mogła wypłynąć bez jego zezwolenia. W ciągu piętnastu lat wojowania nauczył się, co znaczy władanie na morzach. Obecnie miał przynajmniej pewną szansę, że przy pomocy Alvarada uda mu się wzniecić w Ameryce Środkowej taki płomień buntu, iż rząd hiszpański będzie przeklinał dzień, w którym postanowił związać się z Bonapartem.

Hornblower chodził tam i z powrotem po wyszorowanym piaskiem pokładzie. Istniały również inne możliwości; na północno-zachodnim wybrzeżu leżał port Acapulco, dokąd co roku przybywały galeony i skąd odpływały, wioząc skarby wartości miliona funtów szterlingów. Zdobycie galeonu zrobiłoby zeń od razu bogatego człowieka — mógłby wówczas kupić w Anglii majątek ziemski albo całą wieś i stać się dziedzicem. Chłopi kłanialiby mu się, ilekroć by ich mijał w swoim powozie. Marii by się to podobało, chociaż nie umiał sobie wyobrazić Marii z gracją odgrywającej rolę wielkiej pani.

Hornblower oderwał myśli od obrazu Marii przeniesionej z mieszkania w Southsea do dworu na wsi. Na wschodzie leżała Panama z zapasami srebra peruwiańskiego, z flotyllą do połowu pereł i pobielonym dla niepoznaki złotym ołtarzem, który wymknął się z rąk Morganowi, ale jemu się nie wymknie. Cios w ten centralny węzeł komunikacji transkontynentalnej byłby chyba najlepszym i potencjalnie najbardziej zyskownym posunięciem strategicznym. Hornblower spróbował skoncentrować myśli na Panamie.

Na przednim pokładzie Sullivan, rudowłosy włóczęga irlandzkiego pochodzenia, siedział okrakiem na kołysce wielkiego działa i przygrywał na skrzypcach, a wokół niego z tuzin marynarzy, trzymając się wzmacniaczy międzypokładnikowych, waliło stwardniałymi stopami o pokład. W wyobraźni wydawali już pieniądze, które im się należały, co najmniej po dwadzieścia pięć gwinei na głowę, jako przyzwoite za wzięcie w niewolę „Natividad”. Hornblower spojrział na stojący opodal na kotwicy okręt nieprzyjacielski. Na górnym pokładzie śródokręcia było czarno od załogi zbitej w ciasną gromadę. Na staroświeckiej rufowce i pokładzie rufowym zauważył czerwone mundury i czaka swoich żołnierzy piechoty morskiej, dojrzał też lufy dział nacelowane w dół na śródokręcie, a obok dział ludzi z zapalonymi lontownikami. Gerard, którego zostawił na pokładzie „Natividad” jako dowódcę przyżu, służył w swoim czasie na statku liverpoolskim używanym do handlu niewolnikami i wiedział doskonale, jak utrzymywać w ryzach statek pełen wrogo nastawionych ludzi, chociaż po odseparowaniu załogi hiszpańskiej fregaty od oficerów Hornblower osobiście nie przewidywał żadnych z jej strony kłopotów.

Hornblower wiedział, że musi postanowić, co robi z „Natividad”, a szczególnie z jeńcami.

Nie mógł wydać ich na pastwę el Suprema jego własna załoga nie dopuściłaby do tego. Zaczął zastanawiać się nad tą sprawą. Przeleciał klucz pelikanów uformowany bardziej precyzyjnie niż flota podczas ćwiczeń na Kanale Angielskim[22]. W górze nad pelikanami pojawiła się fregata, ze wspaniałym, rozwidlonym ogonem; kołowała chwilę na nieruchomych skrzydłach, a potem — zdecydowawszy pewnie, że nie są godnym jej łupem — odpłynęła ku wyspie, gdzie kormorany pracowicie wylądowały pokarm z wody. Słońce grzało już mocno, a wody zatoki były tak błękitne, jak niebo w górze.

Hornblower złorzeczył w myśli słońcu, pelikanom i fregatom, że przeszkadzają mu w skoncentrowaniu się na problemach, jakie musiał przemyśleć. Jeszcze sześć razy przeszedł tam i z powrotem w złym nastroju po pokładzie, kiedy kadet Knyvett zagroził mu drogę, salutując.

— Co jest, u diabła? — fuknął gniewnie Hornblower.

— Łódź zbliża się do burty, sir. Jest w niej pan.. pan Hernandez. Tego można się było spodziewać.

— Doskonale — rzekł Hornblower i zszedł na dół, by przywitać Hernandeza wchodzącego w górę po trapie. Hernandez nie tracił czasu na gratulacje z okazji zwycięstwa. Widocznie w służbie el Suprema nawet Amerykanie hiszpańskiego pochodzenia stawali się szorstcy i rzeczowi.

— Kapitanie, el Supremo chce natychmiast pana widzieć — powiedział. — Moja łódź czeka.

— Naprawdę? — rzekł Hornblower. Wiedział doskonale, że wielu jego kolegów-kapitanów w służbie brytyjskiej wpadłoby w furję, spotkawszy się z podobnie szarmanckim zaproszeniem. Bawił się przez chwilę myślą, czyby nie odesłać Hernandeza z powrotem, żeby powiedział el Supremowi, aby się pofatygował osobiście na okręt, jeśli chce się widzieć z jego kapitanem. Uznał jednak, że byłoby rzeczą nierozsądną narażać z powodu urażonej godności swoje dobre stosunki z lądem, od których tak bardzo zależało powodzenie jego misji. Zdobywca „Natividad” mógł sobie pozwolić na to, by nie dostrzegać cudzej arogancji.

Przyszło mu do głowy, że sprawę dałoby się rozwiązać kompromisowo; dla podtrzymania własnej godności mógłby przetrzymać Hernandeza na okręcie przez godzinę lub dwie. Jednakże zdrowy rozsądek odrzucił i tę myśl. Hornblower nie znosił kompromisów, a w tym wypadku kompromis zirytowałby tylko (jak się to zwykle dzieje) jedną stronę, nie przynosząc pożytku drugiej. Lepiej będzie zrzucić pychę z serca i jechać natychmiast.

— Oczywiście — rzekł — moje obowiązki nie zatrzymują mnie w tej chwili na pokładzie.

Lecz tym razem nie trzeba się było przynajmniej przebierać, wkładać najlepszych jedwabnych pończoch i trzewików z klamrami. Zdobycie „Natividad” było lepszym dowodem jego bona fides[23] niż wszelkie szpady z rękojeściami ze złota.

Dopiero wydając Bushowi ostatnie rozkazy Hornblower przypomniał sobie, że wczorajszy sukces pozwala mu darować chłostę należącą się Jenkinsowi i Poole'owi za ich wykroczenie i zrezygnować z udzielenia nagany Galbraithowi. Świadomość ta była dlań w każdym razie ogromną

ulgą, zmniejszyła nieco uczucie przygnębienia, jakie ogarniało go po każdym udanym wyczynie. Już w znacznie lepszym humorze dosiadł konika czekającego nań na brzegu, przejechał ścieżką obok stosu cuchnących wnętrzności zwierzęcych i wzdłuż alei trupów dotarł do domu el Suprema.

Wygląd el Suprema siedzącego na podium w swym fotelu pod baldachimem zdawał się wskazywać, że pozostawał on tam bez ruchu od chwili, gdy cztery dni temu (które wydawały się trwać miesiąc) Hornblower go opuścił.

— A zatem, kapitanie, zrobił już pan to, czego od pana chciałem? — odezwał się el Supremo.

— Wczorajszej nocy wziąłem do niewoli „Natividad” — odpowiedział Hornblower

— Zaprowiantowanie pana okrętu zostało, spodziewam się, zakończone?

— Tak.

— A więc — rzekł el Supremo — zrobił pan wszystko, czego chciałem. To jest wszystko, o czym mówiłem poprzednio.

Nie było sensu spierać się wobec tak niesłychanej pewności siebie.

— Dziś po południu przystępuję do realizacji mego planu — zdobycia miasta El Salvador i wzięcia do niewoli człowieka, który nazywa siebie generałem kapitanem Nikaragui.

— Tak? — rzekł Hornblower.

— Są z tym jednak, kapitanie, drobne trudności. Nie wiem, czy pan się orientuje, że drogi stąd do El Salvador nie są zbyt dobre. W pewnym miejscu trzeba się wspinać po stu dwudziestu siedmiu stopniach wykutych w lawie między dwoma przepaściami. Droga ta jest trudna do przebycia dla mułów, nie mówiąc już o koniach, i jeden wrogi osobnik z muszkietem może nam sprawić wiele kłopotu.

— Sądzę, że tak — powiedział Hornblower.

— Jednakże — ciągnął el Supremo — El Salvador leży w odległości niespełna dziesięciu mil od morza, a od miasta prowadzi dobra droga do tamtejszego portu La Libertad. Dziś po południu wyruszę z pięciuset ludźmi na dwóch okrętach do La Libertad. Ponieważ od tego miasta dzieli nas nie więcej niż sto mil, będę tam jutro o świcie. A wieczorem będę ucztował w El Salvador.

— Hmm — chrząknął Hornblower. Zastanawiał się, jak najlepiej przedstawić kłopoty, które już przewidywał.

— Pan zabił tylko paru ludzi z załogi „Natividad”, prawda, kapitanie? — spytał el Supremo, zbliżając się w ten sposób od razu do jednego z problemów, jakie miał na myśli Hornblower.

— Zabitych jest jedenastu — odrzekł Hornblower. — I osiemnastu rannych; czterech z nich raczej nie utrzyma się przy życiu.

— Zostawił więc pan dosyć ludzi do pracy na okręcie?

— Dosyć, senor, jeżeli...

— O to mi właśnie chodziło. Poza tym, kapitanie, istoty ludzkie zwracając się do mnie nie używają słowa „senor”, gdyż nie oddaje ono całej należnej mi czci. Jestem el Supremo.

Hornblowerowi nie pozostało nic innego jak skłonić się w odpowiedzi. Zdumiewający sposób bycia el Suprema przypominał ścianę skalną.

— Czy oficerowie nawigacyjni pozostali przy życiu? — pytał dalej el Supremo.

— Tak — odpowiedział Hornblower; przewidując bliskie tarapaty i pragnąc je ograniczyć do minimum, dodał, przełknąwszy ślinę: — Supremo.

— A zatem — rzekł el Supremo — biorę „Natividad” w moją służbę. Zabiję oficerów dowodzących i zastąpię ich moimi ludźmi. Pozostali oraz zwykli marynarze będą mi służyć.

To, o czym mówił el Supremo, nie było rzeczą tak bardzo niemożliwą. Hornblower wiedział z doświadczenia, że w marynarce hiszpańskiej, opartej na wzorach sprzed stuleci, utrzymywała się wyraźna różnica (zanikająca szybko w marynarce brytyjskiej) między oficerami, którzy pracowali na okręcie, i dżentelmenami, którzy nim dowodzili. Nie miał też najmniejszych wątpliwości, jaka będzie decyzja marynarzy i nawigatorów, gdy zaproponuje się im wybór między śmiercią od tortur a służbą u el Suprema.

Nie sposób też było zaprzeczyć, że pod wieloma względami to, co planował el Supremo, miało swój sens. Byłoby co najmniej trudno przewieźć pięciuset ludzi na pokładzie samej tylko „Lydii”; „Lydia” nie byłaby też w stanie w pojedynkę utrzymać całkowitej blokady na tysiącmilowym odcinku wybrzeża. Natomiast dwa okręty mogłyby w tym względzie uczynić wrogowi co najmniej dwukrotnie większe szkody. Jednakże przekazanie „Natividad” oznaczało niezwykle długi spór z lordami z Admiralicji na temat przyzwołego, który w dodatku prawdopodobnie zakończyłby się niepowodzeniem. Honor nie pozwalał mu także wydać oficerów hiszpańskich na śmierć, jaką im gotował el Supremo. Myśli kapitana pracowały szybko.

— „Natividad” jest przyzem mojego króla — powiedział. — A on nie byłby może zadowolony, gdybym oddał okręt.

— Na pewno byłby niezadowolony, gdyby się dowiedział, że pan mnie obraził — powiedział el Supremo. Zmarszczył brwi i Hornblower usłyszał, jak stojący obok niego Hernandez bierze gwałtowny oddech. — Zauważyłem już przedtem, kapitanie Hornblower, że pan pozwala sobie na brak respektu wobec mnie i byłem dostatecznie łagodny, aby przypisać to pańskim obcym manierom.

Hornblower myślał gorączkowo. Dalszy sprzeciw mógłby sprawić, że ten szaleniec każe go zgładzić, a jeśli kapitan zginie, „Lydia” na pewno nie będzie walczyć po stronie el Suprema. Na Pacyfiku wytworzy się wówczas skomplikowana sytuacja i „Lydia” nie mając przyjaciół ani po stronie rebeliantów, ani rządu i pozostawiona pod dowództwem pozbawionego wyobraźni Busha

może nigdy nie dotrzeć z powrotem do kraju. Anglia straci piękną fregatę i piękną okazję. Musi poświęcić przysługę, tysiąc funtów czy coś około tego, którym chciał olśnić oczy Marii; jednakże za wszelką cenę musi zachować swych jeńców przy życiu.

— Jestem pewny, Supremo, że to wina mojego odmiennego wychowania — powiedział. — Jest mi trudno oddać w obcym języku wszystkie te delikatne odcienie znaczeń, jakie powinny być przekazane. Jakże można w ogóle wyobrazić sobie, że mógłbym nie żywić respektu wobec el Suprema?

El Supremo kiwnął głową. Hornblower poczuł satysfakcję, widząc, jak szaleniec, który przypisywał sobie boskość, przyjmuje za dobrą monetę najbardziej niewyszukane pochlebstwa.

— Okręt należy do pana, Supremo — kontynuował Hornblower. — Był pańską własnością od momentu, gdy wczorajszej nocy moi ludzie po raz pierwszy postawili na nim stopę. Pragnę tylko, by w przyszłości, gdy po Pacyfiku żeglować będzie potężna armada pod kierownictwem el Suprema, pamiętano o tym, że pierwszy okręt w tej flocie zabrany został Hiszpanom przez kapitana Hornblowera na rozkaz el Suprema.

El Supremo znów skinął potakująco głową i zwrócił się do Hernandeza:

— Generale, proszę przygotować pięciuset ludzi do zaokrętowania dziś w południe. Popłynę z nimi i pan także.

Hernandez skłonił się i odszedł; można się było łatwo zorientować, że el Supremo nie będzie miał nigdy okazji do zwątpienia w swą boskość w rezultacie braku poważania lub wahań ze strony poddanych. Jego najbardziej niefrasobliwy rozkaz, czy dotyczył tysiąca sztuk nierogacizny, czy pięciuset ludzi, wykonywany był błyskawicznie. Hornblower uczynił natychmiast następne posunięcie.

— Czy „Lydia” — zapytał — może mieć zaszczyt przewiezienia el Suprema do La Libertad? Załoga moja bardzo by sobie ceniła to wyróżnienie.

— Nie wątpię w to — odpowiedział el Supremo.

— Brak mi niemal odwagi spytać o to — ciągnął Hornblower — lecz czy moi oficerowie i ja moglibyśmy mieć nadzieję na ten zaszczyt, że zechce pan przed odpłynięciem zjeść z nami obiad?

El Supremo zastanawiał się przez chwilę.

— Tak — odpowiedział i Hornblower ledwie zdołał zdławić westchnienie ulgi. Mając el Suprema na pokładzie „Lydii” łatwiej będzie sobie z nim poradzić.

El Supremo klasnął w dłonie i natychmiast, jakby pod działaniem jakiegoś mechanizmu, stukanie w wyłożone mosiądzem drzwi oznajmiło przybycie śniadoliczego majordomusa. W jednym zdaniu el Supremo nakazał mu przeniesienie swojego dworu na „Lydię”.

— Proszę pozwolić, Supremo — powiedział Hornblower — żebym teraz wrócił na mój okręt

i przygotował go na przyjęcie pana.

El Supremo znów skinął głową przyzwalająco.

— O której godzinie mam czekać na plaży, by pana powitać?

— O jedenastej.

Wyszedłszy na patio Hornblower pomyślał ze współczuciem o wschodnim wezryze, który odchodząc sprzed oblicza królewskiego zawsze miał chęć sprawdzić, czy wciąż ma głowę na swoim miejscu.

Na pokładzie „Lydii”, gdy tylko ucichły gwizdki, Hornblower zaczął wydawać rozkazy.

— Niech zabiorą tych ludzi natychmiast na dół — powiedział do Busha, wskazując na jeńców hiszpańskich. — Proszę ich umieścić w komorze lin kotwicznych i postawić straż. Zbrojmistrz niech zakuje ich w żelazo.

Bush nie próbował nawet ukryć swego zdziwienia, lecz Hornblower nie tracił czasu na wyjaśnienia.

— Senores — rzekł, gdy oficerowie stawili się przed nim. — Będziecie odtąd traktowani surowo. Ale proszę mi wierzyć, zginiecie, jeśli ktokolwiek was zobaczy w ciągu najbliższych kilku dni. Ratuje wam życie.

Następnie Hornblower zwrócił się do swego pierwszego oficera:

— Panie Bush, proszę wezwać całą załogę.

Okręt zadudnił od tupotu zrogowaciałych stóp ludzi pędzących po deskach pokładu.

— Marynarze! — powiedział Hornblower. — Na okręt nasz przybywa dziś ksiązę tego kraju, który jest sprzymierzeńcem naszego łaskawego króla. Cokolwiek by się stało — słuchajcie uważnie, co mówię — c o k o l w i e k b y s i ę s t a ł o, ma być traktowany z respektem. Każdy, kto się będzie śmiał, kto nie będzie się odnosił do senora el Supremo tak jak do mnie, zostanie wychłostany. Odpływamy dziś w nocy, zabierając jego żołnierzy. Zajmijcie się nimi tak, jakby to byli Anglicy, a nawet lepiej. Bo z żołnierzami angielskimi pozwalalibyście sobie na kawały. Ale pierwszego, który pozwoli sobie na coś takiego wobec tych ludzi, wychłostzę natychmiast. Zapomnijcie o kolorze ich skóry. Zapomnijcie o tym, jak są ubrani. Zapomnijcie, że nie umieją mówić po angielsku, i pamiętajcie tylko to, co wam teraz mówię. Panie Bush, proszę dać sygnał rozejścia się.

Na dole w kabinie Polwheal czekał wiernie ze szlafrokiem i ręcznikiem na kąpiel kapitana, co według rozkazu powinno było nastąpić dwie godziny temu.

— Wyciągnij znów mój paradny mundur — rzucił Hornblower. — Potem przygotuj kabinę na szóstą na uroczysty obiad dla ośmiu osób. A teraz przyślij mi tu kucharza.

Było wiele do zrobienia. Trzeba było zaprosić na obiad Busha i Raynera, to jest pierwszego i czwartego oficera, oraz Simmondsa, oficera piechoty morskiej, i oficera nawigacyjnego Crystala i przykazać, by czekali w pogotowiu w pełnym stroju galowym. Trzeba było również zaplanować rozmieszczenie pięciuset ludzi na obu fregatach.

Hornblower patrzył właśnie w stronę „Natividad”, na której bandera brytyjskiej marynarki wojennej powiewała nad czerwono-złotą banderą Hiszpanii, i zastanawiał się, jakie kroki ma teraz podjąć w stosunku do swej zdobyczy, gdy dojrzał łódź ochoczo płynącą od brzegu ku „Lydii”. Przywódcą grupy, która weszła na pokład, był młody człowiek o wzroście mniej niż średnim, szczupły i gibki jak małpa, z uśmiechem błędzącym na ustach i wyrazem nieodparcie dobrego humoru na twarzy. Wyglądał bardziej na Hiszpana niż Amerykanina. Bush przyprowadził go do kapitana niecierpliwie chodzącego po pokładzie rufowym. Skłoniwszy się kordialnie przybysz przedstawił się:

— Jestem wiceadmirał Don Cristobal de Crespo.

Hornblower nie mógł powstrzymać się od obejrzenia go z góry na dół. Wiceadmirał nosił złote pierścienie w uszach, a jego haftowany złotem mundur nie zakrywał podartej koszuli, szarej od brudu. Na nogach miał jednak buty z miękkiej brązowej skóry, w których cholewki wsunięte były połatane białe spodnie.

— W służbie el Suprema? — zapytał Hornblower.

— Oczywiście. Pozwoli pan, że przedstawię moich oficerów. Komandor Andrade, komandor porucznik Castro. Komandor podporucznik Carrera. Porucznicy Barrios, Barillas i Cerno. Aspiranci Diaz...

Tuzin oficerów, których nazwiska wymienione zostały wraz z tymi głośnymi tytułami, byli to bosonodzy Indianie, z czerwonymi pasami wokół bioder, wypchanymi pistoletami, i z nożami u boku. Skłonili się niezdarnie Hornblowerowi; niektórzy z nich mieli na twarzy wypisane brutalne okrucieństwo.

— Przybyłem — powiedział grzecznie Crespo — aby podnieść moją flagę admirałską na moim nowym okręcie, „Natividad”. El Supremo życzy sobie, aby oddał pan tej fladze należny wiceadmirałowi salut z jedenastu dział.

Hornblowerowi zrzędała nieco mina. Wbrew niemu samemu długie lata służby wyrobiły w nim głębokie poszanowanie dla drobiazgów związanych z żeglarską pompą, toteż rozdrażniła go myśl, że ma oddać na cześć tego beczelnego obdartusa tyle samo wystrzałów z dział, ile oddawano na cześć Nelsona. Z wysiłkiem przełknął odruch oburzenia. Wiedział, że musi kontynuować tę gorzką farsę do końca, jeśli jego misja ma być uwieńczona sukcesem. Gdy stawką jest cesarstwo, byłoby głupotą zadrażniać sytuację z powodu szczegółów ceremoniału.

— Oczywiście, admirale — powiedział. — Jestem bardzo szczęśliwy, że jako jeden z pierwszych mogę panu pogratulować tej nominacji.

— Dziękuję, kapitanie. Najpierw załatwimy parę drobnostek — odpowiedział wiceadmirał. — Czy oficerowie dowodzący z „Natividad” są na pańskim okręcie, czy jeszcze na tamtej fregacie?

— Jest mi ogromnie przykro — powiedział Hornblower — ale dziś rano po sądzie wojennym potopiłem ich wszystkich w morzu.

— To wielka szkoda — rzekł Crespo. — Mam rozkaz el Suprema powiesić ich na rejach „Natividad”. Nie zostawił pan ani jednego?

— Ani jednego, admirale. Bardzo żałuję, że nie otrzymałem od el Suprema żadnych rozkazów w tej sprawie.

— No to trudno. Znajdą się na pewno jacyś inni. Popłynę teraz na mój okręt. Może zechce mi pan towarzyszyć w celu wydania rozkazów pańskiej załodze przyzowej?

— Oczywiście, admirale.

Hornblower był ciekaw, jak podwładni el Suprema poradzą sobie z kwestią podporządkowania całej załogi okrętu nowemu dowództwu. Wydał spieszenie rozkaz artylerzyście, aby oddano salut fladze, gdy ta wzniesie się na maszt „Natividad”, i zszedł do łodzi z Crespem i jego oficerami.

Wszedłszy na pokład „Natividad” Crespo podążył buńczucznie na rufę. Czekał tam już główny oficer nawigacyjny hiszpańskiej fregaty z grupą swoich pomocników; na ich zdumionych oczach Crespo podszedł do obrazu Matki Boskiej z Dzieciątkiem obok relingu rufowego, zerwał go i wyrzucił za burtę. Na jego znak jeden z aspirantów ściągnął z masztu flagę hiszpańską i brytyjską. Crespo skierował wzrok na oficerów nawigacyjnych. Teraz na zatłoczonym pokładzie zalanym ostrym blaskiem słońca rozegrała się dramatyczna scena. Żołnierze brytyjskiej piechoty morskiej odziani w swe czerwone uniformy stali w równym szeregu, z bronią u nogi. Marynarze brytyjscy czekali przy działach, lontowniki żarzyły się, gdyż nie wydano jeszcze rozkazu zdejmującego tych ludzi ze stanowisk. Podszedł Gerard i stanął obok Hornblowera.

— Kto z was jest głównym oficerem nawigacyjnym? — zapytał Crespo.

— Ja — powiedział jeden z Hiszpanów drżącym głosem.

— A wy jego pomocnikami? — zapytał Crespo chrapliwie.

W odpowiedzi, przerażeni, kiwnęli głowami. Z twarzy Crespa zniknęły wszelkie ślady dobrego humoru. Wydawało się, że kipi wprost gniewem.

— Ty — powiedział wskazując na najmłodszego z nich. — Podniesiesz teraz rękę i oświadczysz, że wierzysz w naszego pana, el Suprema. Podnieś rękę. Chłopak uczynił to jak w transie.

— A teraz powtarzaj za mną. „Przysięgam...” Twarz chłopca zbieleła. Próbował znaleźć wzrok swego przełożonego, lecz płonące oczy Crespa trzymały go jak na uwięzi.

— „Przysięgam” — powiedział Crespo z silniej zaakcentowaną groźbą w głosie. Usta chłopca otwały się i zamknęły, nie wydając dźwięku. A potem wyzwolił się gwałtownie spod hipnotyzującego spojrzenia. Opuścił rękę w dół i oderwał oczy od wskazującego palca prawej dłoni Crespa. Crespo uczynił tak błyskawiczny ruch lewą ręką, że zanim ktokolwiek się zorientował, trzymał już w niej wyrwany z pasa pistolet. Zabrzmiał strzał i chłopiec z kulą w brzuchu, upadł na pokład, wijąc się w agonii. Crespo nie zwracając nań uwagi odwrócił się do następnego Hiszpana.

— Teraz ty przysięgaj — powiedział.

Hiszpan zaczął natychmiast powtarzać za Crespem słowa przysięgi drżącym ze strachu głosem. Treść sześciu wypowiedzianych przezzeń zdań bardzo pasowała do sytuacji: ogłaszały one wszechmocność el Suprema, stwierdzały wiarę mówiącego w jego boskość i stekiem bluźnierstw zaprzeczały istnieniu Boga i dziewictwu Matki Boskiej. Inni poszli za przykładem kolegi, powtarzając jeden za drugim słowa przysięgi; nikt przy tym nie zwracał uwagi na chłopca konającego u ich stóp. Dopiero po zakończeniu tej ceremonii Crespo zniżył się na tyle, żeby go zauważyć.

— Wyrzucicie to za burtę — rzekł szorstko. Pod jego wzrokiem oficerowie wahali się tylko przez moment, a potem jeden z nich wystąpił i uniósł chłopca za ramiona, inny chwycił go za nogi i rozhuśtawszy żyjące jeszcze ciało cisnęli je przez poręcz.

Crespo poczekał na odgłos pluśnięcia, po czym podszedł do relingu pokładu rufowego, od którego w wielu miejscach odpadło już złocenie. Załoga zbита w gromadę na śródokręciu słuchała niemo jego podniesionego głosu. Patrząc na nich Hornblower widział, że wysiłki misjonarskie Crespa nie spotkają się z większym oporem. Wśród załogi nie było ani jednego Europejczyka; prawdopodobnie w ciągu wielu lat służby „Natividad” na wodach Pacyfiku pierwotna załoga europejska zupełnie wymarła. Z Hiszpanii przysyłano tylko nowych oficerów, natomiast członkowie załogi byli rekrutowani spośród tubylców. Hornblower rozpoznał wśród nich Chińczyków, Murzynów, a byli też tu ludzie z Filipin o fizjonomiach nie znanych kapitanowi.

W ciągu trwającej pięć minut wspaniałej przemowy Crespo przeciągnął ich wszystkich na swoją stronę. Nie mówił już więcej o boskości el Suprema, ograniczając się do wymieniania jego imienia. El Supremo, oświadczył im, stanął na czele ruchu, który ma za cel odebrać Hiszpanom panowanie nad Ameryką. W przeciągu roku cały Nowy Świat, od Meksyku aż do Peru, będzie u jego stóp. Skończą się podłe rządy hiszpańskie, brutalna dominacja, trzymanie ludzi w niewolniczej pracy w kopalniach i na polach. Każdy, kto zechce, będzie miał ziemię, wolność i szczęście pod łaskawym panowaniem el Suprema. Kto idzie za nim?

Wyglądało na to, że wszyscy. Crespo, gdy skończył swą mowę, miał za sobą ogół, wznoszący entuzjastyczne okrzyki. Podszedł do Hornblowera.

— Dziękuję, kapitanie — powiedział. — Myślę, że obecność pańskiego oddziału przyzowego nie jest tu już konieczna. Ja z moimi oficerami poradzę sobie w ewentualnych wypadkach niesubordynacji.

— Jestem tego pewien — odrzekł z lekką goryczą Hornblower.

— Z niektórymi mogą być trudności, gdy przyjdzie czas na oświecenie — rzekł Crespo szczerząc zęby w uśmiechu.

W drodze powrotnej na „Lydię” kapitan myślał z przykrością o zamordowanym człowieku z personelu nawigacyjnego. Była to zbrodnia, której powinien był zapobiec — udał się na pokład „Natividad” właśnie po to, aby nie dopuścić do okrucieństwa — i nie udało mu się. Niemniej jednak czuł, że ten rodzaj okrucieństwa nie wywarł na jego ludziach tak złego wrażenia, jakie by wywarło powieszenie oficerów z zimną krwią. Załogę „Natividad” zmusza się do służby nowemu panu wbrew jej woli — lecz przecież najemne bandy łapiące młodych ludzi w celu przymusowego wcielenia do marynarki uczyniły to samo w stosunku do trzech czwartych załogi „Lydii”. Chłosta i śmierć były karami wymierzanymi Anglikom, jeśli odmówili posłuszeństwa rozkazom oficerów, którzy samowolnie objęli nad nimi dowództwo — Anglicy nie będą przejmować się zbytnio losem diegów w tym samym położeniu, chociaż z charakterystycznym dla angielskiej niższej klasy społecznej brakiem logiki protestowaliby zapewne przeciw ceremonialnemu wieszaniu oficerów.

Wystrzał armatni z „Natividad” i drugi, który w ślad za nim rozległ się z „Lydii”, przerwały nagle tok jego myśli. Już miał się zerwać z ławki w szalupie, lecz spojrzenie w tył uspokoiło go. Na maszcie „Natividad” powiewała teraz nowa flaga, niebieska z żółtą gwiazdą w środku. Huk salutu armatniego przetoczył się wolno przez zatokę: działa oddawały strzały jeszcze w momencie, gdy Hornblower dobijał do burty „Lydii”. Artylerzysta Marsh chodził tam i z powrotem po pokładzie dziobowym, mrużąc coś do siebie. Hornblower bardziej domyślił się, co mówi, niż dosłyszał słowa wypowiedane w żargonie.

— Żeby ja nie był od urodzenia taki cholerny dureń, ja by tu teraz nie stał. Strzelać s i e d e m. Zostawiłem samą żonę; zostawiłem dom i wszystko, co mnie drogie. Strzelać o s i e m.

W pół godziny później Hornblower czekał na brzegu na el Suprema, który nadszedł punktualnie co do minuty z towarzyszącą mu konno świtą, złożoną z tuzina obdartusów. El Supremo nie zniżył się do tego, by przedstawić swój orszak kapitanowi; skinął tylko głową i wszedł prosto do szalupy. Członkowie pocztu przedstawiali się sami, przechodząc obok Hornblowera i podając kolejno swe nazwiska — nic nie znaczące dla kapitana. Wszyscy byli Indianami niemal czystej krwi i wszyscy, poza jednym czy dwoma pułkownikami, podali się za generałów. Widać też było, że są absolutnie oddani swemu panu. Całe ich zachowanie, każdy najmniejszy ruch — mówiłby nie tylko o ich strachu przed nim, lecz także o podziwieniu, a nawet, można by rzec, miłości.

Przy wejściu na okręt czekali trapowi i podoficerowie służbowi oraz żołnierze piechoty morskiej gotowi na przyjęcie el Suprema z pełnymi honorami wojskowymi. Lecz el Supremo zaskoczył Hornblowera, gdy przed wejściem na trap rzucił od niechcienia:

— Kapitanie, mnie należy się salut z dwudziestu trzech dział. — Było to o dwa wystrzały więcej, niż należało oddać witając samego króla Jerzego. Wytrzeszczywszy oczy ze zdumienia Hornblower zastanawiał się gwałtownie, w jaki sposób mógłby odmówić temu żądaniu, lecz uspokoił swe sumienie myślą, że salut z tak dużej liczby dział będzie faktycznie bez znaczenia. Posłał spiesznie do Marsha z rozkazem oddania dwudziestu trzech wystrzałów z armat — zadziwiający był sposób, w jaki chłopiec okrętowy powtórzył niemal dokładnie reakcję Hornblowera; jak wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, a potem przybrał opanowany wyraz twarzy i

oddalił się spiesznie, pocieszony myślą, że to sprawa kapitana, a nie jego. Hornblower z trudem zdławił śmiech, wyobraziwszy sobie zaskoczenie Marsha i wściekłość w jego głosie, gdy dając rozkaz oddawania kolejnych wystrzałów powie: „Żeby ja nie był od urodzenia taki cholerny dureń, ja by tu teraz nie stał. Strzelać d w a d z i e ś c i a t r z y”.

El Supremo wszedł na pokład rufowy. Zainteresowanie, z jakim rozglądał się wokoło, znikło błyskawicznie, gdy zauważył, że Hornblower patrzy na niego. Popadł z powrotem w stan abstrakcyjnej obojętności, w jakim go przedtem widział kapitan. Gdy przedstawiał mu Busha, Gerarda i innych, el Supremo wydawał się go słuchać, lecz wzrok miał skierowany gdzieś ponad nich. Skinął bez słowa głową na propozycję Hornblowera, aby zechciał odbyć inspekcję okrętu. Nastąpiła krótka, niezręczna pauza, którą Bush przerwał zwracając się do kapitana:

— Sir, „Natividad” podnosi drugą flagę na noku grotrei. Nie, to nie flaga, to...

Było to ciało ludzkie, czarne na tle błękitnego nieba. Wznosiło się powoli w górę podskakując i obracając się. W chwilę potem inne ciało ukazało się na drugim końcu rei. Wszystkie oczy instynktownie zwróciły się ku el Supremowi. Chociaż jego nie widzący wzrok był wciąż utkwiony w dali, wszyscy byli pewni, że widział te ciała. Oficerowie angielscy rzucili szybkie spojrzenie na swego kapitana, szukając wskazówki, jak się zachować, a potem przyjęli za nim nieswoją pozę człowieka, który udaje, że nic nie zauważył. Kroki dyscyplinarne podejmowane na okręcie innego narodu nie były ich sprawą.

— Supremo, niedługo podadzą obiad — rzekł Hornblower przełykając z trudem ślinę. — Czy raczy pan zejść na dół?

Wciąż nie mówiąc słowa el Supremo skierował się ku zejściówce i poszedł przodem. Fakt, że mógł iść bez pochylania się, świadczył o jego niskim wzroście. W istocie ocierał się głową o belki pokładowe, lecz mimo to szedł dalej wyprostowany. Hornblowerowi przyszła do głowy śmieszna myśl, że el Supremo nigdy nie zostanie zmuszony do zgięcia pleców; że to raczej belki uniosą się w górę, aby go przepuścić i nie uderzyć świętokradczo jego głowy — w takim stopniu wywarł nań wrażenie dostojny chód el Suprema.

Polwheal i pomagający mu stewardowie, ubrani w co mieli najlepszego, przytrzymali zasłony, które wciąż zastępowały usunięte grodzie. Przed wejściem do kabiny el Supremo zatrzymał się i wyrzekł pierwsze słowa, jakie mu przeszły przez usta od chwili przybycia na pokład.

— Będę tu jadł sam — rzekł. — Niech przyniosą mi jedzenie.

Nikt z jego świty nie dostrzegł niczego dziwnego w tym żądaniu i Hornblower, patrząc po ich twarzach, był pewien, że brak reakcji na słowa el Suprema nie był w żadnym wypadku zamierzony. El Supremo mógł sobie nic nie robić z zaskoczenia, jakie spowodował swoim życzeniem.

Było to oczywiście bardzo przykre. Hornblower i jego pozostali goście musieli jeść obiad w prowizorycznych warunkach, w mesie młodszych oficerów; jedyny lniany obrus i jedyny komplet serwetek oraz dwie ostatnie butelki starej madery zostały w kabinie rufowej do użytku el Suprema. Milczenie panujące przez cały prawie czas nie dodawało smaku potrawom. Ludzie ze świty el

Suprema nie byli wcale rozmowni, a Hornblower był jedynym Anglikiem mówiącym po hiszpańsku. Bush spróbował dzielnie raz i drugi zagać uprzejmą rozmowę z sąsiadami, dodając końcówkę „o” do słów angielskich w nadziei, że zmieni je to w słowa hiszpańskie, lecz puste spojrzenia ludzi, do których się zwracał, sprawiły, że wyjąkał coś jeszcze i zamilkł.

Ledwie skończył się obiad i uczestnicy zapalili cygara ze skręconych luźno brązowych liści, dostarczone w ramach aprowizacji „Lydii”, gdy z brzegu przybył nowy posłaniec. Wprowadził go zdezorientowany oficer, który nie mógł zrozumieć ani słowa z jego bełkotu. Oddziały były gotowe do przybycia na okręt. Hornblower z ulgą odłożył serwetkę i udał się na pokład. Inni ruszyli za nim.

Ludzie zwożeni przez barkas i kuter, krążące nieustannie między okrętem a brzegiem, byli typowymi żołnierzami z Ameryki Środkowej, bosy i odziani w łachmany, ciemnolicy, o prostych gładkich włosach. Każdy z nich miał nowiusieńki muszkiet i wypchaną nabojami ładownicę, lecz całe to uzbrojenie pochodziło z dostawy przywiezionej przez Hornblowera. Większość trzymała w rękach worki wyładowane chyba zapasami — niektórzy nieśli także melony i kiście bananów. Załoga zegnała wszystkich na główny pokład — rozglądali się ciekawie i trajkotali z przejęciem, lecz byli dosyć posłuszni. Przycupnęli w rozplotkowanych grupkach między działami, gdzie szczerząc szyderczo zęby wepchnęła ich załoga okrętu. Rozsiedli się na deskach pokładu i większość z nich zabrała się zachłannie do jedzenia; Hornblower podejrzewał, że byli na pół zagłodzeni i pożerali teraz racje, które miały im starczyć na kilka co najmniej dni.

Gdy ostatni człowiek znalazł się na pokładzie, Hornblower popatrzył w stronę „Natividad”; wydawało się, że i tam również zaokrętowano przeznaczoną na tamten okręt część ekspedycji. Nagle gwar na pokładzie głównym zamarł zupełnie i nastąpiła nieopisana cisza. W chwilę potem na pokład rufowy wszedł el Supremo — to pojawienie się jego postaci wychodzącej z kabiny musiało tak uciszyć wrzawę.

— Odplywamy do La Libertad, kapitanie, — rzekł.

— Tak jest, Supremo — odpowiedział Hornblower. Był zadowolony, że el Supremo zjawił się właśnie w tej chwili. Jeszcze trochę, a jego oficerowie zobaczyliby swego kapitana czekającego na rozkazy, to zaś w żadnym wypadku nie powinno się zdarzyć.

— Podnosimy kotwicę, panie Bush — powiedział Hornblower.

Rozdział VII

Podróż wzdłuż wybrzeża zakończyła się. Port La Libertad padł, a el Supremo ze swoimi ludźmi zniknął w gąszczu wulkanów otaczających miasto Świętego Zbawiciela[24]. I znów wczesnym rankiem kapitan Hornblower przemierzał pokład rufowy „Lydii”, trzydziestosześciodziałowej fregaty jego królewskiej mości króla Brytanii, a porucznik Bush, pełniący obowiązki oficera wachtowego, stał obok sternika, pilnie udając, że nie dostrzega swego dowódcy.

W czasie przechadzki Hornblower rozglądał się dokoła i przy każdym oddechu wciągał powietrze głęboko do płuc. Zauważywszy to zaśmiał się do siebie i stwierdził, że czyni tak, aby się

napawać słodką atmosferą swobody. Na jakiś czas był wolny od koszmarnego wpływu el Suprema i jego bezlitosnych metod i nie umiał wprost wyrazić, jaką ulgą była dlań ta myśl. Znowu był panem siebie i mógł spacerować spokojnie po swym pokładzie rufowym. Niebo było błękitne, a morze błękitnosrebrne i Hornblower przyłapał się na tym, że po dawnemu czyni porównanie do heraldycznych barw srebra i lazuru. Wiedział, że znowu jest sobą. Uśmiechnął się, zwracając równocześnie twarz ku morzu, aby ktoś z załogi nie zobaczył, że kapitan chodzi po pokładzie szczerząc zęby jak stary kocur.

„Lydia” szła półwiatrem, wyzyskując lekką bryzę wiejącą prostopadle do burty. Z lewej strony ukazywały się spoza horyzontu wciąż nowe wierzchołki wulkanów, tworzących szkielet tego kraju pogrążonego w mrokach barbarzyństwa. Może jednak el Supremo zrealizuje swą szaloną mrzonkę o podbiciu Ameryki Środkowej; może jest istotnie jakaś realna podstawa w nadziejach na otwarcie komunikacji w poprzek przesmyku — przez Panamę, jeśli projekt nikaraguański okaże się nie do przeprowadzenia. Miałoby to ogromne znaczenie dla świata. Zbliżyłoby Ziemię Van Diemena i Moluki do świata cywilizowanego. Otworzyłoby Pacyfik dla Anglii dzięki wyeliminowaniu trudów żeglugi wokół przylądka Horn lub wokół Przylądka Dobrej Nadziei i Indii, a wówczas pojawiłyby się na nim eskadry okrętów liniowych, docierając tam, dokąd nie dopłynęła dotychczas żadna fregata. Hiszpańskie Cesarstwo Meksyku i Kalifornii mogłoby nabrać nowego znaczenia.

Hornblower szybko porzucił te rozważania, mówiąc sobie, że wszystko to jest wciąż w sferze marzeń. Jak gdyby chcąc się ukarać za te mrzonki zmusił się do przemyślenia swoich obecnych posunięć i poddania surowej ocenie motywów, jakie przywiodły go na południe ku Panamie. Wiedział doskonale, że głównie było to pragnienie otrząśnięcia się z wpływu el Suprema, lecz próbował znaleźć inne jeszcze powody, które usprawiedliwiłyby jego ostatnie decyzje.

Jeśli atak el Suprema na San Salvador nie powiedzie się, „Natividad” zmieści na swym pokładzie resztki ocalałe z jego armii. Obecność „Lydii” w żadnym razie nie może mieć wpływu na operacje na lądzie. Jeżeli zaś el Supremo odniesie sukces, to w czasie gdy będzie zdobywał Nikaragę, byłoby rzeczą wskazaną wszcząć w Panamie działania dywersyjne, obliczone na zdezorientowanie Hiszpanów i niedopuszczenie do tego, aby skoncentrowali całe swe siły na akcji przeciwko niemu. Załodze „Lydii” należy się też okazja do zyskania przyzwoitego za zdobycie któregoś ze statków poławiaczy perel w Zatoce Panamskiej; skompensowałoby to prawdopodobną utratę należącego im się przyzwoitego i nie trzeba by było wyciskać z Admiralicji pieniędzy za zdobycie „Natividad”. Obecność „Lydii” w Zatoce Panamskiej przeszkodzi w transporcie sił hiszpańskich z Peru. Poza tym Admiralicja na pewno będzie zadowolona z możliwości wykonania pomiarów w zatoce wokół Wysp Perłowych; mapy Ansona mają luki pod tym względem. Pomimo wszystkich tych argumentów, bardzo zresztą przekonywających, Hornblower wiedział doskonale, że przybył tu głównie po to, aby uciec od el Suprema.

Wielka płaska raja o rozmiarze płyty stołowej wyskoczyła nagle z wody tuż przy burcie, z głośnym plaśnięciem upadła na powierzchnię, wyskoczyła znowu i zniknęła w głębinie błysnąwszy na moment różowobrazowym ciałem o wilgotnym połysku, zanim woda zamknęła się nad nią. Latające ryby śmigły w różnych kierunkach, muskając lekko wodę i zostawiając za sobą niksą szybko ciemną bruzdę. Hornblower przyglądał się temu wszystkiemu bez troski, szczęśliwy, że może puścić wodze myślom i nie czuć się zmuszonym do koncentrowania ich na jednej sprawie. Mają

okręt doskonale zaopatrzony i załogę zadowoloną z przygód, jakie przeżyła ostatnio, nie miał żadnego powodu do zmartwień. Jeńcy hiszpańscy, których ocalił przed śmiercią z rąk ludzi el Suprema, włożyli się leniwie po dziobówce, wystawiając ciała na słońce.

— Żagle na horyzoncie! — dobiegł go okrzyk z salingu.

Hiszpańscy wałkonie stłoczyli się na nadburciu, gapiąc się w górę. Marynarze szorujący pokład cegiełkami piaskowca ukradkiem zwolnili swe ruchy, żeby słyszeć, co się będzie działo.

— Z której strony? — zawołał Hornblower.

— Od dziobu, z lewej burty, sir. Chyba to lugier, sir, płynie prosto na nas, ale jest akurat pod słońce...

— Tak, sir, lugier — zapiszczał kadet Hooker ze szczytu fokmasztu. — Dwumasztowiec. Jest akurat z nawietrznej, idzie pełnym wiatrem prosto na nas, pod pełnymi żaglami, sir.

— Prosto na nas? — Hornblowera zaintrygowała ta wiadomość. Wskoczył na lawetę najbliższego działka na pokładzie rufowym i spojrział pod słońce wprost tam, skąd wiał wiatr; ale z tak małej wysokości trudno było jeszcze coś zobaczyć.

— Idzie dalej tym samym kursem, sir — piszczał Hooker.

— Panie Bush — rzucił Hornblower. — Przebrasować bezanmarsel. Mógł to być lugier łowiący perły w Zatoce Panamskiej, który nie wiedział jeszcze o obecności brytyjskiej fregaty na tych wodach; mógł to być jednak również statek z posłaniem od el Suprema — kurs lugra przemawiał wprawdzie przeciwko temu, ale ta sprawa mogła się wyjaśnić. Gdy okręt uniósł się na fali, Hornblower w sekundzie dojrzał błysk białego prostokąta nad odległym horyzontem. Potem żagle znikły, ale w miarę upływu minut pojawiały się coraz częściej, tak że w końcu widać było z pokładu cały lugier płynący fordewindem na pełnych żaglach z dziobem skierowanym wprost na „Lydię”.

— Ma hiszpańską banderę na maszcie, sir — powiedział Bush, patrząc przez wycelowaną lunetę. Hornblower podejrzewał to już wcześniej, lecz nie chciał dowierzać swym oczom.

— Teraz ją opuszcza — odwzajemnił się Hornblower, rad, że pierwszy to zauważył.

— W samej rzeczy, sir — potwierdził Bush, nieco zaskoczony, i dodał: — Teraz znów podnosi, sir. Nie! Co pan może z tego wyrozumieć, sir?

— Widzę białą chorągiew nad flagą hiszpańską — powiedział Hornblower. — To by oznaczało parlamen-tariusza. Nie, nie dowierzam im. Proszę podnieść banderę, panie Bush, i posłać ludzi na stanowiska. Natoczcie działa i ukryjcie znów jeńców na dole pod strażą.

Hornblower nie miał zamiaru dać się zaskoczyć przez jakiś podstęp ze strony Hiszpanów. Lugier mógł być wypełniony ludźmi, jak nadziewana mięsem skorupka jajka, i mógłby wypluć oddział abordażowy przez burtę nie przygotowanego do walki okrętu. Gdy na „Lydii” otwarto furty

strzelnicze i okręt wyszczerzył swe zęby, lugię wykręcił się dziobem do wiatru i położył się w dryf na falach w odległości strzału armatniego.

— Wysłała łódź, sir — powiedział Bush.

— Przecież widzę — odrzekł sucho Hornblower.

Mała łódka prowadzona z trudem dwoma wiosłami po rozkołysanej wodzie przybiła do burty „Lydii” i jakiś człowiek zaczął się wspinać po drabince trapu. Tyle dziwnych postaci odbywało ostatnio tę drogę — pomyślał Hornblower. Ten nowy przybysz miał na sobie pełny uniform hiszpańskiej królewskiej marynarki wojennej, z epoletami połyskującymi w słońcu. Skłonił się i postąpił naprzód.

— Kapitan Hornblower? — zapytał.

— Tak, jestem kapitan Hornblower.

— Mam powitać pana jako nowego sprzymierzeńca Hiszpanii.

Hornblower oniemiał. Mógł to być podstęp, lecz od momentu, gdy usłyszał pierwsze słowa tego człowieka, poczuł instynktownie, że mówi on prawdę. Cały ten szczęśliwy świat, który otaczał go jeszcze przed chwilą, stał się nagle czarny od trosk. Widział już, jak gromadzą się przed nim nie kończące się trudności spowodowane nieopatrzonym działaniem polityków.

— Mamy tę wiadomość od czterech dni — ciągnął oficer hiszpański. — W ubiegłym miesiącu Bonaparte porwał naszego króla Ferdynanda i mianował swego brata Józefa królem Hiszpanii. Rządząca junta^[25] podpisała układ o wiecznym przymierzu i przyjaźni z jego królewską mością królem Anglii. Mam wielką przyjemność powiadomić pana, kapitanie, że wszystkie porty będące we władaniu jego katolickiej mości króla Hiszpanii są otwarte dla pana po tak uciążliwej podróży.

Hornblower stał wciąż oniemiały. Mogło to być kłamstwo, podstęp obliczony na zwabienie „Lydii” w zasięg hiszpańskiej artylerii brzegowej. Hornblower niemal pragnął, aby tak było — wolał to niż wszystkie komplikacje, jakie by go osaczały, gdyby słowa oficera okazały się prawdą. Hiszpan wytłumaczył sobie wyraz jego twarzy jako oznakę niedowierzania.

— Mam tu listy — powiedział, wyjmując je z kieszeni na piersi. — Jeden od pańskiego admirała na Wyspach Zawietrznych, przesłany drogą lądową z Portobelo, jeden od jego ekscelencji wicekróla Peru i jeden od pewnej damy angielskiej z Panamy.

Wręczył mu listy z ponownym ukłonem, a Hornblower mamrocząc jakieś słowa przeproszenia — biegnąc w hiszpańskim opuściła go wraz z właściwą mu szybką orientacją — zaczął otwierać koperty. Ale zreflektował się; tu na pokładzie, w dodatku na oczach oficera hiszpańskiego, nie było miejsce na studiowanie tych dokumentów. Mruczając dalsze słowa przeprosin wycofał się na dół w zacisze swej kabiny.

Gruba koperta płócienna, w jaką pakowano zwykle rozkazy w marynarce wojennej, wyglądała na oryginalną. Hornblower obejrzał starannie obie pieczęcie, lecz były nienaruszone.

Koperta była zaadresowana prawidłowo odręcznym piśmem angielskim. Ostrożnie przeciął ją i przeczytał zawarte w niej rozkazy. Treść ich nie pozwalała w nie wątpić. Nosiły podpis — baronet Thomas Troubridge kontradmirał. Hornblower widział już kiedyś jego podpis i rozpoznał go bez trudu. Rozkazy były krótkie, jak można się było spodziewać po Troubridge'u — wobec przymierza zawartego między rządem jego królewskiej mości a rządem hiszpańskim kapitanowi Hornblowerowi poleca się i nakazuje, aby powstrzymał się od kroków nieprzyjacielskich przeciwko posiadłościom hiszpańskim i uzyskawszy od władz hiszpańskich niezbędne zapasy udał się jak najspieszniej do Anglii po dalsze rozkazy. Oryginalność dokumentu nie budziła żadnych wątpliwości. Nosił on napis „Kopia Nr 2”; przypuszczalnie dalsze kopie rozesłano do innych części posiadłości hiszpańskich, aby mieć pewność, że choć jedna dotrze do niego.

Następny list był ozdobnie zapieczętowany i zaadresowany z wykrętami — był to list powitalny od wicekróla Peru, zapewniający kapitana, że cała Ameryka Hiszpańska jest do jego dyspozycji, i wyrażający nadzieję, że uczyni on wszystko, aby znaleźć się szybko w stanie gotowości do udzielenia narodowi hiszpańskiemu pomocy w jego świętej misji zepchnięcia francuskiego uzurpatora z powrotem do jego nory.

— Hmm — chrząknął Hornblower. Wicekról hiszpański nie wiedział jeszcze, co się stało z „Natividad” ani o nowym przedsięwzięciu el Suprema. Mógłby okazać się mniej serdeczny, gdyby dotarła doń wiadomość o udziale „Lydii” w tych wydarzeniach.

List trzeci był tylko zalepiony naklejką i zaadresowany ręką kobiecą. Hiszpański oficer mówił o liście damy angielskiej z Panamy — cóż, na Boga, robi tam angielska dama? Hornblower otworzył list i czytał.

Cytadela, Panama

Lady Barbara Wellesley przesyła pozdrowienia kapitanowi fregaty angielskiej i prosi, aby był tak dobry i przewiózł ją i jej pokojówkę do Europy, ponieważ z powodu wybuchu epidemii żółtej febry w tej części posiadłości hiszpańskich Lady Barbara nie może niestety wracać do kraju w sposób, w jaki by pragnęła.

Hornblower złożył list i w zamyśleniu uderzał nim o paznokcie kciuka. Kobieta ta prosi o rzecz niemożliwą, to sprawa jasna. Zatłoczona fregata, która ma opłynąć przylądek Horn, nie jest miejscem dla stworzeń płci żeńskiej. Niemniej jednak wydawało się, że nie przypuszcza ona w ogóle, iż może spotkać się z odmową; wprost przeciwnie — widać było, że jest pewna, iż jej prośba zostanie natychmiast spełniona. Kluczem było oczywiście nazwisko — Wellesley. Ostatnio często pojawiała się na arenie publicznej. Dama ta była przypuszczalnie ciotką lub siostrą jednego z dwóch znanych Wellesleyów — markiza Wellesleya, kawalera Orderu Św. Patrycego, byłego generalnego gubernatora Indii, a obecnie członka gabinetu, i generała Sir Artura Wellesleya, kawalera Orderu Łaźni, zwycięzcy spod Assaye, uznawanego obecnie za największego, po Sir Johnie Moore, żołnierza Anglii. Hornblower widział go raz i zapamiętał jego wydatny arogancki nos i wielkopańskie, rozkazujące spojrzenie. Jeśli w tej kobiecie płynie ta sama krew, jest ona z gatunku ludzi, którzy z góry wiedzą, że wszystko będzie tak, jak oni chcą. Pewnie tak też myśli i teraz. Ubogi kapitan fregaty, nie posiadający żadnych wpływów, powinien być tylko rad, że może się przysłużyć komuś z takiej rodziny. Maria będzie mile polechtana, choć nie wolna od podejrzeń, gdy się dowie, że

korespondował z córką lorda a siostrą markiza.

Ale teraz nie było czasu na rozmyślania o kobietach. Hornblower zamknął listy w biurku i pośpieszył na pokład, gdzie z wymuszonym uśmiechem zbliżył się do kapitana hiszpańskiego.

— Witam nowych sprzymierzeńców — powiedział. — Jestem dumny, señor, że mogę służyć z Hiszpanami przeciwko tyranowi z Korsyki.

Hiszpan skłonił się.

— Obawialiśmy się bardzo, kapitanie — rzekł — że wda się pan w walkę z „Natividad”, zanim się pan dowie o nowych wydarzeniach, ponieważ tamten okręt także nie był o tym powiadomiony. W tym wypadku pańska piękna fregata mogłaby poważnie ucierpieć.

— Hmm — chrząknął Hornblower. Sytuacja była wyjątkowo niezręczna. Odwrócił się i rzucił rozkaz kadetowi na wachcie: — Proszę przyprowadzić tu jeńców z komory lin kotwicznych. Szybko!

Chłopiec popędził, a Hornblower odwróciwszy się do oficera hiszpańskiego powiedział: — Bardzo mi przykro, señor, ale muszę panu powiedzieć, że wskutek nieprzychylnego zbiegu okoliczności „Lydia” natknęła się tydzień temu na „Natividad”.

Hiszpan spojrzał nań zaskoczony. Potoczył wzrokiem po okręcie, na którym panował wzorowy porządek. Popatrzył na takielunek w świetnym stanie. Nawet kapitan fregaty hiszpańskiej mógł się zorientować, że ta fregata nie stoczyła ostatnio żadnego ciężkiego boju.

— Ale pan nie wdał się z nią w walkę, kapitanie? — powiedział. — Może...

Słowa zamarły mu na ustach, gdy spostrzegł żalostną procesję idącą ku nim po trapie. Rozpoznał kapitana i poruczników z „Natividad”. Hornblower zaczął gorączkowo tłumaczyć ich obecność na „Lydii”, lecz niełatwo było wyjaśnić hiszpańskiemu oficerowi, że „Lydia” zdobyła dwa razy silniej uzbrojony okręt hiszpański bez jednego strzału i bez żadnych ofiar w ludziach, a jeszcze trudniej było mu wytłumaczyć, że „Natividad” płynie teraz pod flagą rebeliantów, którzy postanowili zniszczyć panowanie hiszpańskie w Nowym Świecie. Twarz Hiszpana pobladła z wściekłości i zranionej dumy. Zwrócił się do kapitana „Natividad” i otrzymał od niego potwierdzenie słów Hornblowera, wypowiedziane drżącymi wargami; ramiona mówiącego zwisały żałośnie, gdy opowiadał historię, która niewątpliwie miała się dlań skończyć sądem wojennym i ruiną.

Słowo po słowie przybysz z ługra usłyszał całą prawdę o wydarzeniach ostatnich dni, o zdobyciu „Natividad” i powodzeniu rebelii el Suprema. Uświadomił sobie, że całe zwierzchnictwo hiszpańskie nad obu Amerykami jest w niebezpieczeństwie i gdy zdał sobie z tego sprawę, nowy niepokojący aspekt sytuacji stanął mu nagle przed oczyma.

— Galeon z Manili jest w morzu! — wykrzyknął. — W przyszłym miesiącu ma przybyć do Acapulco. „Natividad” go przechwyci!

Raz do roku przepływał przez Pacyfik jeden statek z Filipin, za każdym razem wioząc skarb wart co najmniej miliona funtów szterlingów. Utrata statku byłaby nieuleczalnym ciosem dla

zbankrutowanego rządu hiszpańskiego. Trzej kapitanowie wymienili spojrzenia — Hornblower uświadomił sobie, że to właśnie dlatego el Supremo tak chętnie się zgodził, żeby „Lydia” odpłynęła na południowy zachód. Niewątpliwie cieszył się już myślą, że na północnym wschodzie „Natividad” zdobędzie ten skarb dla niego. Hiszpanie potrzebowaliby miesięcy, aby sprowadzić wokół przylądka Horn jakiś okręt, który byłby w stanie stawić czoła „Natividad”, a tymczasem el Supremo ciągnąłby z panowania na oceanie wszystkie te korzyści, jakich Hornblower spodziewał się dla „Lydii”. Bunt zakorzeniłby się tak mocno, że żadna siła nie potrafiłaby go zgnieść, szczególnie że, jak się okazuje, Hiszpanie w swoim kraju wdali się walkę na śmierć i życie z Bonapartem i nie mieliby ani okrętów, ani ludzi na wysłanie do Ameryki. Hornblower zorientował się, co nakazuje mu obowiązek.

— Doskonale — oświadczył krótko. — Poprowadzę znów mój okręt do walki z „Natividad”.

Wszyscy oficerowie hiszpańscy odetchnęli z ulgą, słysząc te słowa.

— Dziękuję panu, kapitanie — powiedział kapitan lugra. — Czy zawinie pan wpierw do Panamy, aby zasięgnąć rady wicekróla?

— Tak — odparł krótko Hornblower.

W świecie, gdzie wieści wędrowały miesiącami i gdzie radykalne zwroty w stosunkach międzynarodowych były nie tylko możliwe, lecz prawdopodobne, gorzkie doświadczenie nauczyło Hornblowera, aby utrzymywać możliwie bliski kontakt z lądem; jego zmartwień nie łagodziła bynajmniej świadomość, że obecne trudności powstały wyłącznie z powodu ścisłego przestrzegania rozkazów — wiedział również, że lordowie z Admiralicji nie dopuszczają, by ten szczegół miał wpływ na ich opinię o kapitanie, który mógł spowodować tak straszne kłopoty.

— A zatem — powiedział kapitan lugra — na razie pożegnam pana. Jeśli przybędę pierwszy do Panamy, będę mógł przygotować panu odpowiednie przyjęcie. Czy pozwoli pan, aby moi rodacy towarzyszyli mi?

— Nie, nie zgadzam się — powiedział Hornblower zdecydowanym tonem. — A pan, sir, zechce się trzymać blisko mnie na mojej zawietrznej do czasu, aż my rzucimy kotwicę.

Hiszpan wzruszył ramionami i ustąpił. Na morzu trudno spierać się z kapitanem, którego działa są wytoczone i który jedną salwą burtową mógłby zdmuchnąć cały statek z powierzchni wody, tym bardziej że wszyscy Anglicy są równie zwariowani i despotyczni, jak el Supremo. Hiszpan nie miał na tyle intuicji, aby się zorientować, że Hornblower wciąż żywi obawę, iż cała ta sprawa może być podstępem obliczonym na zwabienie „Lydii”, aby znalazła się bezradna w zasięgu dział Panamy.

Rozdział IX

Nie był to wcale podstęp. Gdy rankiem „Lydia” pchana lekkim wiatrem wpływała ostrożnie z szybkością trzech węzłów na redę Panamy, jedynymi wystrzałami były saluty powitalne z dział. Łodzie pełne wiwatujących Hiszpanów wypłynęły na powitanie okrętu. Lecz radość ich wnet przeszła w rozpacz na wieść, że „Natividad” żegluje obecnie pod flagą el Suprema, że padło miasto

San Salvador i że całą Nikaragwę ogarnął płomień buntu.

W trójgraniastym kapeluszu na głowie, ze szpadą o oprawnej w złoto rękojeści („szpada wartości pięćdziesięciu gwinei”, dar Funduszu Patriotycznego dla porucznika Hornblowera za udział w zdobyciu okrętu „Castilla” przed sześciu laty), Hornblower był gotów do zejścia na ląd i złożenia wizyt gubernatorowi i wicekrólowi, gdy zaanonsowano mu przybycie jeszcze jednej łodzi.

— Jest w niej dama — powiedział Gray, jeden z oficerów nawigacyjnych, który przyniósł wiadomość.

— Dama?

— Wygląda na angielską damę, sir — wyjaśnił Gray. — Zdaje się, że chce wejść na okręt.

Hornblower udał się na pokład. Tuż przy burcie kołysała się i podskakiwała na falach wielka łódź wiosłowa. Przy sześciu wiosłach siedzieli Amerykanie hiszpańskiego pochodzenia z obnażonymi ramionami, w słomianych kapeluszach na głowach; jeden stał na dziobie z bosakiem w rękach i twarzą zwróconą ku okrętowi, czekając na zezwolenie przycumowania. Na rufie siedziała Murzynka w płomiennoczerwonej chustce na ramionach, a obok niej dama angielska, o której mówił Gray. Właśnie w chwili gdy Hornblower ją zobaczył, bosakowy zahaczył bosak o podwieszony want i łódź chroniona przez dwóch ludzi przed zderzeniem stanęła przy burcie „Lydii”. Ktoś chwycił za drabinkę sznurową i w następnej chwili doskonale odmierzając ruchy, angielska dama wspięła się po niej i w dwie sekundy później była już na pokładzie.

Nie ulegało wątpliwości, że jest Angielką. Zamiast tradycyjnej mantylki miała na głowie kapelusz z szerokim rondem, obramowany różami, a jej szaroniebieska jedwabna suknia była znacznie bardziej wyszukana niż czarne stroje hiszpańskie. Cera jej była jasna, mimo złotawego odcienia opalenizny, a szaroniebieskie oczy miały ten sam nieuchwytny odcień co jedwab sukni. Twarz damy była zbyt wydłużona, a nos zbyt zakrzywiony, by można ją było nazwać piękną, w dodatku ta opalenizna... Na pierwszy rzut oka Hornblower ocenił ją jako jedną z tych kobiet o końskich twarzach i męskim usposobieniu, jakich szczególnie nie lubił; gustował wyłącznie w stworzeniach o chwytającej za serce bezradności. Kobieta, która potrafiła dostać się w ten sposób z łodzi na okręt na otwartej redzie i wspiąć się bez pomocy po drabince sznurowej, musi być zbyt męska jak na jego gust. Ponadto Angielka musiała być osobą absolutnie pozbawioną seksu, żeby przebywać w Panamie bez asysty męskiej; nie wymyślono jeszcze wówczas określenia „globtroterka”, z jego wszystkimi uwłaczającymi implikacjami, lecz wyrażało ono dokładnie uczucia Hornblowera w stosunku do tej kobiety.

Dama rozglądała się po okręcie, a Hornblower trzymał się tymczasem na uboczu. Nie miał zamiaru uczynić czegokolwiek, aby jej pomóc. Dziki wrzask zza burty świadczył, że Murzynka nie potrafiła dać sobie tak dobrze rady z drabinką, jak jej pani; potwierdził to jej wygląd, gdy w chwilę potem zjawiła się mokra od pasa w dół. Woda ociekała z jej sukni na pokład. Dama nie zwróciła uwagi na wypadek, jaki się przydarzył jej pokojówce. Obróciła się do Graya, który był najbliżej, i rzekła:

— Niech pan będzie tak dobry, sir, i każe tu przenieść z łodzi moje bagaże.

Gray zawahał się i obejrzał na Hornblowera, który stał sztywno wyprostowany na pokładzie rufowym.

— Tu jest kapitan, proszę pani — rzekł.

— Tak — odpowiedziała. — Niech wniosą moje bagaże, a ja tymczasem pomówię z nim.

Hornblower toczył ze sobą wewnętrzną walkę. Nie lubił arystokracji — jeszcze teraz bolało go wspomnienie, że jako syn doktora musiał kłaniać się dziedzicowi. Czuł się nieszczęśliwy i pozbawiony pewności siebie w obliczu zarozumiałej arogancji błękitnej krwi i bogactwa. Irytowała go myśl, że obrażając tę kobietę może złamać sobie karierę. Ani złote lamówki, ani darowana za zasługi szpada nie przywróciły mu pewności siebie wobec zbliżającej się do niego damy. Schronił się za tarczę lodowatej grzeczności.

— Pan jest kapitanem tego okrętu, sir? — spytała podchodząc do niego. Patrzyła mu prosto w twarz odważnie i otwarcie, bez cienia zażenowania.

— Kapitan Hornblower do pani usług, madam — powiedział ze sztywnym skłonem karku, który można było ostatecznie uznać za ukłon.

— Lady Barbara Wellesley — odpowiedziała z ukłonem na tyle głębokim, by utrzymać rozmowę w ramach etykiety.

— Pisałam do pana, kapitanie Hornblower, z prośbą o przewiezienie mnie do Anglii. Mam nadzieję, że otrzymał pan mój list.

— Tak, łaskawa pani. Ale nie sądzę, żeby ze strony jej lordowskiej mości było rzeczą roztropną wsiadać na ten okręt[26].

— Proszę powiedzieć mi, sir, dlaczego.

— Ponieważ, łaskawa pani, wkrótce zaczniemy przygotowania w celu odnalezienia nieprzyjaciela i wydania mu walki. A potem, łaskawa pani, nasza droga powrotna do Anglii będzie wiodła wokół przylądka Horn. Radziłbym bardzo, aby jej lordowska mość zechciała jechać przez przesmyk. Z Portobelo może pani z łatwością dostać się na Jamajkę i zamówić sobie kabinę na statku pocztowo-pasażerskim Kompanii Zachodnioindyjskiej, gdzie są przyzwyczajeni do kobiet jako pasażerów.

Brwi Lady Barbary uniosły się w górę.

— W moim liście — rzekła — pisałam panu, że w Portobelo panuje żółta febra. W ubiegłym tygodniu zmarło tam na nią tysiąc osób. Właśnie po wybuchu epidemii przeniosłam się z Portobelo do Panamy. A choroba może zjawić się i tu lada dzień.

— Czy mogę zapytać, dlaczego jej lordowska mość znalazła się w Portobelo?

— Ponieważ, sir, statek pocztowy Kompanii Zachodnioindyjskiej, na którym płynęłam jako

kobieta-pasażer, został zagrabiony przez korsarzy hiszpańskich i doprowadzony do tego portu. Żałuję, sir, że nie mogę panu podać nazwiska kucharki mojej babki, natomiast chętnie odpowiem na wszelkie dalsze pytania, jakie zadać może rasowy dżentelmen.

Hornblower drgnął i poczuł ku swemu zmartwieniu, że twarz oblewa mu silny rumieniec. Jego niechęć do aroganckich ludzi z błękitną krwią w żyłach wzrosła jeszcze bardziej. Nie można było jednak zaprzeczyć, że wyjaśnienia podane przez tę kobietę były wystarczające: do Indii Zachodnich mogła się udać każda kobieta bez obawy narażenia swej czci na szwank — a do Portobelo i Panamy dostała się wyraźnie wbrew swej woli. Hornblower był teraz znacznie bardziej skłonny spełnić jej prośbę i omal tego nie uczynił, zapomniawszy, o dziwo, zupełnie o czekającym go pojedynku z „Natividad” i o podróży naokoło przylądka Horn. Przywołał to na myśl w momencie wypowiedzi, mówiąc co innego, niż zamierzał, i w rezultacie jękając się i zacinając.

— A-ale my tym okrętem płyniemy, aby wydać walkę — powiedział. — „Natividad” ma dwakroć silniejsze uzbrojenie od nas. To będzie n-niebezpieczne.

Lady Barbara roześmiała się na te słowa — Hornblower dostrzegł miły kontrast między bielą jej zębów a złocistą opalenizną twarzy; on sam miał zęby brzydkie i żółte.

— Wolę jednak dużo bardziej być na pańskim okręcie — rzekła — niezależnie od tego z kim pan będzie walczył, niż zostać w Panamie z vomito negro[27].

— A przylądek Horn, łaskawa pani?

— Nie znam tak jak pan przylądka Horn. Ale dwukrotnie, za czasów gdy mój brat był gubernatorem generalnym, opłynęłam Przylądek Dobrej Nadziei i zapewniam pana, kapitanie, że ani razu nie cierpiałam na chorobę morską.

Kapitan dalej jąkał się i wahał. Oburzała go myśl, że na pokładzie jego okrętu mogłaby się znaleźć kobieta. Lady Barbara odgadła jego rozterkę i jej wygięte w łuk brwi zbiegły się w jedną linię, podobnie jak brwi el Suprema, chociaż wciąż patrzyła mu prosto w twarz z uśmiechem.

— Kapitanie — rzekła — bo zacznę myśleć, że jestem osobą, której obecność na pokładzie nie jest mile widziana. A trudno mi sobie wyobrazić, aby dżentelmen w służbie królewskiej mógł być nieuprzejmy dla kobiety, szczególnie kobiety noszącej moje nazwisko.

Tu właśnie leżała cała trudność. Kapitan bez żadnych pleców nie mógł sobie pozwolić na obrazę kogoś o nazwisku Wellesley. Hornblower wiedział, że gdyby to uczynił, mógł się na zawsze pożegnać z dowodzeniem okrętem i musieliby oboje z Marią wegetować do końca życia na lądzie za pensję wynoszącą połowę tego, co zarabiał obecnie. Mając trzydzieści siedem lat odbył dopiero jedną ósmą kapitańskiego stażu potrzebnego do awansu na wyższy stopień, a dobra wola ze strony Wellesleyów mogłaby ułatwić mu pozostanie w służbie aż do uzyskania stopnia admirałskiego. Nie było innej rady, tylko przełknąć niechęć i uczynić wszystko, aby zasłużyć na tę dobrą wolę, wyciągając dyplomatycznie korzyść dla siebie z własnych kłopotów. Szukał przez chwilę odpowiednich słów.

— Spełniłem tylko swój obowiązek, łaskawa pani — powiedział — wskazując niebezpieczeństwa, na jakie mogłaby pani być narażona. Jeśli o mnie chodzi, nic nie mogłoby sprawić mi większej przyjemności niż obecność pani na moim okręcie.

Lady Barbara złożyła znacznie głębszy ukłon niż poprzednio, a w tym momencie nadszedł Gray i zasalutował.

— Madam, bagaż pani jest już na pokładzie — powiedział.

Musieli wciągać cały ten majdan posługując się blokiem na noku grotrei i teraz wszystko w nieładzie leżało w przejściu — skórzane walizy, okute żelazem skrzynie, kufry z kopulastymi wiekami.

— Dziękuję, sir. — Lady Barbara wydobyła z kieszeni płaską skórzaną portmonetkę i wyjęła z niej złotą monetę. — Czy będzie pan tak dobry i da to załodze łodzi?

— Niech Bóg broni, madam, żeby pani dawała złoto tym czarnym diegom. Zaslugują najwyżej na srebro.

— Więc proszę im dać to i dziękuję za pańską uprzejmość.

Gray odszedł spiesznie i Hornblower usłyszał, jak targuje się po angielsku z załogą łodzi, która nie znała żadnego języka oprócz hiszpańskiego. Groźba, że poczęstuje ich strumieniem zimnej wody, skłoniła ich wreszcie do odpłynięcia, ale wciąż słyhać było, jak wywrzaskują swoje pretensje. Nowa, drobna fala irytacji podniosła się w mózgu Hornblowera. Nie było mu w smak widzieć, jak jego oficerowie spiesznie wykonują polecenia kobiety; miał na głowie poważne sprawy i stał tu w pełnym słońcu już od pół godziny.

— Łaskawa pani, w kabinie nie ma miejsca nawet na dziesiątą część tego bagażu — powiedział sucho.

Lady Barbara skinęła głową z poważną miną.

— Sir, mieszkałam już przedtem w kabinie. Ta skrzynia zawiera wszystko, co mi będzie potrzebne w czasie pobytu na okręcie. Resztę, do czasu przybycia do Anglii, może pan wstawić gdziekolwiek.

Hornblower omal nie tupnął ze złości. Nie przywykł do kobiet o takim rozsądku i praktycznym podejściu do życia. Wściekało go, że w żaden sposób nie udaje mu się zbić jej z tropu. W tym momencie dostrzegł jej uśmiech i domyślił się, że wywołała go wewnętrzna szarpanina widoczna na jego twarzy. Poczul, że znów się rumieni, odwrócił się więc bez słowa i poszedł przodem na dół.

Lady Barbara z ironicznym uśmiechem rozejrzała się po kabinie kapitańskiej, ale nie powiedziała nic, nawet gdy spostrzegła zupełny brak wygod w części sypialnej.

— Łaskawa pani widzi, że na fregacie nie ma takich wygod jak na liniowcu Kompanii Indyjskiej — rzekł z goryczą Hornblower. Gorycz tę powodował fakt, że z powodu braku pieniędzy

w czasie gdy obejmował dowództwo „Lydii”, nie mógł sobie pozwolić na kupno tych różnych udogodnień, na jakie stać było kapitanów wielu fregat.

— Myślałam właśnie — powiedziała Lady Barbara miłym głosem — jaki to skandal, że oficer królewski jest traktowany gorzej od tych grubasów z Kompanii Żeglugowej Johna. Chciałabym jednak poprosić tylko o jedną rzecz, której tu nie widzę.

— O co mianowicie, proszę pani?

— O klucz do zamka od drzwi kabiny.

— Każę zbrojmistrzowi, żeby dorobił klucz, madam. Ale przed drzwiami będzie noc i dzień stała warta.

Powody, które — jak sądził — miała na myśli Lady Barbara, wypowiadając to żądanie, znów podnieciły jego gniew. Obrażała jego i jego okręt.

— *Quis custodiet ipsos custodes*[28] ? — rzekła Lady Barbara. — Nie potrzebuję, kapitanie, klucza ze względu na mnie. Chodzi mi o Hebe. Muszę ją zamykać, kiedy spuszczam ją z oczu. Ciągnie do mężczyzn jak ćma do światła.

Słyszac te słowa mała Murzynka wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu. Nie miała ich za złe — przeciwnie, wprawiły ją w dumę. Przeniosła wzrok na Polwheala, stojącego obok w milczeniu.

— A gdzież ona będzie spać? — zapytał Hornblower, którego ta odpowiedź ponownie zakłopotwała.

— W mojej kabynie na podłodze. I zapamiętaj, Hebe, moje słowa. Jeśli choćby raz nie znajdę cię tam w nocy, będę cię przywiązywała tak, że będziesz musiała spać twarzą do podłogi.

Hebe wciąż szczerzyła zęby, ale widać było, że wie, iż jej pani wykona swoją groźbę. Hornblower złagodniał, słysząc, jak Lady Barbara nazwała pokład w kabynie podłogą. Wskazywało to, że koniec końcem jest tylko słabą kobietą.

— Doskonale — odpowiedział. — Polwheal, zabierz moje rzeczy do kabiny pana Busha. Przepróż go w moim imieniu i powiedz, że dostanie koję w mesie oficerskiej. Dopilnuj, aby Lady Barbara otrzymała wszystko, o co się zwróci, i poproś w moim imieniu pana Graya o zajęcie się złożeniem bagaży do mego magazynu. Proszę mi wybaczyć, Lady Barbaro, ale już jestem spóźniony z moją wizytą u wicekróla.

Rozdział X

Kapitan „Lydii” wrócił na okręt przy zwykłym akompaniamencie gwizdków i prezentowania broni przez żołnierzy piechoty morskiej. Szedł bardzo ostrożnie, gdyż dobre wieści, jakie właśnie przysły z Europy, ogromnie wzmogły gościnność wicekróla, a wiadomość o pierwszym wypadku żółtej febry w Panamie przestraszyła go, toteż zmusił Hornblowera do wypicia o jedną szklaneczkę wina za duzo. Będac z natury człowiekiem wstrzemięźliwym, kapitan nie znosił świadomości, że nie

panuje nad sobą całkowicie.

Jak zwykle, ledwie postawił stopę na pokładzie, rozejrzył się wokół uważnie. Lady Barbara siedziała na leżaku na pokładzie rufowym — ktoś musiał zrobić w ciągu dnia ten leżak dla niej, a ktoś inny zawiesił kawałek tentu na wantach bezanmasztu, tak że siedziała teraz w cieniu, z Hebe przykucniętą u jej stóp. Wyglądało, że jest jej chłodno i wygodnie. Uśmiechnęła się miło do nadchodzącego kapitana, lecz on udał, że tego nie widzi. Nie chciał rozmawiać z nią, póki mu się w głowie nie rozjaśni.

— Niech pan wezwie ludzi do podniesienia kotwicy i stawienia żagli — rzekł do Busha. — Odpływamy natychmiast.

Idąc na dół zauważył z irytacją, że nogi same powiodły go ku jego dawnej kabynie. Odwrócił się gwałtownie i uderzył z hukiem głową o belkę pokładu. Jego nowa kabina, z której został wyrzucony Bush, była jeszcze mniejsza niż poprzednia. Polwheal, czekał, aby pomóc mu się przebrać. Widok stewarda przypomniał Hornblowerowi świeże zmartwienia. W chwili gdy Lady Barbara przybyła na okręt, Hornblower miał na sobie najlepszy, obramowany złotem mundur i białe bryczesy, ale nie mógł stale chodzić w tym stroju, bo wkrótce nie miałby co włożyć przy uroczystych okazjach. Będzie musiał zatem pokazywać się tej kobiecie w starych, połatanych mundurach i tanich drelichowych spodniach. A ona będzie naigrawać się z jego zniszczonej odzieży i ubóstwa.

Uragając jej w myśli zdejmował z siebie na wskroś przepocone ubranie. Wtem przypomniał mu się inny kłopot. Musi kazać Polwhealowi, żeby stał na straży, podczas gdy on będzie się mył pod pompą na pokładzie; w przeciwnym razie Lady Barbara mogłaby nadejść i zaskoczyć go w stroju Adama. Będzie musiał wydać załodze odpowiednie rozkazy, by nie narażać jej wybrednych oczu na widok mężczyzn w niekompletnych ubiorach, jakie zwykle nosili w tropikach. Czesząc włosy kłął, że falując się ścigały jeszcze bardziej uwagę na jego łysiejące czoło.

Wyszedł spiesznie na pokład; był zadowolony, że musi zająć się sprawami okrętowymi, gdyż mógł w ten sposób uniknąć wzroku Lady Barbary i widoku jej reakcji na jego zniszczoną odzież. Mimo to, stojąc tyłem do niej i pilnując podnoszenia kotwicy, czuł jej spojrzenie na sobie. Połowa ludzi z wachty naciskała całym swym ciężarem na handszpaki, szukając nagimi stopami oparcia na gładkim pokładzie. Harrison zagrzewał ich okrzykami i groźbami, a maruderów popędzał uderzeniami trzciny. Na dziobie ten zwariowany rzępoła Sullivan, dwaj żołnierze z piszczałkami i dwaj dobosze wygrywali jakąś ochoczą melodię — dla Hornblowera wszystkie melodie były podobne do siebie.

Lina kotwiczna powoli wynurzała się z wody, a chłopcy pokładowi z linkami stoperowymi w rękach zakładali przewiąz, puszczała go i biegli szybko, aby wykonać następny. Lecz miarowe kłaśnięcia kabestanu stawały się coraz wolniejsze i w końcu ucichły.

— Wybierać, takie syny! Wybierać! — ryczał Harrison. — Dalej, wy tam na dziobie, pomóżcie im. No już, wybierać!

Na handszpaki rzuciło się teraz ze dwudziestu nowych ludzi i pod ich naporem kabestan szczęknął raz jeszcze.

— Wybierać; niech was diabli, wybierać!

Harrison walił na oślep trzcina.

— Wybierać!

Okręt drgnął i kabestan ruszył tak szybko, że ludzie uwieszeni u handszaków zwalili się gromadą na pokład.

— Sir, strop kabestanu się urwał — zawołał Gerard z dziobu. — Kotwica musiała o coś zahaczyć.

— Niech to wszyscy diabli! — mruknął Hornblower do siebie. Był pewny, że kobieta siedząca za nim na leżaku śmieje się z głupiej sytuacji, w jakiej się znalazł, z kotwicą, co nie chce puścić przy zwróconych na niego oczach całej Ameryki Hiszpańskiej. Nie miał jednak zamiaru zostawiać Hiszpanom w prezencie swojej kotwicy i liny.

— Zróbcie strop kabestanu z liny mniejszej kotwicy! — zawołał.

Rozkaz ten oznaczał wyjątkowo męczącą i nieprzyjemną robotę dla dwudziestu ludzi w komorze lin kotwicznych przy wyciąganiu na pokład liny mniejszej kotwicy i w zakładaniu jej na kabestan. Echo krzyków i przekleństw pomocników bosmańskich dobiegało aż na pokład rufowy — równie dobrze jak ich kapitan zdawali sobie sprawę z poniżającej sytuacji, w jakiej znalazł się okręt. Choć bardzo tego potrzebował, Hornblower nie mógł chodzić swoim zwyczajem po pokładzie z obawy, by nie napotkać wzroku Lady Barbary. Mógł tylko stać i wściekać się, ocierając chusteczką pot z twarzy i szyi.

— Nowy strop gotowy, sir! — krzyknął Gerard.

— Dać tyle ludzi, ile się zmieści na handszakach. Harrison, niech pan dopilnuje, żeby pchali.

— Tak jest, sir!

Br-r-r-rm. Bum! Br-r-r-rm. Bum! — odezwał się bęben.

— Wybierać, sukinsyny! — wrzasnął Harrison, waląc trzcina po naprzężonych od wysiłku plecach.

Klang! — ruszył kabestan. — Klang-klang-klang.

Hornblower poczuł, że pokład pod stopami lekko się przechyla. Napięta lina ciągnęła dziób okrętu w dół, a kotwica wciąż trzymała.

— Niech to... — zaczął Hornblower, lecz nie dopowiedział zdania do końca. Spośród pięćdziesięciu pięciu przekleństw, jakie znał, żadne nie było dosyć mocne na tę okazję.

— Przestać wybierać! — ryknął i spoceni marynarze wyprostowali strudzone plecy.

Hornblower szarpnął podbródek, jakby miał zamiar go urwać. Będzie musiał wyciągać kotwicę z dna, manewrując okrętem — zadanie trudne i niebezpieczne dla masztów i takielunku i w dodatku mogło się zakończyć żalosnym fiaskiem. Do tego czasu zaledwie kilku świadomych rzeczy ludzi w Panamie mogło się domyślać, w jakie tarapaty wpadła „Lydia”, ale z chwilą postawienia żagli lunety z murów miasta skierują się w ich stronę i w razie niepowodzenia operacji wszyscy się o tym dowiedzą i będą mieli uciechę — okręt tymczasem może stracić godziny na naprawę uszkodzeń. Hornblower jednak nie miał zamiaru rezygnować z kotwicy i liny.

Spojrzał na chorągiewkę na szczycie masztu i na wodę przy burcie. Wiatr wiał w poprzek kierunku pływu, a to już dawało im jakąś szansę. Wydał spokojnie rozkazy, robiąc wszystko, aby ukryć swój niepokój, i wciąż usiłował trzymać się tyłem do Lady Barbary. Marynarze ruszyli na wanty, by postawić fokmarsel, który — wraz z bezanżaglem — miał umożliwić ruch okrętu wstecz. Harrison tkwił przy kabestanie, gotowy do zluźniania liny kotwicznej i następnie do błyskawicznego jej wybierania, kiedy okręt znów ruszy naprzód.

Bush ze swymi ludźmi stał w pogotowiu przy brasach, a wszystkich, którzy w tej chwili byli wolni, zgromadzono wokół kabestanu.

Lina ze skowytem wysuwała się za burtę, w miarę jak okręt coraz szybciej szedł wstecz. Hornblower stał jak przykuty do pokładu rufowego i myślał, że dałby tydzień życia za to, by mógł teraz chodzić tam i z powrotem, nie narażając się na napotkanie wzroku Lady Barbary. Zwężonymi oczyma obserwował posuwanie się okrętu, a w myślach oceniał spieszenie różne czynniki naraz: wleczenie liny kotwicznej, nacisk wiatru na bezanżagiel i odwrócony fokmarsel, kierunek przyprływu, coraz szybszy ruch okrętu wstecz oraz ilość liny pozostałą jeszcze do wyluzowania. Uchwycił właściwy moment.

— Prawo na burtę! — krzyknął chrapliwym głosem do człowieka przy kole sterowym, a do marynarzy na przodzie: — A teraz żywo do brasów!

Ze sterem wychylonym na burtę okręt poszedł nieco ostrzej na wiatr. Przebrasowano fokmarsel i w mgnieniu oka postawiono kliwry i foksztagle. Po chwili pełnej napięcia okręt zaczął odpadać od wiatru. Wytraciwszy ruch wsteczny „Lydia” zatrzymała się, jakby się namyślając, a potem, uradowana, zaczęła powoli posuwać się naprzód, ostro pod wiatr. Hornblower rzucił rozkazy, i wszystkie żagle, jakie można było postawić, zostały postawione. Kabestan klekotał ekstatycznie, w miarę jak ludzie Harrisona pchając handszpaki wybierali linę kotwiczną.

Teraz, gdy okręt płynął coraz szybciej naprzód, Hornblower miał trochę czasu na zastanowienie się. Jeśli nie zapobiegnie zbyt niemu naprężeniu liny, to pociągnięciem ona dziób okrętu pod wiatr. Z biciem serca wypatrywał pierwszych śladów łopotania grotmarsla. Musiał z całej siły panować nad głosem, aby nie zadrzał przy wydawaniu rozkazów sternikowi. Wybieranie liny kotwicznej szło szybko; zbliżała się krytyczna chwila, która zadecyduje, czy kotwica oderwie się od dna, czy też „Lydia” zostanie bez masztów. Hornblower skoncentrował się, wyczekał na odpowiedni moment i krzyknął, aby sprzątnięto żagle.

Teraz owocował długi okres uciążliwych ćwiczeń, którym Bush poddawał załogę. W ciągu pozostałych kilku sekund sprzątnięto wszystkie żagle główne, marszagle i bramzagle. Gdy zniknął

ostatni kawałek płótna, nowy rozkaz Hornblowera obrócił okręt pod wiatr w kierunku zahaczonej kotwicy, a nabyta szybkość niosła „Lydię” wolno do przodu. Hornblower wyłożył słuch w stronę kabestanu.

Klang-klang-klang-klang.

Ludzie Harrisona z szalonym wysiłkiem napierali na handszpaki.

Klang-klang-klang.

Czuło się wyraźnie, że okręt zwalnia. Hornblower wciąż jeszcze nie był w stanie powiedzieć, czy cały jego wysiłek nie skończy się sromotną klęską.

Klang-klang.

A potem dobiegł go dziki wrzask Harrisona:

— Kotwica wolna, sir!

— Proszę postawić wszystkie żagle, panie Bush — powiedział Hornblower. Bush nie próbował ukrywać podziwu dla tego majstersztyku żeglarskiego, i Hornblower z trudem nadał swemu głosowi obojętny ton, którym chciał osłonić dumę i przekonać wszystkich, że od początku nie wątpił ani przez chwilę, iż manewr się powiedzie.

Nastawił kurs według kompasu, a gdy okręt zaczął iść ostro pod wiatr i ustawił się na tym kierunku, obrzucił pokład ostatnim uważnym spojrzeniem.

— Hmm — chrząknął i dał nura na dół, gdzie mógł odprężyć się i odpocząć z dala od wzroku Busha — i również Lady Barbary.

Rozdział XI

Wyciągnięty na wznak w swojej kabinie, puszczając w górę grube kółka dymu z cygara, pochodzącego z zapasów dostarczonych przez generała Hernandezza, w kierunku pokładu, na którym siedziała Lady Barbara, Hornblower odpoczywał po trudach tego niezwykle forsownego dnia. Wszystko zaczęło się od podchodzenia do Panamy, z nerwami napiętymi obawą, czy nie czeka tam na nich zasadzka, a skończyło, jak dotąd, tą paskudną komplikacją z zahaczoną kotwicą. Między tymi dwoma wydarzeniami było jeszcze przybycie Lady Barbary i rozmowa z wicekrólem Nowej Granady.

Wicekról był typowym hiszpańskim dżentelmenem starej szkoły — Hornblower musiał sobie powiedzieć, że na co dzień wolałby mieć jednak do czynienia z el Supremem. Miał wprawdzie el Supremo niemiły zwyczaj uśmiercania ludzi w barbarzyński sposób, lecz nie sprawiało mu trudności podjęcie decyzji i można było być pewnym, że wydane przezeń rozkazy zostaną szybko wypełnione. Natomiast wicekról, przyznając całkowitą słuszność Hornblowerowi, że konieczna jest natychmiastowa akcja przeciw rebeliantom, nie potrafił z miejsca jej rozpocząć. Decyzja Hornblowera, który postanowił odpłynąć z Panamy jeszcze tego samego dnia, zaskoczyła go

wyraźnie. Spodziewał się, że „Lydia” zostanie przynajmniej tydzień, żeby jej załoga mogła świętować, hulać i odpoczywać. Zgodził się, że należy przewieźć na wybrzeże Nikaragui najmniej tysiąc żołnierzy — chociaż tysiąc żołnierzy, to było w praktyce wszystko, czym rozporządzał — lecz wyraźnie dążył do tego, aby z wydaniem rozkazów co do ściągnięcia tej liczby ludzi poczekać do następnego dnia.

Hornblower musiał użyć całego swego taktu dla przekonania go, żeby zrobił to natychmiast, żeby wydał instrukcje jeszcze w czasie uczyty i wysłał swych ulubionych adiutantów z poruczeniami, mimo że narazi ich na trud jazdy konno pod skwarnym słońcem w czasie świętych godzin sjesty. Sam bankiet był męczący. Potrawy były tak pieprzne, że Hornblowerowi zdawało się, iż cała skóra zeszła mu z podniebienia. Ostre przyprawy i męcząca gościnność wicekróla sprawiły, że trudno się było uchylać od nadmiernego picia; w czasach, gdy piło się dużo, Hornblower był niemal osamotniony w swej wstrzemięźliwości, której przestrzegał jedynie dlatego, że nie znosił uczucia utraty kontroli nad swym postępowaniem.

Nie mógł jednak odmówić tej ostatniej szklanki wina, gdy usłyszał wiadomości przyniesione przy końcu uczyty. Poderwał się i usiadł na koi. Przez tę sprawę z kotwicą zapomniał o tym zupełnie. Dobre wychowanie nakazywało mu iść natychmiast do Lady Barbary i przekazać jej te wieści, zwłaszcza że były szczególnie dla niej interesujące. Wybiegł na pokład, po drodze wyrzucił cygaro za burtę, i skierował się w stronę, gdzie siedziała Lady Barbara. Gerard, oficer wachtowy, rozmawiał z nią właśnie z ożywieniem. Hornblower ponuro uśmiechnął się do siebie, widząc, jak zauważywszy go Gerard nagle przerwał rozmowę i oddalił się.

Lady Barbara siedziała wciąż przy relingu rufowym na swoim leżaku, z małą Murzynką przykucniętą u jej stóp. Wydawała się pić chłodny powiew omiatający pokład „Lydii” wychodzącej z zatoki ostro pod wiatr. Z prawej burty słońce opadło już prawie na horyzont, pomarańczowa kula ognista w jasnym błękicie nieba, a ona wystawiała twarz na jego ostatnie promienie bez żadnej troski o cerę, co tłumaczyło, skąd się wzięła jej opalenizna i co mogło wyjaśniać, dlaczego mając już dwadzieścia siedem lat wciąż była niezamężna mimo pobytu w Indiach. A jednak na jej twarzy malowała się pogoda, która świadczyła, że przynajmniej w tym momencie nie martwi się swoim staropanieństwem.

Odkłoniła się Hornblowerowi z uśmiechem.

— Kapitanie, jak to bosko być znów na morzu — powiedziała. — Nie dał mi pan jeszcze okazji wyrażenia mojej głębokiej wdzięczności za to, że zabrał mnie pan z Panamy. Być jeńcem to już była rzecz dostatecznie fatalna; ale odzyskać wolność, a mimo to pozostać nadal uwięzioną wskutek pechowego zbiegu okoliczności — to mogłoby mnie doprowadzić do szaleństwa. Proszę mi wierzyć, kapitanie, będę panu wdzięczna do końca życia.

Hornblower skłonił się ponownie.

— Mam nadzieję, że hiszpańscy donowie traktowali jej lordowska mość z należytych respektem?

Wzruszyła ramionami.

— Nie najgorzej. Ale na dłuższą metę hiszpański sposób bycia jest męczący. Byłam pod opieką jej ekscelencji — uroczej kobiety, lecz niewiarygodnie nudnej. W Ameryce Hiszpańskiej kobiety traktowane są jak mahometanki. A to ich jedzenie...

Słowa te przypomniały Hornblowerowi niedawny bankiet i wyraz jego twarzy sprawił, że Lady Barbara przerwała zaczęte zdanie i roześmiała się tak zaraźliwie, iż Hornblower musiał jej zawtórować.

— Czy nie zechciałby pan usiąść, kapitanie?

Hornblower odmówił. W czasie tej podróży ani razu nie skorzystał z leżaka na swoim własnym pokładzie i nie miał zamiaru zmieniać swych zwyczajów.

— Dziękuję jej lordowskiej mości, lecz jeśli wolno, wolałbym stać. Przynoszę pani dobre wieści.

— Naprawdę? A zatem towarzystwo pańskie staje się dla mnie dwakroć miłsze. Zamieniam się cała w słuch.

— Brat pani, Sir Artur, odniósł wielkie zwycięstwo nad Francuzami w Portugalii. W ramach układu Francuzi opuszczają cały kraj i przekazują Lizbonę armii angielskiej.

— To istotnie dobra nowina. Byłam zawsze dumna z Artura — a ta wiadomość jeszcze bardziej zwiększa moją dumę.

— Niezmiernie się cieszę, że mogę jako pierwszy złożyć gratulacje na ręce jego siostry.

Lady Barbara siedząc na leżaku złożyła mu coś w rodzaju ukłonu — Hornblower zdawał sobie sprawę z trudności takiego wyczynu i niechętnie musiał przyznać wobec samego siebie, że zrobiła to w sposób doskonały.

— Skąd przyszła ta wiadomość?

— Oznajmiono ją wicekrólowi w czasie obiadu, który jadłem z nim razem. Jakiś statek przybył z Kadyksu do Portobelo, a stamtąd goniec dotarł pośpiesznym dyliżansem. Przyszły też inne wieści, ale nie umiem powiedzieć ile w nich prawdy.

— Jakie mianowicie, kapitanie?

— Zwycięstwo przypisują sobie również Hiszpanie. Twierdzą, że cała armia Bonapartego poddała się im w Andaluzji. Planują nawet wspólnie z armią angielską inwazję na ląd francuski.

— Jak pan sądzi, ile w tym może być prawdy?

— Raczej niewiele. Być może udało im się odciąć jakiś oddziałek. Ale sama tylko armia hiszpańska nie jest w stanie pobić Bonapartego. Nie widzę szybkiego końca tej wojny.

Lady Barbara ze smutnym wyrazem twarzy potakująco skinęła głową. Skierowała spojrzenie tam, gdzie słońce zapadało w morze, a Hornblower poszedł za jej wzrokiem. Co wieczór z jednakim zachwytem oglądał, jak słońce pogrąża się w te spokojne wody. W tej chwili linia horyzontu przecięła jego tarczę. Patrzyli w milczeniu, jak świetlista kula zapada w wodę coraz głębiej i głębiej. Wkrótce widać już było tylko mały jej skrawek, który zniknął, błysnął znów na moment złościście, w chwili gdy „Lydia” uniosła się na martwej fali, i znikł na dobre. Niebo na zachodzie płonęło czerwienią, lecz górą ciemniało już od nadchodzącej nocy.

— Cudowne! Fantastyczne! — zawołała Lady Barbara. Ze splecionymi dłońmi siedziała jeszcze chwilę w milczeniu, a potem wróciła do ostatniego tematu ich rozmowy. — Tak. Wystarczy przebłysk sukcesu, a już Hiszpanie uważają wojnę za wygraną. A tam, w Anglii motłoch będzie oczekiwał, że na Boże Narodzenie mój brat wprowadzi wojska do Paryża. A jeśli tego nie dokona, zapomną o jego zwycięstwach i będą się domagać jego głowy.

Hornblowerowi nie podobało się słowo „motłoch” — z urodzenia i pochodzenia sam przecież należał do tego motłochu — ale czuł głęboką słuszość słów Lady Barbary. Wyrażały one w krótkiej formie to, co on sam myślał zarówno o narodowym charakterze Hiszpanów, jak i o brytyjskim pospółstwie. Ta opinia oraz jej podziw dla zachodu słońca i krytyczne słowa na temat kuchni amerykańsko-hiszpańskiej — to wszystko usposobiło go przyjaźnie w stosunku do niej.

— Mam nadzieję — powiedział z wyszukaną grzecznością — że w czasie mojej dzisiejszej nieobecności dostarczono jej lordowskiej mości wszystkiego, czego potrzebowała. Okręt jest marnie wyposażony w udogodnienia odpowiednie dla kobiet, ale spodziewam się, że moi oficerowie zrobili, co mogli, dla jej lordowskiej mości.

— Dziękuję, kapitanie. Istotnie, starali się. Chciałabym tylko, żeby pan był łaskaw spełnić jeszcze jedną moją prośbę.

— Słucham jej lordowską mość.

— Żeby pan przestał tytułować mnie „jej lordowską mością”. Proszę mówić do mnie „Lady Barbara”, dobrze?

— Oczywiście, jej...Lady Barbaro. Hmm.

Na szczupłych policzkach pojawiły się dołeczki, a jasne oczy rozbłyły uśmiechem.

— A gdyby miał pan trudności z nazywaniem mnie „Lady Barbarą”, a chciałby pan zwrócić na coś moją uwagę, proszę powiedzieć tylko swoje „hmm”.

Hornblower zeszywniał z gniewu, słysząc te impertynenckie słowa. Wziął głęboki oddech, już miał odwrócić się na pięcie i odchrząknąwszy swoim zwyczajem wyrzucić powietrze z płuc, gdy zdał sobie sprawę, że już nigdy, a przynajmniej nim dobije do jakiegoś portu i pozbędzie się tej kobiety, nie będzie w stanie użyć tego tak wygodnego i nic nie znaczącego dźwięku. Lecz Lady Barbara wyciągnąwszy dłoń zatrzymała go; nawet w takim momencie Hornblower zauważył smukłość jej długich palców.

— Przepraszam, kapitanie — powiedziała z głęboką skruchą w głosie. — Proszę mi wybaczyć, chociaż wiem, że zachowałam się w sposób nie do wybaczenia.

Z tym błagalnym wyrazem twarzy wyglądała naprawdę ładnie. Hornblower patrzył na nią przez chwilę z wahaniem. Zdał sobie teraz sprawę, że powodem jego gniewu była nie tyle jej impertynencja, ile fakt, że ta bystra kobieta z miejsca odgadła, iż używa tego dźwięku, by pokrywać swe uczucia, i gniew jego zmienił się w pogardę dla samego siebie.

— Nie ma tu nic do wybaczenia, łaskawa pani — powiedział z trudem. — A teraz, jeśli pani z kolei mi wybaczy, powrócę do moich obowiązków na okręcie.

Odszedł, zostawiając ją na pokładzie. Noc zapadała szybko. Na rufie chłopiec pokładowy zapalił właśnie lampy oświetlające kompas i Hornblower przystanął przed tabliczką, aby odczytać z niej popołudniowy kurs okrętu. Starannym pismem wypisał instrukcje w sprawie ewentualnego wezwania go, gdyż tej nocy mieli okrążyć przylądek Mała i zmieniać kurs na północny — po czym udał się na dół do swej kabiny.

Czuł się dziwnie zdenerwowany i niespokojny. Nie tylko dlatego, że cały jego tryb życia uległ zakłóceniu. Irytowało go, że nie ma dostępu do swej prywatnej ubikacji i musi korzystać ze wspólnego ustępu przy mesie oficerskiej. Ale nie tylko to było powodem jego nastroju ani nawet fakt, że płynął teraz, aby wydać walkę „Natividad”, wiedząc doskonale, że z admirałem Cristobalem de Crespo, jako dowódcą, nie pójdzie mu łatwo. To była tylko częściowa przyczyna kłopotów — poczuł się wstrząśnięty, gdy uświadomił sobie nagle, że jego niepokój jest spowodowany dodatkową odpowiedzialnością za obecność Lady Barbary na pokładzie.

Wiedział doskonale, co czeka jego i załogę, jeśli „Lydia” ulegnie „Natividad”. Zostaną wszyscy powieszani, potopieni lub zamęczeni torturami na śmierć — el Supremo nie będzie miał litości dla Anglika, który obrócił się przeciwko niemu. Ale tym nie zaprzętał sobie głowy w tej chwili, ponieważ walka z „Natividad” była absolutnie nieunikniona. Lecz w wypadku Lady Barbary sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Będzie musiał dopilnować, aby żywa nie dostała się w ręce Crespa.

Uzmysłowiwszy sobie, na czym polegała trudność jego sytuacji, Hornblower wpadł w złość. Przeklinał żółtą febrę, która sprowadziła tę kobietę na okręt; przeklinał siebie samego za niewolnicze posłuszeństwo rozkazom, wskutek czego „Natividad” znalazła się po stronie rebeliantów. Zaciśnął pięści i zgrzytnął zębami z wściekłości. Jeśli wygra bitwę, opinia publiczna potępi go (nie znając, jak zwykle, okoliczności) za wystawianie na ryzyko życia damy — kogoś z rodziny Wellesleyów. Jeśli przegra... — ale nie mógł znieść myśli o tym. Przeklinał siebie za słabość, która sprawiła, że pozwolił Lady Barbarze postawić stopę na pokładzie; przez moment nawet się zastanawiał, czyby nie zawrócić do Panamy i nie wysadzić jej na brzeg. Ale porzucił tę myśl. „Natividad” mogłaby wówczas zdobyć galeon ze skarbami z Manili. A załoga „Lydiei”, już i tak zdeorientowana częstymi zmianami planów w ostatnim czasie, zaniepokoi się jeszcze bardziej powrotem do Panamy i ponownym wyjściem w morze. Poza tym Lady Barbara może odmówić zejścia na ląd — co przy żółtej febrze szalejącej w Panamie będzie zupełnie usprawiedliwione. Nie powinien przecież używać swej władzy do tego, żeby brutalnie wysadzać kobietę na ląd w opanowanym zarazą mieście. Zaczął znów bez sensu wymyślać sam sobie, używając najgorszych słów i

najobrzydliwszych błuźnierstw, jakich się nauczył w ciągu służby na morzu.

Z pokładu rozległy się przenikliwe gwizdki, głośno wykrzykiwane rozkazy i tupot stóp; widocznie z nadejściem nocy wiatr zmienił kierunek. Gdy odgłosy ucichły, kapitana ogarnęło znów uczucie przygnębienia, wzmożone ciasnotą kabiny. Było w niej gorąco i duszno, a lampa oliwna kołysząca się u sufitu cuchnęła niemiłosiernie. Hornblower powrócił na pokład. Spod relingu rufowego dobiegł go wesoły śmiech Lady Barbary, a w ślad za nim rubaszne chichoty. Wokół leżaka czerniała grupka sześciu bodajże oficerów; nie można się było nawet dziwić, że po siedmiu, a właściwie już prawie ośmiu, miesiącach spędzonych bez widoku angielskiej kobiety będą krążyć wokół niej jak pszczoły wokół ula.

Pierwszą myślą było przegnać ich stamtąd, lecz powstrzymał się od tego. Nie mógł dyktować oficerom, jak mają spędzać czas wolny od służby. Zresztą gdyby poszedł za tym odruchem, pomyśleliby na pewno, że czyni to, aby mieć jej towarzystwo wyłącznie dla siebie — a tego bynajmniej nie pragnął. Nie zauważony przez rozbawioną grupę wrócił na dół, do dusznej kabiny oświetlonej cuchnącą oliwą lampą. Miał przed sobą bezsenną, niespokojną noc.

Rozdział XII

Ranek zastał „Lydię” kołyszącą się łagodnie na fali z baksztagu. Z prawej burty widać było sterczące tuż nad horyzontem szaroróżowe wierzchołki wulkanów tego kraju pogrążonego w mrokach barbarzyństwa. Nie oddalając się poza zasięg widoczności lądu, „Lydia” miała największe szansę wykrycia „Natividad”. Kapitan był już na nogach — tak wcześnie, że starszy sternik Brown z miną winowajcy ponaglał ludzi, którzy kończyli szorowanie pokładu, podczas gdy Hornblower już rozpoczął przechadzkę.

W dali, z lewej burty, ciemny kształt wieloryba przeciął powierzchnię wody, wzbijając spienioną fontannę i błysnąwszy bielą ciała na tle błękitnego morza, wyrzucił z płuc cienki biały pióropusz powietrza. Hornblower z różnych powodów lubił wieloryby, toteż widok ten nieco go udobruchał. Perspektywa chłodnego prysznicu sprawiała, że szczypanie potu pod koszulą, zamiast drażnić, dawało mu przyjemność. Jeszcze dwie godziny temu mówił sobie, że mierzi go brzeg Pacyfiku, błękit nieba nad nim i te ohydne wulkany — mierzi go nawet brak przeszkód nawigacyjnych. Czuł tęsknotę za skałami i płycznami, za mgłami i przypiływami Kanału Angielskiego. Ale teraz, skąpany w słońcu, zmienił znowu zdanie. Pacyfik jednak ma coś w sobie. Może to nowe przymierze między Hiszpanią i Anglią sprawi, że hiszpańscy donowie złagodzą nieco swe samolubne prawa zabraniające handlu z Ameryką: może nawet spróbują wyzyskać możliwość otwarcia kanału przez Nikaraguę, który miała na myśli Admiralicja brytyjska; wówczas ten błękitny Pacyfik stanie się otwarty dla wszystkich. Naturalnie w pierw trzeba będzie zgnieść el Suprema, lecz tego przyjemnego ranka zadanie to wydało się Hornblowerowi już nie tak bardzo trudne.

Na rufę wszedł młodszy oficer nawigacyjny Gray, aby rzucić log. Hornblower tak odmierzył kroki, że przechadzając się mógł obserwować, jak Gray wykonuje tę czynność. Gray rzucił małą trójkątną deseczkę za rufę i trzymając linę logu w dłoni obserwował pilnie swymi chłopięcymi niebieskimi oczyma, jak tańczy na fali.

— Luzuj! — krzyknął do marynarza trzymającego w ręku klepsydrę, podczas gdy lina

przesuwała się swobodnie poza poręcz.

— Stop! — zawołał człowiek z klepsydrą.

Gray przytrzymując linę palcami obserwował, jak się odwija, a potem odczytał odwiniętą długość. Nagłe szarpnięcie cienkiej rzutki, która rozwijała się razem z liną, zwolniło zatyczkę i teraz log unosił się na wodzie krawędzią ku okrętowi. Gray mógł już wybierać rękoma linę logu.

— Ile? — zawołał Hornblower do Graya.

— Ciut brakuje do siedem i pół, sir.

„Lydia” była na tyle dobrym okrętem, że chociaż najlepszy dla niej był wiatr z baksztagu, to już przy tym wietrze potrafiła rozwinąć siedem i pół węzła. Jeśli wiatr się utrzyma, wkrótce dopłyną w okolice, gdzie powinna się znajdować „Natividad”. Jak wszystkie niemal dwupokładowce, uzbrojone w pięćdziesiąt dział, „Natividad” nie była szybka, co stwierdził Hornblower płynąc w jej towarzystwie dziesięć dni temu — mogło być równie dobrze dziesięć lat, tak wydawało się to dawno — z zatoki Fonseca do La Libertad.

Jeśli natkną się na nią na otwartym morzu, może być pewny, że zwrotność jego okrętu i doświadczenie załogi pozwoli mu wyprowadzić przeciwnika w pole i zdyskontować jego silniejsze uzbrojenie. Jeśli natomiast okręty zbliżą się do siebie i dojdzie do abordażu rebeliantów, ich przeważająca liczba zgniecie jego załogę. Musi zatem trzymać swój okręt w bezpiecznej odległości, manewrować za rufą nieprzyjaciela i z pół tuzina razy ostrzelać go ogniem flankowym. Przechadzając się po pokładzie Hornblower próbował wyobrazić sobie bitwę i obmyślić plany na wszelkie ewentualności w zależności od tego, czy okręt potrafi utrzymać położenie na nawietrznej „Natividad”, czy nie, czy morze będzie wzburzone, czy spokojne oraz czy bitwa zacznie się z dala, czy blisko od brzegu.

Przez pokład przeszła ostrożnie mała Murzynka Hebe, okryta czerwoną chustką lśniąca jaskrawo w słońcu, i zanim zaszokowana załoga zdążyła ją powstrzymać, podeszła do kapitana, przerywając jego poranny spacer, którego nikt na okręcie nie ośmieliłby się zakłócić.

— Milady pyta się, czy kapitan zje z nią śniadanie — wyszczebiotała.

— Ech... co jest? — zapytał Hornblower zaskoczony i wytrącony ze swego snu na jawie. A potem, gdy zdał sobie sprawę z tego, dla jak nieistotnej rzeczy przerwano mu jego przechadzkę, zawołał: — Nie, nie, nie! Powiedz jaśnie pani, że n i e z j e m z nią śniadania. Powiedz jej, że n i g d y nie będę jadł z nią śniadania. Powiedz jej, że w ż a d n y m wypadku ma nie przysyłać do mnie nikogo o tej porze. Powiedz jej, że ani tobie, ani jej n i e w o l n o przebywać na pokładzie przed ósmym dzwonem. W y n o ś się na dół!

Nawet teraz mała Murzynka zdawała się nie rozumieć, jak wielkie popełniła przestępstwo. Kiwnęła głową, uśmiechnęła się i odeszła bez śladu skruchy. Prawdopodobnie przywykła do białych dżentelmenów, którzy bywają drażliwi przed śniadaniem, i przywiązywała niewielką wagę do objawów tych nastrojów. Spacerując po pokładzie Hornblower przechodził blisko otwartego

światlika swej dawnej kabiny i teraz, gdy wyrwano go z zamyślenia, usłyszał stamtąd dźwięk rozkładanych sztuców, głos Hebe, a potem Lady Barbary.

Hornblower przywykł do zgrzytliwych odgłosów skrobania pokładów przez marynarzy, do melodyjnego szmeru takielunku i skrzypienia drewnianych części okrętu. Od przodu dobiegały doń ogłuszające uderzenia młota kowalskiego; to zbrojmistrz i jego pomocnik prostowali łapę kotwicy wygiętą poprzedniego dnia w czasie tej paskudnej przygody z jej zahaczeniem. Nie przeszkadzały mu żadne hałasy związane z okrętem, ale trajkot kobiecy dochodzący przez otwarty światlik doprowadzał go niemal do szału.

Ciężko stąpając zszedł z pokładu. Był znowu wściekły. W rezultacie kąpiel nie sprawiła mu przyjemności. Nawy-myślał Polwhealowi za niezręczne podanie szlafroka; rozdarł przygotowaną przez stewarda mocno już podniszczoną koszulę i to go jeszcze bardziej rozżłościło. Nie mógł pozwolić na to, aby przepędzono go w ten sposób z jego własnego pokładu. Nie poprawiła mu nastroju nawet świetna kawa, gęsta od cukru, jak to lubił, ani tym bardziej konieczność wyjaśnienia Bushowi, że „Lydia” płynie teraz w pogoni za „Natividad”, by zdobyć ten okręt, gdy tyle trudu zadali sobie, żeby już raz go pokonać i przekazać powstańcom, którzy teraz byli ich przeciwnikami.

— Tak jest, sir — powiedział Bush z powagą, usłyszawszy o tych zmianach. Zachowywał się z tak wielkim taktem i tak wyraźnie powstrzymywał się od komentarzy, że Hornblower zaczął mu wymyślać.

— Tak jest, sir — powtórzył Bush, wiedząc doskonale, co naraziło go na te złorzeczenia, ale zdając sobie równocześnie sprawę, że kapitan naurągałby mu jeszcze bardziej, gdyby nie ograniczył się do „tak jest, sir”. To, czemu pragnąłby w tej chwili dać wyraz, to było współczucie dla Hornblowera z powodu sytuacji, w jakiej się znalazł; wiedział jednak, że nie wolno mu okazać zrozumienia dla irytacji kapitana.

W miarę upływu dnia Hornblower zaczął żałować swego wybuchu złego humoru. Mijali wolno naszpikowany wulkanami brzeg; gdzieś przed nimi znajdował się wrogi okręt, „Natividad”. Czekala ich desperacka bitwa, a przed jej rozpoczęciem wypadało zaprosić oficerów na obiad. Wiedział też, że żaden kapitan, któremu zależało na karierze zawodowej, nie pozwoliłby sobie na traktowanie kogoś z rodziny Wellesleyów w tak mało rycerski sposób, jak on to czynił dotychczas. Zwykła uprzejmość nakazywała, żeby teraz właśnie, korzystając z pierwszej sposobności, przedstawił oficjalnie gościowi oficerów w czasie obiadu, mimo iż wiedział, że ta wyemancypowana niewiasta rozmawiała już przynajmniej z połową z nich poprzedniego wieczora na pokładzie rufowym.

Posłał Polwheala do Lady Barbary z grzecznie sformułowaną prośbą, aby Lady Barbara zechciała łaskawie pozwolić kapitanowi Hornblowerowi i jego oficerom na spożycie z nią obiadu w zajmowanej przez nią obecnie kabinie, i Polwheal powrócił z równie uprzejmie sformułowaną odpowiedzią, że Lady Barbara będzie zachwycona.

Przy stole w kabinie mogło się zmieścić najwyżej sześć osób; Hornblower przypomniał sobie, że w przeddzień ostatniego spotkania z „Natividad” miał na kolacji Galbraitha, Claya i Seavage'a. Nigdy nie przyznałby się przed sobą, że uległszy przesądowi zaprosił ich i tym razem, w nadziei iż los znów będzie dlań równie łaskawy, ale tak w istocie było. Jako szóstego zaprosił Busha. Zamiast

niego mógł jeszcze wchodzić w grę Gerard, ale Gerard był tak przystojny i tyle wiedział o życiu, że Hornblower wolał, aby jego kontakty z Lady Barbarą nie były zbyt częste — oczywiście, jak spieszenie zapewnił sam siebie, tylko dla zachowania spokoju na okręcie. Gdy już wszystko było załatwione, wyszedł znów na pokład na południową inspekcję i chodził po nim trawiony niepokojem, czując, że (po tej wymianie uprzejmości) potrafi napotkać wzrok Lady Barbary bez zmieszania, które poprzednio — bezsensownie — nie pozwoliłoby mu na to.

Obiad, który zaczął się o trzeciej po południu, był udany. Clay i Seavage zachowali się tak, jak można było się spodziewać po chłopcach w ich wieku. Obecność Lady Barbary krępowała ich początkowo, toteż byli szorstcy i nieśmiali, ale potem, kiedy się z nią oswoili i wypili po szklaneczkę wina, wpadli w inną krańcowość, to jest w zbyt dużą poufałość. Nawet Bush, twarda sztuka, zdradzał, o dziwo, te same objawy i w tej samej kolejności; natomiast biedny Galbraith pozostał nieśmiały przez cały czas.

Hornblower był zaskoczony łatwością, z jaką Lady Barbara radziła sobie z oficerami. Jego Maria nie miałaby dość oglądy na to, by rozruszać wszystkich obecnych na przyjęciu, a że w świecie, w którym Hornblower się obracał, znał niewiele kobiet, skłonny był mierzyć je wszystkie miarką swojej żony. Lady Barbara przyjęła ze śmiechem przechwałki Claya, wysłuchiwała uważnie relacji Busha z bitwy pod Trafalgarem (Bush był wtedy podporucznikiem na „Téméraire”), a potem zdobyła bez reszty serce Galbraitha doskonałą znajomością znakomitego utworu pewnego prawnika z Edynburga, zatytułowanego „Ballada ostatniego minstrela”[29], który Galbraith znał cały na pamięć i uważał za najwyższe osiągnięcie w poezji angielskiej. Policzki mu płonęły, gdy mówił o tym z Lady Barbarą.

Hornblower zachował dla siebie swoje zdanie o tym utworze. Dla niego wzorem pisarza był Gibbon, którego „Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego” woził zawsze ze sobą; był zdziwiony, że kobieta, która potrafiła bez trudu cytować Juvenala, mogła do tego stopnia interesować się barbarzyńskim utworem romantycznym, nie mającym za grosz poloru. Zadowalał się tym, że może tak siedzieć i obserwować twarze zgromadzonych przy stole — Galbraitha napiętą i rozradowaną, Claya i Savage'a i Busha — nieco zdezorientowane uczonością dyskusji, lecz zainteresowane nią mimo to, oraz Lady Barbarę, zupełnie swobodną, konwersującą z nieustraszoną pewnością siebie, która jednak (co Hornblower niechętnie musiał przyznać przed samym sobą) nie wpływała bynajmniej z jej wysokiej pozycji społecznej.

Nie wyzyskiwała również tego, że jest kobietą, lecz mimo to była nią w sposób cudowny. Hornblower pomyślał, że nie jest ani zimna, ani męska. Mogłaby być ciotką Savage'a lub siostrą Galbraitha. Umiała rozmawiać z mężczyznami jak równy z równym, nie pozwalając sobie przy tym ani na zachęcające, ani na odpychające zachowanie. Była zupełnie inna niż Maria. A gdy po skończonym obiedzie oficerowie powstali, aby wypić zdrowie króla, pochylając się, by nie uderzyć głowami o poszycie pokładu (dopiero w dwadzieścia pięć lat później król, który sam był żeglarzem, wydał marynarzom pozwolenie picia jego zdrowia na siedząco), powtórzyła „Niech Bóg go błogosławi!” i wykończyła swoją jedyną szklaneczkę wina z tą odrobiną niefrasobliwej powagi, jaka pasowała do sytuacji. Hornblower nagle uświadomił sobie, jak bardzo pragnie, aby ten wieczór trwał wiecznie.

— Lady Barbaro, czy gra pani w wista? — zapytał.

— Ależ oczywiście — odpowiedziała. — Czy znajdziemy tu partnerów?

— Tak, chociaż nie entuzjazmują się zbyt tą grą — odpowiedział Hornblower, szczerząc zęby do swych oficerów.

Ale żaden z nich nie miał nic przeciwko temu, aby zagrać we czwórkę z Lady Barbarą, tym bardziej iż liczyli, że jej obecność utemperuje nieco oschłą dokładność kapitana. Losowanie wypadło tak, że Lady Barbara miała grać z kapitanem przeciwko Clayowi i Galbraithowi. Clay potasował karty, rozdał i zgłosił kiery jako atu. Lady Barbara była na wyjściu. Wyszła w króla kier i Hornblower, niezadowolony, poruszył się na krześle. Tak zagrałby nowicjusz; Hornblowerowi sprawiała przykrość myśl, że Lady Barbara może źle grać w wista. Lecz po królu kier Lady Barbara wyszła w króla karo, który także wziął lewę, potem w asa kier i siódemkę. Hornblower pobił damą — był to jego ostatni kier w ręku i jedenasty w kartach i odwrócił w karo. Lady Barbara rzuciła damę, zabrała lewę i wyszła w asa karo, potem dwie blotki. Przy pierwszym zrzucaniu Hornblower pozbył się siódemki z czterech trefli z królem i waletem. Każdy z przeciwników zrzucił po małym pik do tego nie kończącego się stada kart. Zwątpienie w partnera przerodziło się u Hornblowera w całkowite zaufanie, które okazało się zresztą uzasadnione. Lady Barbara wyszła teraz w asa trefl i trójkę, Hornblower zaimpasował waletem, odegrał króla, na którego partnerka zrzuciła swego singla pik i zabrała ostatnie dwie lewy na atuty, jakie zostały jej w ręce. Zrobili szlema, mimo że ich przeciwnicy mogli wziąć wszystkie lewy w pikach.

Lady Barbara udowodniła, że potrafi zagrać dobrze z dobrymi kartami, a w następnej partii pokazała, że równie wspaniale potrafi bronić przegranej. Pamiętała wszystko, co zeszło ze stołu, notowała w mózgu każdy sygnał, robiła śmiało impasy, gdy istniała szansa, że może się to okazać korzystne, odwracała kolor, w jaki wychodził partner, lub świadomie nie robiła tego, jeśli karty w ręku uzasadniały ryzyko; wistowała z najstarszej karty sekwensu, a zrzuciła młódkę. Od czasu opuszczenia Anglii na „Lydii” Hornblower nie grał z tak doskonałym partnerem. Zadowolony z tego odkrycia przestał zupełnie martwić się faktem, że oto znalazła się kobieta, która umie coś robić dobrze.

Następnego wieczora zaskoczyła ich inną umiejętnością, gdy przyniósłszy gitarę na pokład rufowy akompaniowała sobie do pieśni śpiewanych słodkim sopranem — tak słodkim, że zwabieni marynarze cichaczem zaczęli schodzić się na rufę i przykucnąwszy w przejściach słuchali, pokazując i wzdychając sentymentalnie, gdy kończyła się pieśń. Galbraith stał się jej niewolnikiem, na strunach jego serca mogła grać jak na swojej gitarze. Kadeci byli zakochani w niej. Zmiękczyła nawet zaskorupiałe serce Busha i Crystala, a Gerard posyłał jej swe najpiękniejsze uśmiechy, podkreślał jak mógł swoją urodę i opowiadał jej historie z czasów, gdy był korsarzem, i o swych przygodach, gdy pływał po rzekach Afryki na statku do handlu niewolnikami. Hornblower z niepokojem obserwował Gerarda w czasie tej podróży wzdłuż wybrzeży Nikaragui i przeklinał swój brak słuchu muzycznego, który sprawiał, że śpiew Lady Barbary nie tylko brzmiał dlań obojętnie, lecz niemal raził jego ucho.

Rozdział XIII

Dzień po dniu płynęli wzdłuż długiego wybrzeża gęsto usianego wulkanami. Każdy dzień przynosił odwieczną panoramę błękitnego morza i nieba tej samej barwy, szaroróżowych

wierzchołków wulkanów i postrzępionej linii brzegu o barwie żywej zieleni. W stanie pogotowia bitewnego weszli raz jeszcze do zatoki Fonseca i w poszukiwaniu „Natividad” opłynęli wyspę Manguera, lecz bez skutku. Na wybrzeżach zatoki też nie widzieli żadnego znaku życia. Tylko ktoś na statku stojącym przy ścianie skalnej Manguery strzelił z muszkietu — zabłąkany pocisk z głuchym odgłosem trafił w podwiewia wantowe, lecz nie można było dojrzeć człowieka, który oddał strzał. W poszukiwaniu „Natividad” Bush skierował z powrotem „Lydię” z zatoki w stronę północnego zachodu.

Nie znaleźli jej ani na redzie La Libertad, ani w żadnym z dalszych porcików. Dojrzeli natomiast wielki dym nad Champerico i Hornblower skierował nań lunetę, żeby stwierdzić, że nie był to żaden z wulkanów. Champerico stało w płomieniach; zapewne ludzie el Suprema zjawili się tutaj, żeby szerzyć oświecenie, lecz nie było śladu „Natividad”.

W zatoce Tehuantepec natknęli się na sztorm, co jest rzeczą normalną w tym zakątku Pacyfiku, smaganym przez wichury wdzierające się tu z Zatoki Meksykańskiej przez przełęcz górską. Zmianę pogody sygnalizowało wzmożone kołysanie się okrętu, który wznosił się i opadał na falach gwałtowniej niż zwykle i przechylał się mocno pod uderzeniami porywistego wiatru. Dzwon uderzył właśnie ósmy raz i rozległ się głos wzywającego wachtę; śpiesząc na pokład rufowy Hornblower słyszał pokrzykiwania pomocników bosmańskich: — Ruszać się! Żywo! Mocować wszystko na sztormowe! — Niebo nad nimi wciąż jeszcze było niebieskie, a słońce grzało mocno, lecz morze poszarzało i rozkołysało się silnie. „Lydia” pracowała ciężko na fali pod naciskiem żagli.

— Miałem właśnie posłać kogoś do pana, sir, z prośbą o pozwolenie na zwinięcie niektórych żagli — powiedział Bush.

Hornblower spojrzał na płótniska i dalej, ku chmurom, wiszącym nad brzegiem lądu.

— Tak. Zwinąć dolne żagle i bramsle — rozkazał.

Gdy mówił te słowa, „Lydia” ciężko opadła z falą, a potem z trudem zaczęła dźwigać się w górę. Woda pieniała się po obu stronach dziobu, a cały okręt rozbrzmiewał skrzypieniem drewna i jękiem takielunku. Pod marsłami łatwiej było płynąć; tymczasem jednak wiatr z burty nasilił się i „Lydia” przedzierając się przez fale pochylała się pod jego naciskiem. Rozglądając się po pokładzie Hornblower zobaczył Lady Barbarę, która trzymała się jedną ręką relingu, a drugą odgarniała loki powiewające wokół twarzy. Wiatr szarpał jej suknie, a ona stała, z policzkami zaróżorwionymi pod opalenizną, i patrzyła błyszczącymi oczyma.

— Lady Barbaro, pani powinna być na dole — rzekł.

— Och, nie, kapitanie. To jest takie cudowne po tych upałach, jakie przeżywaliśmy.

Fala chlusnęła przez nadburcie i zmoczyła ich oboje.

— Ale mnie chodzi o pani zdrowie.

— Gdyby woda morska była szkodliwa, marynarze umieraliby młodo.

Policzki jej błyszczały, jakby pokryła je warstwą kosmetyków. Hornblower nie potrafił już odmówić jej niczego, chociaż z goryczą przypomniał sobie, jak ubiegłego wieczora siedziała pod osłoną bezanżgła tak bardzo zaabsorbowana rozmową z Gerardem, że nikt nie miał odwagi przyłączyć się do tych dwojga.

— Skoro pani sobie tego życzy, proszę zostać na pokładzie, chyba że wichura się wzmoże — a na to właśnie wygląda.

— Dziękuję, kapitanie — odpowiedziała. Było coś w jej spojrzeniu, co mówiło, że wcale nie jest rzeczą tak bezsporną, jak sądził kapitan, to, co ona uczyni w razie nasilenia się wichury, lecz podobnie jak jej wielki brat nie lubiła mówić „hop” przed przeskoczeniem przeszkody.

Hornblower odwrócił się i odszedł. Miał wyraźnie ochotę zostać przy Lady Barbarze i rozmawiać z nią pod deszczem kropel wody, lecz sprawy okrętu były ważniejsze. Gdy dochodził do steru, usłyszał wołanie ze szczytu masztu.

— Widać okręt! Hej, pokład, okręt przed nami. Wygląda jak „Natividad”, sir.

Hornblower podniósł głowę. Marynarz na oku przywarł do salingu, zataczając wraz z wierzchołkiem masztu zawrotne koła, w miarę jak okręt kiwał się i przewalał na falach.

— Knyvett, niech pan tam wejdzie — powiedział Hornblower do stojącego przy nim kadeta. — Proszę wziąć lunetę i powiedzieć mi, co pan zobaczy. — Wiedział, że przy tak burzliwej pogodzie sam byłby do niczego jako „oko” — wstyd mu było, ale musiał się do tego przyznać przed sobą. W chwilę potem chłopięcy głos Knyvetta przebił się poprzez wichurę.

— To „Natividad”, sir. Widzę po kształcie marsli.

— Jaki ma kurs?

— Idzie prawym halsem, sir, tak jak my. Widzę maszty w jednej linii. Teraz zmienia kurs, sir. Robi zwrot przez rufę. Musieli nas zobaczyć, sir. Teraz idzie lewym halsem, sir, na naszą nawietrzną, ostro na wiatr, sir.

— Ach, tak — mruknął Hornblower ponuro do siebie. Nie był przyzwyczajony, żeby okręt hiszpański zawracał i rzucał wyzwanie do walki — przypomniał sobie jednak, że okręt ten nie należy już do Hiszpanii. Niech się dzieje co chce, ale nie pozwoli im zająć położenia na nawietrznej „Lydii”.

— Obsadzić brasy! — zawołał, a potem, do marynarza przy sterze: — Ster w lewo! I uważaj, chłopie, żeby trzymać okręt jak najbliżej wiatru. Panie Bush, niech biją w bębny na alarm bojowy i proszę przygotować okręt do walki.

Rozległ się odgłos werbla, załoga zaczęła zbiegać się ze wszystkich stron, gdy Hornblower przypomniał sobie o kobiecie stojącej przy relingu rufowym i jego bierny fatalizm przeszedł w obawę.

— Lady Barbaro, pani miejsce jest na dole — powiedział. — Proszę zabrać ze sobą pokojówkę. Musicie przeczekać w kokpicie do końca bitwy... nie, nie w kokpi-cie. Proszę się skryć w komorze lin kotwicznych.

— Kapitanie... — zaczęła, ale Hornblower nie był w nastroju do dyskusji, jeśli w ogóle mogło jej przyjść do głowy, by się z nim spierać.

— Panie Clay! — krzyknął ostrym głosem. — Proszę zaprowadzić jej lordowska mość i pokojówkę do komory lin kotwicznych. I proszę nie odchodzić, zanim się pan nie upewni, że będzie tam bezpieczna. To mój r o z k a z, panie Clay. Hmm.

Tchórzliwe to chyba wyjście z sytuacji obciążyć w ten sposób Claya obowiązkiem dopilnowania, by jego rozkazy zostały wykonane. Wiedział o tym, ale był zły na tę kobietę za męczące uczucie troski, którego stała się przyczyną. Pożegnała go mimo to uśmiechem i skinieniem dłoni, zanim ruszyła za Clay'em.

Przez kilka minut na okręcie wrzały spieszne przygotowania według dobrze wyćwiczonego porządku. Natoczono działa, wysypano piaskiem pokłady, do pomp zamocowano węże, wygaszono światła i usunięto grodzie. Teraz z pokładu „Lydii” można było dojrzeć, jak „Natividad” zbliża się przeciwnym halsiem i widać było, że okręt usiłuje płynąć jak najostrzej pod wiatr, by znaleźć się po nawietrznej „Lydii”. Hornblower spojrzał w górę na żagle, by nie przeoczyć najmniejszego śladu łopotu.

— U diabła, człowieku! Steruj małymi wychyleniami! — krzyknął do sternika.

„Lydia” przechyliła się pod naporem wichury; fale z głośnym sykiem rozbijały się o jej burty, a w takielunku wiatr wygrywał wściekłą symfonię. Jeszcze ubiegłej nocy okręt przemykał się cicho po spokojnym morzu, skąpanym w blasku księżyca, a teraz — w dwanaście godzin później — przebijał się przez sztorm, a przed nim była bitwa. Wiatr wzmagął się wyraźnie, a przy silniejszym podmuchu żagle omal nie wzięły go z przodu. „Lydia” chwiała się i kołysała, aż sternik ustawił ją tak, że odpadła od wiatru.

— „Natividad” nie będzie mogła otworzyć furt w dolnym pokładzie! — ucieszył się Bush stojący obok Hornblowera. Poprzez szarość morza kapitan wpatrywał się w okręt wroga. Dojrzał fontannę wody tryskającą ponad jego dziób.

— Nie — odrzekł z powagą. Nie miał zamiaru mówić na temat zbliżającej się bitwy w obawie, że mógłby stać się zbyt rozmowny. — Czy mogę prosić, panie Bush, o zrefowanie marsli na dwa refy?

Przeciwnymi halsami okręty zbliżały się do siebie, jak gdyby wzdłuż boków kąta rozwartego. Mimo najstaranniejszej obserwacji Hornblower nie umiał powiedzieć, który z nich znajdzie się na nawietrznej, gdy spotkają aię u wierzchołka kąta.

— Panie Gerard — krzyknął na dół do porucznika, który miał pieczę nad baterią przy bakburcie pokładu głównego. — Proszę dopilnować, żeby lontowniki u was w koszach były

zapalone.

— Tak jest, sir.

Przy bryzgach piany wpadających wciąż na pokład nie można było polegać na skałkowym mechanizmie spustu zamka do chwili, aż działa dobrze się rozgrzeją; mogło się więc zdarzyć, że trzeba będzie użyć staromodnej metody zapłonu. Na tę ewentualność przygotowano w koszach na pokładzie zwoje tłącego się lontu. Hornblower popatrzył raz jeszcze w stronę „Natividad”. I tam także zrefowano już marsie i okręt kiwając się szedł pod wiatr pod żaglami sztormowymi. Powiewała na nim niebieska flaga z żółtą gwiazdą. Hornblower uniósł głowę i spojrzał na wysłużoną banderę brytyjskiej marynarki wojennej trzepoczącą na maszcie „Lydii”.

— Otworzyli ogień, sir — powiedział Bush.

Hornblower zwrócił spojrzenie na „Natividad” w momencie, gdy wiatr rozrywał już na strzępy ostatni kłak dymu. Nie dotarł do nich huk wystrzału i nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd poszła kula — wzburzone fale skryły strumień wody, który musiał wytrysnąć pod jej uderzeniem.

— Hmm — chrząknął Hornblower.

Nawet przy dobrze wyszkolonej załodze nie należało otwierać ognia na tak dużą odległość. Ta pierwsza salwa burtowa, z dział załadowanych starannie i bez pośpiechu i nastawionych na cel przez obsługę mającą czas pomyśleć, była zbyt cenna, aby marnować ją tak łatwo. Należało ją zachować na okazję, w której mogłaby zrobić najwięcej szkody, choćby bierne czekanie było nie wiem jak męczące.

— Będziemy się mijać cholernie blisko, sir — stwierdził Bush.

— Hmm — odpowiedział Hornblower.

Wciąż jednak trudno było stwierdzić, który okręt znajdzie się po nawietrznej przeciwnika w chwili spotkania. Wydawało się, że jeśli obaj kapitanowie będą dalej utrzymywać kurs swoich okrętów, zderzą się one dziób w dziób. Hornblower musiał użyć całego wysiłku woli, aby mimo narastającego napięcia stać spokojnie i robić wrażenie człowieka niepodatnego na żadne emocje.

Jeszcze jeden obłoczek dymu z prawej burty od strony dziobu „Natividad”; tym razem usłyszeli świst pocisku, który przeszedł górą między masztami.

— Bliżej! — rzekł Bush.

Znów wystrzał — i teraz trzask na śródokręciu powiedział im, w które miejsce uderzył pocisk.

— Trafiło dwóch ludzi z działa numer cztery — stwierdził Bush, schylając się, aby zajrzeć pod schodnię, a potem, oceniwszy wzrokiem odległość między dwoma okrętami, dodał: — Chryste, to już zaraz!

Tę właśnie sytuację Hornblower wyobrażał sobie wielokrotnie w czasie swoich samotnych przechadzek na pokładzie rufowym. Rzucił ostatnie spojrzenie na chorągiewkę wskazującą kierunek wiatru i na marsie, które teraz, gdy morze rzucało okrętem na wszystkie strony, były już na granicy łopotu.

— Panie Rayner, uwaga! Strzelać, kiedy działa znajdują się w linii celu — zawołał. Rayner dowodził baterią na prawej burcie pokładu głównego. A potem kątem ust do ludzi przy sterze: — Oddawaj ster! Odpadaj od wiatru! Tak trzymać!

„Lydia” odpadła nagle od wiatru i znalazła się po stronie zawietrznej „Natividad”; niemal w tej samej chwili działa prawej burty odezwały się salwą, która wstrząsnęła okrętem aż po stępkę. Wichura rozpędziła błyskawicznie chmurę dymu spowijającą „Lydię”. Wszystkie pociski trafiły w burty „Natividad” — wiatr przyniósł stamtąd krzyki rannych. Manewr był tak niespodziewany, że „Natividad” zdążyła oddać tylko jeden strzał — niegroźny zresztą, gdyż po tej, zawietrznej, stronie okrętu furty strzelnicze w dolnym pokładzie były zamknięte z powodu dużej fali.

— Wspaniale! Pierwsza klasa! — powiedział Bush. Wciągał w nozdrza gorzki zapach dymu prochowego, jakby to było słodkie kadzidło.

— Przygotować się do zwrotu przez sztag — rzucił Hornblower świszczącym głosem.

Świetnie przygotowana załoga, szkolona miesiącami w sztormowych pogodach pod orlim okiem Busha, czekała już przy szotach i brasach. „Lydia”, zwrotna jak maszyna, zmieniła hals, zanim „Natividad” zdążyła zareagować na ten niespodziewany atak, i Gerard już bił ze swej baterii w bezbronną rufę wroga. Chłopcy okrętowi znoszący z dołu amunicję dla dział wydawali bez powodu okrzyki swoimi wysokimi dyszkantami. Armaty na prawej burcie były już załadowane, na lewej obsługa przesuwiała zmoczone wyciory przez lufy, aby usunąć tłące się resztki, przybijająca ładunki i śrut i ustawiała lufy dział ponownie w pozycji do strzału. Hornblower poprzez wzburzone morze patrzył na „Natividad”. Dojrzał Crespa na rufowce; człowiek ten był na tyle bezczelny, że wywrzaskując rozkazy do swej nieruchawej załogi pomachał mu impertynencko ręką.

„Lydia” wycisnęła ile się dało ze swego udanego manewru. Oddała z bliska dwie salwy burtowe i w odpowiedzi dostała tylko raz; ale teraz miała za to zapłacić. „Natividad” mając pozycję po nawietrznej, pokierowana zdecydowaną ręką, mogła narzucić na pewien czas walkę na małą odległość. Z miejsca gdzie stał, Hornblower widział jej ster. Zobaczył, jak pchnięto go gwałtownie i w następnej chwili dwupokładowy okręt wroga odwrócił się i ruszył szybko w ich kierunku. Gerard stał wśród swych dział, patrząc zwięzionymi oczyma na imponujące cielsko „Natividad” tuż przy burcie „Lydi”. Smagłą urodę jego twarzy podnosił jeszcze bardziej malujący się w tej chwili na niej wyraz napięcia i zawziętości, lecz przynajmniej tym razem zupełnie nie myślał o swoim wyglądzie.

— Odwieść spusty! — rozkazał. — Cel! Ognia!

Huk salwy burtowej zbiegł się z odgłosem salwy z „Natividad”. Okręt spowiła chmura dymu, w której słychać było grzechot odłamków, trzask przeciętych kawałków takielunku, walących się na pokład, a ponad tym wszystkim głos Gerarda wydającego komendę: — Dość wietrzenia! Im prędzej

zatkaną się wyloty luf, tym mniej się niszcza.

Obsługa z wysiłkiem trzymała talie, żeby zapobiec przesuwaniu się dział od burty do burty wskutek kołysania się okrętu; przeczyszczono lufy wyciorami i przybito śrut i proch.

— Ogień ciągły, chłopcy! — krzyknął Gerard. Wdrapał się na siatkę hamakową i patrzył poprzez kłęby dymu, jak „Natividad” wznosi się i opada przy burcie „Lydie”. Znow gruchnęła nierówna salwa burtowa, potem druga, jeszcze bardziej niezgrana, jako że lepsi artylerzyści strzelali szybciej niż inni; wkrótce strzały zwały się w jeden huk nieustannie wstrząsający „Lydia”. W przerwach między własnymi salwami słyszano na „Lydie” odgłos salw burtowych z „Natividad”. Widocznie Crespo nie dowierzał, że jego artylerzyści potrafią razić skutecznie nieprzyjaciela ogniem ciągłym i kazał im strzelać na komendę. A komenderował dobrze; gdy tylko stan morza pozwalał, furty w dolnym pokładzie otwierały się, jakby poruszane mechanizmem zegarowym, i wielkie dwudziestoczerofuntowe działa wypluwały płomień i dym.

— Nieźle to robią sir — powiedział Bush.

Grad żelaza zasypywał pokłady „Lydie”. Ciała zabitych leżały wokół masztów, dokąd zepchnięto je pośpiesznie, aby nie przeszkadzały obsłudze dział. Rannych wleczono z pokładu na dół, gdzie czekały ich okropne warunki w kokpicie. Hornblower zobaczył, jak chłopiec niosący proch dostawszy pociskiem z dwudziestoczerofuntowego działa przeleciał przez pokład i padł rozszarpany na krwawą masę, niczym nie przypominającą człowieka.

— Hmm — mruknął Hornblower, lecz dźwięk ten utonął w huku dział strzelających z pokładu obok niego. Robili to naprawdę dobrze, nawet za dobrze. Te pięć minut wymiany salw z małej odległości przekonały go, że działa „Natividad” były kierowane zbyt precyzyjnie, aby przy zetknięciu burta z burta „Lydia” mogła mieć jakąś szansę przeciwstawienia się przeważającej sile hiszpańskiego okrętu, mimo szkód jakich tamten doznał w ciągu pierwszych kilku minut walki. Jeśli istniała możliwość zwycięstwa — to tylko drogą przechytrzenia wroga.

— Załoga do brasów! — krzyknął z całych sił, a jego ostry głos przebił się przez łoskot dział. Zwężonymi oczyma wpatrywał się w „Natividad”, której burty zionęły dymem, i próbował ocenić siłę wiatru oraz szybkość obu okrętów. Umysł z gorączkowym pośpiechem wykonywał obliczenia, a podniecenie towarzyszące rozpoczęciu nowego manewru dodało mu otuchy. Nieznaczne przebrasowanie grotmarsla na wsteczny ciąg pozwoliło wypuścić „Natividad” do przodu bez wytracania biegu przez „Lydie” na tyle, by stała się trudna do manewrowania; w następnym momencie Hornblower zmienił hals swego okrętu tak, że będąca w pogotowiu bateria na prawej burcie mogła zacząć ostrzelać rufy „Natividad”. Fregata hiszpańska poszła ostrzej na wiatr, usiłując obejść przeciwnika, by znow znaleźć się burta w burcie, lecz „Lydia” była szybsza w halsowaniu na wiatr niż bryłowaty, słabo zwrotny dwupokładowiec. Obserwując uważnie nieprzyjaciela Hornblower raz jeszcze wykonał błyskawiczny zwrot przez sztag i na przeciwnym halsie przemknął obok rufy „Natividad”, podczas gdy Gerard, biegnąc od dział do dział, posyłał celne pociski w pogruchaty kadłub nieprzyjaciela.

— Wspaniale! Niech mnie kule! Nie do wiary! Niech ja skonam! Wspaniale! — bełkotał Bush, waląc prawą pięścią w dłoń lewej ręki i skacząc do góry z radości.

Hornblower nie miał czasu zwracać uwagi na Busha ani na jego słowa zachwyty, chociaż później miał sobie przypomnieć, że je słyszał, i znaleźć w nich pociechę. Kiedy okręty odsunęły się od siebie, Hornblower krzyknął, by „Lydia” znów wykonała zwrot przez sztag; lecz właśnie gdy żagle zostały ustawione i ster wychylony, „Natividad” obróciła się przez rufę, by zejść „Lydię” od zawietrznej. Tym lepiej. Za cenę jednej wymiany salw burtowych będzie mógł zaatakować ponownie nie zabezpieczoną rufę nieprzyjaciela; a jeśli „Natividad” będzie próbowała ich obejść, to jego okręt, jako bardziej zwrotny, zdąży na każdy strzał przeciwnika odpowiedzieć co najmniej dwoma celnymi strzałami. Hornblower patrzył, jak „Natividad” zbliża się ku nim poprzez dym; nadburcia miała podziurawione śrutem, a ze ścieków pokładowych lała się krew. Dostrzegł Crespa na rufowce; a łudził się, że został zabity którymś z pocisków z ostatnich dwóch salw burtowych, co przyniosłoby niemal na pewno osłabienie ataku. Lecz działa „Natividad” były natoczone i furty w dolnym pokładzie po tej, nawietrznej, stronie otwarte.

— Za to, co dostaniemy... [30] — wyrzekł Bush stare, oklepane bluźnierstwo, jakie można było usłyszeć na każdym okręcie wystawionym na silny ostrzał nieprzyjaciela.

Sekundy wydawały się rozciągać w minuty, gdy oba okręty zbliżały się ku sobie. Mijały się w odległości kilkunastu jardów; dziób zrównał się z dziobem, fokmaszt minął fokmaszt, a potem fokmaszt minął grotmaszt nieprzyjaciela. Rayner pilnował rufy i gdy tylko zobaczył, że ostatnie działo znalazło się w linii celu, krzyknął: — Ognia! — „Lydia” szarpnęła odrzut działa, uszy rozdarł huk wybuchu, a potem — nim jeszcze wichura zdążyła rozwiać dym — „Natividad” pośpieszyła z odwetem.

Hornblower miał uczucie, że niebo wali się na niego. Zatoczył się od podmuchu szrapnela; pod stopami ujrzał czerwoną, drgającą masę; byli to zabici i ranni — połowa chyba obsługi dział na prawej burcie. A potem z potężnym hukiem zwałił się obok niego bezanmaszt. Takielunek oplatał go i rzucił na spływający krwią pokład. Próbuąc uwolnić się Hornblower czuł, że „Lydia” obraca się, odpadając od wiatru, mimo wysiłków ludzi przy sterze.

Podniósł się, na pół przytomny od wstrząsu, i wokół siebie zobaczył straszliwe zniszczenie. Poszedł bezanmaszt, odłamany na wysokości dziewięciu stóp od pokładu, i pociągnął za sobą bramstęgę grotmasztu, a nie odcięte wanty wlokły wzdłuż burt i za rufą drzewce z rejami, żaglami i olinowaniem. Przy braku równoważącego nacisku wiatru na bezanmarsel „Lydia” nie mogła iść ostrym bejdewindem i bezradnie dryfowała na pełnym wietrze. W tym momencie Hornblower ujrzał, że „Natividad” robi zwrot przez sztag, by przeciąć im kurs za rufą i odpłacić miażdżącą salwą burtową za te kilka salw, jakie dostała poprzednio. Kapitanowi wydało się, że cały świat wali się na niego. Konwulsyjnie przełknął ślinę i poczuł nagle, że strach przed klęską przyprawia go o mdłości.

Rozdział XIV

Wiedział jednak — i to sobie powtarzał w chwili, gdy dźwigał się na nogi, że ani o sekundę nie wolno mu opóźnić ponownego doprowadzenia „Lydii” do gotowości bojowej.

— Bezanwacht! — zawołał, a brzmienie własnego głosu wydało mu się nienaturalne. — Panie Clay! Benskin! Dawać tu siekiery! Odrąbać precz te szczątki!

Clay gnał już ku rufie na czele gromady ludzi z siekierami i kordami. Gdy rąbali wanty bezanmasztu, Hornblower zobaczył Busha siedzącego na pokładzie z twarzą w dłoniach — musiał dostać spadającym blokiem. Nie było jednak czasu, żeby się nim zająć. „Natividad” zbliżała się bezlitośnie ku nim — dojrzał na jej pokładzie postacie ludzi podskakujących z radości i wymachujących triumfalnie kapeluszeniami. Zmysły miał tak napięte, że wydawało mu się, iż nawet poprzez zgiełk na pokładzie „Lydii” słyszy skrzywienie takielunku „Natividad” i łoskot towarzyszący wytaczaniu załadowanych na nowo dział. Wróg sterował tak, aby przejść możliwie najbliżej „Lydii”. Hornblower zobaczył mijający ich bukszpryt „Natividad” i wyłaniające się nad nim zrefowane żagle jej masztu przedniego; potem huknęła salwa burtowa, a działa jedno po drugim biły wszystkie w rufę „Lydii”. Hornblowera oślepiła chmura dymu, którą wiatr porwał i rzucił w jego stronę. Czuł, jak pokład stanął dęba, gdy uderzyły weń pociski, usłyszał blisko krzyk któregoś z ludzi Claya i wycie odłamka przelatującego tuż obok jego policzka. A potem — w momencie gdy wydało mu się, że giną, straszliwe salwy zamilkły, dym rozwiął się i „Natividad” przeszła obok nich, a on wciąż był żywy i mógł rozejrzeć się dokoła. Laweta najdalszego działła została rozbita, a jeden z ludzi Claya leżał na pokładzie z nogami przywalonymi armatą i krzyczał okropnie, gdy koledzy usiłowali bezskutecznie usunąć przygniatający go ciężar.

— Zostawcie go! — krzyknął do nich Hornblower, a konieczność wydania takiego rozkazu sprawiła, że głos jego zabrzmiał równie przeraźliwie, jak krzyk biedaka wijącego się z bólu. — Odciąć zaraz te cholerne szczątki! Panie Clay, niech pan ich zagna do roboty!

W odległości jednego kabla[31] „Natividad” unosząc się na burych, wysokich falach gotowała się powoli do zwrotu przez rufę i ponownego ostrzelania bezradnego przeciwnika. Całe szczęście, że okręt ten był trudny, w manewrowaniu, jak wszystkie te bryłowate balie czwartej klasy. Hornblower miał dzięki temu nieco więcej czasu między poszczególnymi salwami burtowymi na próby doprowadzenia „Lydii” do stanu, w którym mogłaby znów stawić czoło przeciwnikowi.

— Hej tam, maszt przedni! Panie Galbraith! Zwińcie forsztagsle!

— Tak jest, sir.

Zdjęcie latacza i kliwra zrównoważy w pewnym stopniu utratę marsla bezanmasztu i bezana. Manipulując sterem może będzie mógł wtedy prowadzić „Lydię” nieco ostrzej do wiatru i odwzajemnić się swemu zwalistemu przeciwnikowi. Lecz nie mogło być o tym mowy, dopóki szczątki rozbitych masztów wlokły się za nimi jak wielka dryfkotwa. Póki ich nie odetną, „Lydia” może tylko sztormować bezradnie fordewindem, znosząc w milczeniu ciosy wroga. Rzut oka powiedział mu, że „Natividad” wykonała już zwrot i zmierza ku nim, by znów zająć ich od rufy.

— Prędzej! — krzyknął do ludzi przy siekierach. — A wy tam, Holroyd, Tooms, na dół, do ściągów bezana.

Nagle uświadomił sobie, że krzyczy cienkim, histerycznym głosem. Za wszelką cenę musi w oczach Claya i jego ludzi zachować opinię człowieka, którego nic nie może wyprowadzić z równowagi. Z najwyższym trudem zmusił się, aby spojrzeć od niechcienia na „Natividad”, która z dziobem zanurzoną w falach znów szła na nich jak groźny taran. Wyszczrzył zęby, wzruszył ramionami i rzekł swoim zwykłym głosem:

— Chłopcy, nic sobie z niej nie róbcie. Wszystko po kolei. Najpierw odetnijcie te szczątki, a potem wpakujemy tym diegom salwę w brzuch, że się nie pozbierają.

Ze wzmożoną siłą zaczęli rąbać twardą gmatwaninę lin. Coś puściło, a ponowne gwałtowne zanurzenie się dziobu „Lydii”, kiedy potężna fala podniosła jej rufę ku górze, sprawiło, że szczątki zaczepiły o bezansztag, który sunąc po pokładzie podciął nogi trzem ludziom, zwalając ich na okrwawione deski. Hornblower chwycił jedną z upuszczonych przez nich siekier i rzucił się z wściekłością na linę wynurzającą się z wody i szorującą o pokład przy każdym przechyle okrętu. Kącikiem oka widział wyłaniającą się ku nim „Natividad”, ale nie miał czasu, by się nią przejmować. W tej chwili nie zagrażała jego życiu — stanowiła tylko uciążliwą przeszkodę w pracy.

I znów „Lydia” wstrząsnął huk salwy burtowej z „Natividad”, i otoczyły ją kłęby dymu. Hornblower czuł wokół siebie podmuchy pocisków i słyszał wycie odłamków. Krzyki marynarza przygniecionego działem ucichły nagle i kapitan poczuł pod stopami trzask „Lydii” trafionej w sam kadłub. Lecz on, jak zahipnotyzowany, walił dalej siekierą, pragnąc za wszelką cenę skończyć swe zadanie. Pod jego ciosami bezansztag oderwał się wreszcie; zobaczył inną naprężoną linę i przeciął ją również — uwagę jego przyciągnął wzór poszycia pokładu w tym miejscu — poczuł, że jeszcze jedna lina pękła i śmignęła obok niego i już wiedział, że „Lydia” pozbyła się szczątków, które wlokła za sobą. Na pokładzie tuż przy jego stopach leżał młody Clay, rozciągnięty jak długi — ale ten Clay nie miał głowy. Hornblower zanotował to w pamięci jako interesujące zjawisko — jak przedtem wzór poszycia.

Któraś fala załamała się nad pokładem i oblała go strumieniem wody; otarł oczy i popatrzył dokoła. Większość załogi z pokładu rufowego zginęła — żołnierze piechoty morskiej, marynarze, oficerowie. Simmonds zgromadził resztki żołnierzy wzdłuż relingu rufowego, gotowych odpowiedzieć strzałami z muszkietów na pociski z dwudziestoczerofuntowych dział „Natividad”. Bush był na szczycie kolumny grotmasztu i Hornblower uświadomił sobie nagle, że to on właśnie musiał odciąć stengę bezanmasztu, dzięki czemu okręt mógł się wreszcie uwolnić od wleczonych szczątków. Dwóch sterników stało nieruchomo przy sterze, w wyprostowanej postawie, wpatrując się z napięciem przed siebie. Nie byli to ci sami ludzie, którzy znajdowali się tam w momencie rozpoczęcia bitwy — lecz dzięki żelaznej dyscyplinie wpajanej członkom marynarki wojennej oraz nieustannemu szkoleniu, mimo zmiennych kolei bitwy, zawsze był ktoś przy sterze.

W tyle z prawej burty „Natividad” znów robiła zwrot. Hornblower poczuł dreszcz podniecenia, gdy pojął, że tym razem nie musi się potulnie wystawiać na jej salwę. Zmusił się, by skoncentrować myśli na tym, jak zmienić kurs, porównał ewentualny proporcjonalny wpływ fokmarsla i grotmarsla na sterowność i starając się przypomnieć sobie położenie grotmasztu względem środka okrętu stwierdził, że na szczęście jest on osadzony bliżej rufy.

— Obsadzić brasy! — krzyknął. — Panie Bush, spróbujemy stanąć do wiatru.

— Tak jest, sir.

Obejrzał się na „Natividad”, która sunęła ku nim, to wznosząc się, to opadając.

— Prawo na burzę! — rzucił rozkaz sternikom. — Chłopcy, być w pogotowiu przy działach!

Załoga „Natividad” wpatrzona w stronę, gdzie wycelowane były jej armaty, ujrzała nagle, jak pogruchotana rufa „Lydii” wolno odwraca się od nich. Przez krótkie trzydzieści sekund, w czasie których angielska fregata szła tym samym kursem, sternikom udało się ustawić okręt bokiem do wiatru akurat w momencie, gdy „Natividad” przepływała obok nich.

— Ognia! — krzyknął Gerard; jemu również głos załamał się z podniecenia.

„Lydia” wstrząsnął odrzut dział i dym spowił kłębamii jej pokład, a poprzez dym runął żelazny grad salwy burtowej z „Natividad”.

— Chłopcy, dajcie jej znowu! — darł się Gerard. — Poszedł jej fokmaszt. Dobra robota, chłopaki!

Załoga dział wydała radosny okrzyk, lecz w tej wichurze głosy dwustu ludzi zabrzmiały słabo. W tym nagłym zamieszaniu bojowym wróg został ugodzony boleśnie. Poprzez dym Hornblower dojrzał, jak wanty fokmasztu „Natividad” nagle wiotczeją, naprężają się i znów wiotczeją, a potem cały fokmaszt pochylił się w przód. Stenga grotmasztu zachwiała się i poszła jego śladem i wszystko razem zniknęło za burtą. „Natividad” wzięła z miejsca kurs pod wiatr, a w tym samym momencie dziób „Lydii” odpadł od wiatru, gdy — mimo wysiłków ludzi przy sterze — wykręciła z wiatrem. W miarę jak skrawek szarego morza między okrętami poszerzał się, Hornblower słyszał wyraźniej wycie wichury. Z pokładu głównego padł jeszcze jeden strzał, a potem oba okręty kołysały się już tylko na wzburzonym morzu niezdolne do dalszej walki.

Hornblower powolnym ruchem wytarł zalane wodą oczy. Ta bitwa była jak długi koszmary sen, w którym jedna po drugiej następowały fantastycznie nierealne sytuacje. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że i on sam śni — potrafił zdobyć się na jasność myśli, ale musiał zmusić się do tego, jak gdyby było to dlań czymś nienaturalnym.

Odstęp między okrętami wynosił już teraz pół mili i dalej się zwiększał. Hornblower zobaczył przez lunetę, że na dziobówce „Natividad” jest czarno od ludzi usiłujących uwolnić okręt od szczątków fokmasztu. Zwycięży okręt, który pierwszy znów będzie gotów do walki. Zatrzasnął futerał lunety i ruszył naprzeciw wszystkim tym problemom, jakie musiał natychmiast rozwiązać.

Rozdział XV

Kapitan „Lydii” stał na swoim pokładzie rufowym, a jego okręt postawiony w dryfie pod grotsztaksem i trzykroć zrefowanym grotmarslem rył dziobem wodę i tańczył na niesamowicie wzburzonych falach. Zaczął padać deszcz i wkrótce ulewa stała się tak gwałtowna, że widoczność nie sięgała stu jardów. Bryzgi wody zalewały potokiem pokład i kapitan przemókł, jakby wpadł w ubraniu do morza. Ale nie czuł tego. Co chwila ktoś przychodził do niego po rozkazy — pierwszy oficer, artylerzysta, bosman, cieśla, chirurg i intendent. Trzeba było przygotowywać znów okręt do walki, mimo że wcale nie było rzeczą pewną, czy przetrwa on szalejący wokoło sztorm. Teraz właśnie przyszedł do kapitana marynarz pełniący rolę chirurga.

— Ale co ja mam r o b i ć, sir? — pytał bezradnie. Twarz miał zbielełą i kurczowo zaciskał ręce. Był to Laurie, steward intendenta, wyznaczony do roli chirurga po zgonie Hankeya, lekarza okrętowego. W ciemnym, ponurym kokpicie miał pięćdziesięciu rannych, oszalałych z bólu, niektórych z urwanymi członkami, i wszyscy błagali o pomoc, a on nie umiał jej udzielić.

— Co mam r o b i ć, sir — przedrzeźniając go, powtórzył Hornblower pogardliwie, rozwścieczony tym brakiem kompetencji. — Po dwóch miesiącach, jakie miałeś na przygotowanie się do swoich obowiązków, masz jeszcze czelność pytać, co masz robić?

Laurie, słysząc te słowa, zbladł jeszcze bardziej, i Hornblower uznał, że musi trochę pomóc temu tchórzliwemu niedorajdzie i dodać mu ducha.

— Posłuchaj, Laurie — powiedział nieco łagodniejszym tonem. — Nikt nie oczekuje od ciebie cudów. Zrób, co możesz. Trzeba uspokoić tych, którzy muszą umrzeć. Masz tak traktować każdego, kto stracił rękę lub nogę. Podaj im laudanum — po dwadzieścia pięć kropli, albo więcej, jeśli to nie wystarczy, żeby ich uspokoić. Udawaj, że opatrujesz im rany i mów każdemu, że wyjdzie z tego i będzie dostawał rentę przez następne pięćdziesiąt lat. Co do reszty — niech kieruje tobą zdrowy rozsądek. Zakładaj bandaże, póki rany nie przestaną krwawić. Masz dosyć szarpi, żeby obandażować całą załogę okrętu. Weź złamane kości w łupki. Poruszaj rannych z miejsca tylko wtedy, kiedy to konieczne, i zapewnij im spokój. Daj wszystkim po odrobinie rumu i obiecaj, że jak będą leżeć spokojnie, po ósmym dzwonie dostaną jeszcze. Nie znam marynarza, który nie skoczyłby w ogień piekielny dla kapki rumu. Idź na dół, człowieku, i dopilnuj wszystkiego, jak należy.

— Tak jest, sir.

Laurie był zdolny myśleć tylko o swojej odpowiedzialności i swoich obowiązkach. Zbiegł na dół, nie martwiąc się niesamowitym bałaganem, jaki panował na pokładzie głównym. Talie mocujące jedno z dział dwunastofuntowych, przestrelone w czasie ostatniej salwy burtowej z „Natividad”, pękły i teraz działo toczyło się po pokładzie tam i z powrotem — półtorej tony żelaza — grożąc w każdej chwili wypadnięciem za burtę. Galbraith z dwudziestoma ludźmi wlokącymi liny i pięćdziesięcioma trzymającymi maty i hamaki posuwał się ostrożnie z miejsca na miejsce za działem w nadziei, że uda mu się przymocować je w jakiś sposób lub unieszkodliwić.

Właśnie gdy Hornblower zwrócił wzrok w tamtą stronę, nowy podrzut okrętu przechylił działo, które z wściekłym łomotem sunęło teraz wprost na ludzi. Przerażeni rozsunęli się na boki, a ciężka masa metalu przeleciała między nimi z jękiem przypominającym kwik stada świń i huknęła o grotmaszt.

— Teraz, chłopcy! Skaczcie na działo! — krzyknął Hornblower.

Galbraith pobiegł naprzód, aby ryzykując utratą kończyny, czy nawet życia, przesunąć koniec liny przez blok talii. Ledwie to zrobił, a już nowy przechył okrętu odwrócił działo i zagroził zniweczeniem jego wysiłku.

— Dawać hamaki! — zawołał Hornblower. — Prędko, zwalić na stos. Panie Galbraith, niech pan okręci linę o maszt główny. Whipple, przełóż linę przez pierścień. Pośpiesz się, chłopie! A

teraz obłóż ją i zamocuj!

Hornblower dokonał tego, czego nie potrafił zrobić Galbraith — błyskawicznie zsynchronizował wysiłki ludzi i wkrótce działo było już uwiązane i niegroźne. Trzeba jeszcze było wykonać skomplikowane zadanie wtoczenia go z powrotem w odpowiednią furtę strzelniczą i umocnienia nowymi linami. A tymczasem Howell, cieśla okrętowy, czekał tylko, kiedy kapitan oderwie się od tej roboty, żeby go wysłuchać.

— Cztery stopy wody w ładowni, albo i więcej, sir — powiedział, drapiąc się w czoło. — Bliżej pięciu i jak mnie się zdaje, szybko przybiera. Czy dostanę więcej ludzi do pomp, sir?

— Dopiero jak ustawimy na miejscu to działo — odrzekł Hornblower. — Jakie szkody wykryłeś?

— Siedem dziur od pocisków, sir, poniżej linii wody. Nie da rady ich zatkać, sir, póki woda się wdziera.

— Wiem — rzucił krótko Hornblower. — Gdzie są te dziury?

— Wszystkie jakoś tak z przodu, sir. Jedna zaraz przy trzeciej wrędze, z prawej burty. I jeszcze dwie...

— Przeciagniemy plaster z żagla pod kadłubem, jak tylko będziemy mieli paru wolnych ludzi. Ci przy pompach niech pracują dalej. A teraz zameldujcie się ze swoimi ludźmi u pierwszego oficera.

Pierwszy oficer i bosman próbowali szybko zorganizować ustawianie awaryjnego bezanmasztu. Bosman ze zmartwioną miną zameldował już kapitanowi, że połowa zapasowych drzewc, złożonych między przejściami, została uszkodzona przez pociski. Jest wprawdzie jedna reja grotmarsła, której można by użyć, lecz ustawienie w pozycję pionową drzewca o długości pięćdziesięciu pięciu stóp będzie sprawą trudną — nie jest to łatwe nawet przy spokojnym morzu, a teraz, gdy Pacyfik szaleje, może potrwać długo i grozić niebezpieczeństwem. W porcie ustawiłoby się przy burcie okrętu jakiś stary statek — sam kadłub z dźwigiem i użyłoby się dwóch długich drzewc, jak nożyc, do podniesienia nowego masztu do pozycji pionowej. Tutaj nie było nic z tych rzeczy i podniesienie masztu mogło się okazać niemożliwością, lecz Bush i Harrison ze swymi ludźmi przystąpili do dzieła z całą pomysłowością i energią, jaką mogła w nich wyrobić służba w marynarce wojennej.

Został na szczęście kikut starego bezanmasztu długości dziewięciu stóp, co oszczędziło im skomplikowanych czynności obsadzania nowego masztu w gnieździe — i właśnie postanowiono przymocować maszt do tego kikuta. Na rufie pracowały grupki ludzi, każda pochłonięta wykonywaniem swojej części pracy. Za pomocą talii i krążków podciągnięto zapasową reję ku rufie i przymocowano ją solidnie dolnym końcem do tego, co pozostało w bezanmasztu. Harrison pilnował teraz przywiązywania want do topu zaimprovizowanego w ten sposób masztu; potem będzie musiał przygotować top do umieszczenia na nim kołpaka i wieżb rejowych, które właśnie robił cieśla ze swymi ludźmi.

Po obu stronach ław wantowych pomocnicy Harrisona dozorowali pracy dwóch innych grup zajętych mocowaniem drugich końców want do ław tak, aby przy pomocy nawleków i ściągaczy linowych można było utrzymywać maszt w sztywnej pozycji w czasie jego podnoszenia. Bush pilnował mocowania talii rejowych i wielokrążków na kolumnie grotmasztu, co miało znacznie ułatwić stawianie nowego bezanmasztu. Żaglomistrz ze swoimi pomocnikami wyciągnął na pokład żagle i dopasowywał je do gafla i rei nowego masztu. Inna grupka marynarzy, kierowana przez artylerzystę, wykonała trudne zadanie ponownego zamontowania ciężkiego działka na pokładzie rufowym, a Gerard był w górze z marynarzami naprawiającymi uszkodzenia stałego i ruchomego olinowania ocalałych masztów. Wszystko to działo się w ulewnym deszczu, wśród wycia wichury. Lecz było tak straszliwie gorąco, że i deszcz, i wiatr wydawały się ciepłe. Półnagich marynarzy, ostatkiem siły wykonujących swe zadania, zlewał pot, deszcz i bryzgi wody morskiej. Na okręcie wrzała praca — koszmarna w swym szaleństwie, a jednak celowa.

Silniejszy strumień deszczu zwiastował chwilę przejaśnienia. Wsparłszy się nogami w rozhuśtany pokład Hornblower przyłożył lunetę do oczu. Zobaczył znowu „Natividad”, teraz za widnokretem, za wodą upstrzoną szarymi płatami piany. Leżała również w dryfie i wyglądała pokraccie, przechylona z powodu częściowo utraconych masztów. Hornblower nie dostrzegł przez lunetę niczego, co by wskazywało, że i oni próbują postawić maszty awaryjne — prawdopodobnie na okręcie nie pozostało nic nadającego się do tego celu. W takim razie, gdy tylko „Lydia” będzie miała dość żagli na rufie, żeby iść pod wiatr, „Natividad” znajdzie się na jej łasce — oczywiście jeśli zbyt burzliwy stan morza nie uniemożliwi prowadzenia ognia artyleryjskiego.

Potoczył uważnym spojrzeniem po widnokretem — w tej chwili nic nie wskazywało na to, że sztorm ma ucichnąć, a było już dobrze po południu. Z zapadnięciem nocy łatwo stracić z oczu „Natividad”, a pod osłoną ciemności wróg może zdążyć z naprawą swoich uszkodzeń.

— Jak długo jeszcze, panie Harrison? — zapytał ostro.

— Już niedługo. Prawie gotowe, sir.

— Mieliście aż nadto czasu na to proste zadanie. Dopilnujcie, żeby ludzie ruszali się żywiej.

— Tak jest, sir.

Hornblower był pewny, że przeklinają go po cichu; nie wiedział, że i podziwiają, tak jak wbrew sobie samym ludzie zwykli podziwiać surowego władcę.

Teraz znów zameldował się kucharz. On i jego pomocnicy byli jedynymi ludźmi na pokładzie, których można było odkomenderować do spełnienia żalobnego obowiązku.

— Wszystko gotowe, sir — powiedział kucharz.

Hornblower zszedł bez słowa po trapie prawej burty. Po drodze wyjął z kieszeni książeczkę do nabożeństwa. Na dole leżało czternastu zabitych, owiniętych w hamaki, po dwóch na jednej kratownicy, a każdy miał wszyty w nogach okrągły pocisk. Hornblower wyjął swój srebrny gwizdek i zagwizdał przeciągle. Na okręcie przerwano wszelką pracę, gdy on, czyniąc kompromis między

pośpiechem a uroczystą powagą chwili, czytał modlitwę za tych, co mają być pochowani w morzu.

Powierzamy przeto ich ciała głębinie...

Kucharz i jego ludzie przechylali kolejno kratownice i gdy Hornblower kończył czytać modlitwę, ciała jedno po drugim spadały z pluskiem za burtę. Odczytawszy ostatnie słowa, dał znów sygnał gwizdkiem i wszyscy rzucili się z powrotem do swoich zajęć. Był zły za te kilka minut, tak bardzo im potrzebnych, ale wiedział, że ludziom nie podobałoby się bezceremonialne wyrzucenie ciał zabitych za burtę, gdyż przywiązywali — jak można się było spodziewać po takich prostakach — ogromną wagę do obrzędów i przepisowych formuł modlitewnych.

Było jeszcze coś, co go trapiło. Dołem, po pokładzie głównym szła ostrożnie Lady Barbara z małą Murzynką uczeponą jej sukni.

— Madam, wydałem rozkaz, aby została pani na dole! — krzyknął ku niej. — Ten pokład nie jest miejscem dla pani.

Lady Barbara rozejrzała się po skotłowanym pokładzie i podniosła twarz, by mu odpowiedzieć.

— Nie musi mi pan o tym mówić, sama widzę — rzekła. A potem nieco łagodniej: — Kapitanie, nie mam zamiaru przeszkadzać. Chciałam się właśnie zamknąć w swojej kabynie.

— W pani kabynie?

Hornblower roześmiał się. Cztery salwy burtowe z „Natividad” przeszły tamtędy. Myśl, że Lady Barbara mogłaby się tam zamknąć, wydała mu się ogromnie zabawna. Przestał się śmiać, dopiero gdy się zorientował, że jest na granicy hysterii.

— Nie zostało nic z pani kabiny, madam. Przykro mi, ale może pani tylko wrócić tam, skąd pani przyszła. Na okręcie nie ma w tej chwili innego miejsca dla pani.

Patrząc na niego Lady Barbara pomyślała o komorze lin kotwicznych, z której właśnie wyszła. Kompletna ciemność i miejsca tyle, że można było tylko siedzieć w skurczonej pozycji na oślizłych linach; szczury przebiegające z piskiem po nogach; kołysanie wzdłużne okrętu i wściekłe kolebanie się na boki, a obok niej Hebe, oszalała ze strachu; rozdierający uszy huk dział i tuż nad głową potworne dudnienie wózków z działami przeciąganymi do burty i z powrotem; straszliwe trzaski towarzyszące upadkowi bezanmasztu; brak wieści o rozwoju walki — w tej chwili nie miała nawet pojęcia, czy przegrano ją, czy wygrano, czy też tylko przerwano na chwilę; zaduch zęz, głód i pragnienie.

Nie mogła znieść myśli o tym, że trzeba będzie tam wrócić. Miała jednak przed sobą twarz kapitana, pobladłą, pod warstwą opalenizny, od zmęczenia i napięcia; zauważyła histeryczny atak śmiechu, nagle urwany, i okropny wysiłek, jaki czynił, by rozmawiać z nią rozsądnie. Mundur kapitana był rozdarty na piersi, a białe spodnie splamione — przecież to krew! — pomyślała. I wtedy poczuła litość dla niego. Zrozumiała, że byłoby teraz rzeczą śmieszną mówić mu o szczurach,

o odorze i o bezpodstawnych obawach.

— Dobrze, kapitanie — powiedziała spokojnie i odwróciwszy się zaczęła schodzić w dół.

Mała Murzynka zawyła, ale ucichła, gdy Lady Barbara potrząsnęła nią i pociągnęła za sobą po schodni.

Rozdział XVI

— Już zrobione, sir — powiedział Bush.

Żałoga „Lydii” spisała się wspaniale. Wszystkie działa były z powrotem zamocowane, a pokład główny oczyszczony z grubsza ze śladów walki. Plaster z płótna żaglowego założony na dno okrętu zahamował znacznie wdzieranie się wody, tak że przy pompach pracowało zaledwie dwudziestu ludzi i poziom wody w ładowniach zmniejszył się w sposób widoczny. Żaglomistrz przygotował już nowe żagle, bosman takielunek, a cieśla resztę niezbędnego sprzętu. Grupa Harrisona ustawiła się przy windzie kotwicznej, a maszt leżał gotowy do stawiania.

Hornblower rozejrzał się dokoła. Niepotrzebnie tak szaleńczo spieszyli się z robotą; wichura trwała dalej i przy jej obecnej sile próba lawirowania ku „Natividad” nie miała na razie sensu. Zmusił ludzi do ogromnego wysiłku — omal przekraczającego ich siły — żeby nie tracić czasu, a teraz okazało się, że mogli to wszystko zrobić spokojnie i bez pośpiechu. Lecz rozpoczętą pracę trzeba skończyć. Potoczył okiem po grupkach czekających ludzi; każdy z nich wiedział, co do niego należy, a w każdym punkcie strategicznym stał oficer, żeby dopilnować wykonania rozkazów.

— Doskonale, panie Bush — rzekł.

— Hej tam, podnosić! — krzyknął Bush do obsługi windy kotwicznej.

Winda zaczęła się obracać, lina z piskiem sunęła przez talie i centymetr po centymetrze maszt unosił się w górę. Ruch jego obserwowali wszyscy obecni na pokładzie. Szalony taniec okrętu na falach groził jednak, że cały wysiłek może pójść na marne. Top masztu mógł wyrwać się z przytrzymujących go lin, a dolny koniec mógł się ześliznąć z kikuta starego bezanmasztu, o który się opierał. Trzeba było śledzić uważnie każdy ruch i podjąć wszelkie możliwe środki ostrożności, aby tego uniknąć. Bush obserwował talie fałów, a Gerard przy maszcie głównym pilnował stropów. Galbraith czekał z jednej strony przy ławie wantowej bezana, a Rayner z drugiej. W miejscu stykowania masztu bosman i cieśla trzymali w pogotowiu liny i drzewca. Do kapitana, który stał oparty o poręcz pokładu rufowego, należało dopilnowanie, aby wszystkie części tej niezdarnej maszyny współpracowały zgodnie z sobą. I jego tylko będzie winić załoga, jeśli przedsięwzięcie się nie uda.

Kapitan także zdawał sobie z tego sprawę. Obserwował pijany taniec okrętu to walącego się w dół, to dźwigającego na fali. Wsłuchiwał się w szorowanie dolnego końca stawianego masztu o pokład między dwoma drzewcami przymocowanymi jako podpory do tkwiącego w pokładzie kikuta bezanmasztu. Potrzebował całego wysiłku woli, by zmusić się do jasnego myślenia. Był już u krańca sił i czuł obawę o wynik przedsięwzięcia.

Było rzeczą niezmiernie ważną, aby marynarze przy wantach i padunach wybierali tylko tyle luzu, ile tworzyło się wskutek podciągania talii fałów, i żeby nie naciągali lin, które się zluźniały, gdy przechył okrętu skłaniał nieco maszt w ich stronę. A oni właśnie ciągnęli je wtedy z całych sił, bo wydawało im się, że napięte liny ochronią podnoszony maszt od przeciążenia. Dwukrotnie stropy na topie masztu omal się nie urwały wskutek tego i Hornblower musiał przez kilka sekund skoncentrować się na obserwowaniu kołysania wzdłużnego okrętu, na czuwaniu nad kolebaniem na boki, tak by następne dźwignięcie wypadło w ściśle określonym czasie, co zapobiegnie niebezpieczeństwu. Głos jego był ochryply od krzyku.

Powoli maszt unosił się z położenia poziomego ku pionowi. Oceniając czujnym okiem naprężenia i reakcje Hornblower zdał sobie sprawę, że nadeszła chwila krytyczna — moment, w którym talie fałów nie mogły już dalej dźwigać topu masztu, i podnoszenie trzeba było zakończyć przez naciąganie padunów od strony rufy. Były to ryzykowne chwile, gdyż top nie mógł już być dalej podtrzymywany stropami. Trzeba było odłączyć talie fałów od windy kotwicznej, a ich rola miała być teraz spełniana przez paduny. Należało dwukrotnie obłożyć liną maszt awaryjny i kikut bezanmasztu i ustawić ludzi z linami, którzy pomagając sobie drągami kabestanu mieli mocno skrępować oba drzewca razem, tak jak ściska się krępulcem arterię, by zatrzymać przepływ krwi. W tych pierwszych chwilach paduny były właściwie bezużyteczne, a mogły łatwo nie wytrzymać naprężenia, na jakie zostałyby narażone, gdyby próbowano dalej podnosić maszt siłą przy pomocy windy kotwicznej.

Dla ułatwienia zadania konieczne było wykorzystanie ruchów okrętu. Hornblower obserwował je uważnie i kazał przerywać podnoszenie w chwilach, gdy okręt kołysał się mocno i szedł dziobem w dół, a gdy dziób zaczynał się wolno wynurzać ze spienionej wody i unosić w górę, rzucał naraz do akcji ludzi przy windzie kotwicznej i tych, którzy mieli wiązać ze sobą stary i nowy maszt, i ludzi przy ściągach linowych, by po chwili zastopować wysiłki wszystkich, na czas gdy dziób znów szedł w dół i olinowanie naprężało się do granic wytrzymałości. Dwa razy się powiodło, a potem jeszcze raz — chociaż za trzecim razem nieoczekiwana fala uniosła rufę „Lydii” w nieodpowiednim momencie i omal nie zepsuła wszystkiego.

Za czwartym razem udało się doprowadzić tę część zadania do końca. Maszt był teraz w pozycji niemal pionowej, tak że można już było wyzyskać wanty i paduny w ich właściwej roli i napiąć je mocno, nie przejmując się ruchami okrętu. Że zaś maszt awaryjny był dostatecznie trwale przytwierdzony do kikuta starego masztu, łatwo już było wybrać zwykłym sposobem luz want i padunów — cała trudna część zadania została więc wykonana. Hornblower, osłabły z wyczerpania, oparł się o poręcz i pomyślał, że jego ludzie muszą być chyba z żelaza, jeśli znajdują jeszcze siły, by cieszyć się, że to już prawie koniec ich wysiłków. Stojący obok Bush, z głową owiniętą kawałkiem szmaty, która przesiąkła krwią z czoła rozciętego przez spadający blok, rzekł:

— Wspaniały kawał roboty, jeśli wolno mi tak powiedzieć, sir.

Hornblower popatrzył nań ostro; znał na tyle swe słabe strony, że gratulacje zawsze budziły w nim podejrzliwość. Lecz, o dziwo, wyglądało, że Bush naprawdę szczerze myśli to, co powiedział.

— Dziękuję — odrzekł niechętnie Hornblower.

— Czy mam podnieść stengę i reje, sir?

Hornblower jeszcze raz potoczył spojrzeniem po widnokręgu. Wiatr dalej dął jak wściekły i tylko szarzejąca w dali plamka wskazywała gdzie stawia mu czoło „Natividad”. Hornblower widział, że nie ma na razie szans, aby wciągnąć więcej żagli i podjąć walkę z nie przygotowaną jeszcze do niej fregatą hiszpańską. Była to gorzka pigułka do przełknięcia. Wyobrażał sobie, co powiedzą tam, w biurach, gdy jego raport dotrze do Admiralicji. Oświadczenie, że pogoda była zbyt nieprzychylna dla wznowienia walki przez okręt, który doznał tak ciężkich uszkodzeń, zostanie przyjęte uśmiechami politowania i znaczącym kiwaniem głowami. Byłaby to równie oklepana wymówka, jak tłumaczenie błędów w nawigacji nie naniesionymi na mapę skałami. Tchórzostwo — moralne, a może nawet fizyczne — taki będzie powszechny, choć nie wypowiedziany słowami pogląd na tę sprawę; z odległości dziesięciu tysięcy mil nikt nie potrafi ocenić siły sztormu. Mógł pozbyć się części odpowiedzialności, pytając Busha o zdanie i prosząc, aby opinię swą wyraził formalnie na piśmie, lecz porzucił z gniewem myśli o zdradzeniu się ze swą słabością przed podwładnym.

— Nie—powiedział najspokojniej w świecie. —Będziemy czekali w dryfie, aż pogoda nieco się uspokoi.

Nabiegłe krwią oczy Busha spojrzały nań z admiracją. Podziwiał kapitana, że tak szybko potrafił podjąć decyzję, od której zależała jego zawodowa reputacja. Hornblower spostrzegł to, ale zły nastrój nie pozwolił mu na właściwą interpretację reakcji Busha.

— Tak jest, sir — powiedział Bush, gdy gniewne spojrzenie kapitana ostrzegło go, żeby nie rozwodził się nad tą sprawą. Ale przywiązanie do kapitana kazało mu znowu otworzyć usta: — Jeśli tak, sir, to może pan odpocznie? Wygląda pan na śmiertelnie zmęczonego, naprawdę. Jeśli pan pozwoli, każę odgrodzić dla pana koję w mesie oficerskiej.

Mówiąc to Bush spostrzegł się, że zaciska palce — omal nie poklepał kapitana po ramieniu, co byłoby niewybaczalnym błędem — ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

— Bzdury! — rzucił sucho Hornblower. Jakby kapitan fregaty mógł przyznać się publicznie do zmęczenia! A Hornblower nie chciał sobie w ogóle pozwolić na najmniejszy objaw słabości — pamiętał ciągle, jak na pierwszym dowodzonym przez siebie okręcie jego zastępca wykorzystywał odstępstwa od tej zasady.

— To raczej pan potrzebuje wypoczynku — powiedział. — Proszę zwolnić wachtę na prawej burcie, a potem niech pan idzie na dół i prześpi się. Tylko przedtem niech ktoś opatrzy panu czoło. Ja muszę zostać na pokładzie, póki mam wroga w polu widzenia.

Teraz znów nadszedł Polwheal, żeby go zamęczać — Hornblower nie umiał odgadnąć, czy zrobił to z własnej inicjatywy, czy też został przysłany przez Busha.

— Byłem tam pomóc tej damie, sir — powiedział Polwheal. Zmęczony umysł Hornblowera zaczynał się właśnie zastanawiać, co zrobić z Lady Barbarą na uszkodzonym okręcie, gotującym się do bitwy. — Oddzieliłem dla niej zasłonami kawałek miejsca na najniższym pokładzie, sir. Ranni już

przeważnie leżą cicho, sir. Rozwiesiłem jej hamak, sir — i ona tam siedzi skulona jak ptaszek, sir. I pojadła trochę, sir — co zostało z tej kury na zimno i szklaneczkę wina. Nie żeby sama chciała, to ja wyperswadowałem jej, że tak powiem.

— Bardzo dobrze, Polwheal — odpowiedział Hornblower. Było dlań ogromną ulgą słyszeć, że przynajmniej jedną odpowiedzialność zdjęto z jego barków.

— A teraz względem pana, sir — ciągnął Polwheal. — Wyciągnąłem z pańskiego kufra w składzie suche ubranie, sir. Ta ostatnia salwa burtowa zniszczyła pewnie wszystko w pana kabinie, sir. I przyniosłem panu opończę, sir. Całkiem sucha i ciepła. Czy zmieni pan ubranie tutaj, czy na dole, sir?

Hornblower uległ bez specjalnych namów ze strony Polwheala. Gdyby nie on, chodziłby w przemoczonym ubraniu przez całą noc tam i z powrotem po pokładzie rufowym, a podniecenie nerwowe nie pozwoliłoby mu pomyśleć o tym, żeby się przebrać. Polwheal wydołał skądś leżak, zrobiony poprzednio dla Lady Barbary, przywiązał go do poręczy i namówił Hornblowera, aby usiadł na nim i zjadł kolację złożoną z suchara i rumu. Potem owinął kapitana opończę, nie dziwiąc się wcale, że postanowił on tu zostać, póki nieprzyjaciel jest blisko.

I o dziwo, gdy tak siedział kołysany ruchem okrętu, a rozpylone bryzgi wody zwilżały jego twarz, w którymś momencie głowa opadła mu na piersi i usnął. Choć przerywany i niespokojny, sen działał niesłychanie odświeżająco. Co kilka minut kapitan budził się. Dwa razy powodem było własne chrapanie. Innym razem ocknął się nagle, by stwierdzić, czy pogoda nie zmienia się na lepsze, to znów myśli kłębiące się w mózgu ocuciły po z drzemki, podsuwając mu nową, przerażającą konkluzję na temat opinii Anglii i jego załogi o nim po tej bitwie.

Wkrótce po północy zbudził go instynkt żeglarski. Coś się działo z pogodą. Z trudem dźwignął z leżaka zeszywniałe ciało. Okręt kołysał się bardziej niż przedtem, lecz coś było w powietrzu, co mówiło wyraźnie, że sytuacja się poprawia. Podeszedł do kompasu, a w tejże chwili sylwetka Busha pojawiła się w ciemnościach obok niego.

— Wiatr skręca na południe, sir, i uspokaja się — rzekł Bush.

Zmiana kierunku wiatru sprawiła, że długie fale Pacyfiku załamywały się stromo; można to było wyczuć doskonale z tego, co wyprawiała „Lydia”.

— Ale wciąż ciemno, choć oko wykol, sir — narzekał Bush, wlepiając wzrok w czarność nocy.

Gdzieś w odległości dwudziestu mil, a może tylko dwustu jardów, „Natividad” walczyła z tą samą wichurą. Jeśli księżyc przedrze się przez pędzące szybko chmury, to w każdej chwili mogą stanąć przed koniecznością walki. Lecz na razie ciemność wokół nich była tak głęboka, że z pokładu rufowego ledwie mogli dojrzeć zarys grotmarsła.

— Kiedy jeszcze dało się ją widzieć, dryfowała z wiatrem znacznie szybciej niż my — rzekł Bush w zamyśleniu.

— Niech pan sobie wyobrazi, że sam to zauważyłem — burknął Hornblower.

— Jednakże choćby wichura osłabła zupełnie, nie mogli nic zrobić w tych ciemnościach. Hornblower pomyślał, że czeka ich teraz jedna z owych długich przerw, w czasie których nie ma nic do roboty, bo wszystko, co trzeba, zostało już zrobione; zawsze bardzo go irytowało, jeśli dopuścił do takich przerw, powodujących zaburzenia w rytmie życia oficera marynarki wojennej. Pomyślał, że oto ma okazję pokazać się jako człowiek o stalowych nerwach, którego nic nie jest w stanie wzburzyć. Zmusił się do ziewnięcia i rzekł zupełnie obojętnym tonem:

— Myślę, że znów się chyba prześpię. A pan może będzie łaskaw dopilnować, żeby marynarze na oku nie posnęli. I niech mnie zawołają, jak się rozjaśni.

— Tak jest, sir — odpowiedział Bush.

Hornblower wrócił na leżak i owinał się opończą.

Przeleżał bezsennie do końca nocy, zachowując taką pozycję, żeby oficerowie na rufie myśleli, iż śpi, i podziwiali spokój jego nerwów. Próbował odgadnąć, co też Crespo może planować na „Natividad”.

Okręt wroga był tak okaleczony, że nie uda mu się go chyba naprawić na morzu. Korzystniejszy byłby więc dlań powrót do zatoki Fonseca, gdzie mógłby ustawić nowy fokmaszt i podnieść nową stengę grotmasztu. Na zamkniętych wodach zatoki „Natividad” miałyby niewątpliwą przewagę nad „Lydia”, gdyby ta chciała jej przeszkodzić w naprawie; a poza tym wspomogłyby ją statki przybrzeżne, a może i baterie brzegowe. Crespo mógłby ponadto wysadzić na ląd swoich rannych i uzupełnić straty w załodze spowodowane ostatnią bitwą — nawet szczury lądowe mogłyby się przydać w rozstrzygającej walce. Crespo był człowiekiem o dostatecznej giętkości umysłu, aby nie gardzić wycofaniem się, jeśli to mogło być z korzyścią dla niego. Wątpliwości nasuwało pytanie, czy Crespo odważy się stanąć przed el Supremem po nieudanej walce.

Hornblower zastanawiał się nad tą sprawą i próbował zestawić swoją opinię o charakterze Crespa z tym, co wiedział o el Supremie. Przypomniał sobie swadę, z jaką potrafił mówić Crespo; człowiek ten był w stanie przekonać nawet el Suprema, że jego powrót do bazy przed pobiciem „Lydii” jest częścią chytrego planu, zmierzającego do tym pewniejszego zniszczenia wroga. A zatem powrót do zatoki jest dla Crespa najlepszym wyjściem z obecnej sytuacji i prawdopodobnie tak właśnie zrobi, a to oznaczało, że będzie usiłował wymknąć się „Lydii”. W takim razie będzie musiał... — umysł Hornblowera począł obliczać gorączkowo obecną pozycję „Natividad” i jej przyszły kurs. Ze względu na większy ciężar i posiadanie dwóch pokładów na pewno w nocy podryfowała dalej z wiatrem, a przecież już o zmroku była daleko po zawietrznej. Przy zmianie kierunku wiatru i osłabnięciu jego siły — co właśnie miało teraz miejsce — wkrótce będzie mogła postawić tyle żagli, na ile pozwoli jej okaleczony stan. Wiatr będzie raczej niepomysłny dla żeglugi w stronę zatoki Fonseca. Crespo uzna pewnie, że kierowanie się ku lądowi będzie niebezpieczne, gdyż „Lydia” mogłaby zająć ich od morza i zmusić do walki. A zatem „Natividad” pójdzie prawdopodobnie dalej w morze, kierując się w miarę możliwości na południe, by wejść do zatoki Fonseca, robiąc duże okrążenie z dala od lądu. W takim razie Hornblower musi obliczyć jakie będzie jego położenie o świcie. Zaczął łamać sobie nad tym głowę.

Zabrzmiało osiem dzwonów, przybiegła nowa wachta; Hornblower słyszał, jak Gerard przejmując pokład od Busha. Wiatr szybko słabnął, chociaż na morzu nie widać było jeszcze śladów uspokojenia. Gdy spojrzął w górę, niebo było jednak wyraźnie jaśniejsze — tu i ówdzie między chmurami błyskały gwiazdy. Teraz Crespo będzie mógł na pewno postawić żagle i próbować ucieczki. Nadszedł czas podjęcia decyzji. Hornblower wstał z leżaka i poszedł ku sterowi.

— Stawiamy żagle, panie Bush.

— Tak jest, sir.

Hornblower podał kurs, zdając sobie sprawę, że nie jest go wcale pewny. Mógł przecież pomylić się w obliczeniach. Każdy jard przebyty teraz przez „Lydię” mógł ją oddalać od „Natividad”, a Crespo mógł właśnie mijać ich, zdążając ku bezpiecznej przystani. I mogło się zdarzyć, że jeśli „Natividad” skryje się w zatoce Fonseca, nigdy nie uda mu się jej zniszczyć. Niektórzy przypiszą jego niepowodzenie nieudolności, a znajdzie się też wielu, którzy nazwą to tchórzostwem.

Rozdział XVII

W przejrzystym powietrzu Pacyfiku z topu masztu „Lydii” można było dostrzec okręt odległy nawet o dwadzieścia mil, czyli że obszar morza leżący w zasięgu jej obserwacji stanowił krąg o takim właśnie promieniu. W ciągu godzin, które pozostały do świtu, Hornblower usiłował obliczyć, w jakiej odległości od „Lydii” powinna być rankiem „Natividad”. Mogła być zupełnie blisko, ale równie dobrze mogła się znajdować sto pięćdziesiąt mil od nich. Czyli — jeśliby pozycja obu okrętów względem siebie zależała od czystego przypadku — prawdopodobieństwo, że „Natividad” znajdzie się o świcie w ich polu widzenia, wynosiło dokładnie niemal jeden do pięćdziesięciu. Hornblower miał więc jedną szansę na pięćdziesiąt, że zachowa swą zawodową reputację, i tylko jego umiejętności zawodowe mogły wyrównać tak niekorzystny dlań układ. Uratować go może jedynie prawidłowe przewidzenie planów wroga. Oficerowie Hornblowera równie dobrze zdawali sobie sprawę z tego jak on sam. Poprzez ciemność kapitan czuł na sobie zaciekawione spojrzenie Gerarda i ta świadomość kazała mu czekać nieruchomo na pokładzie, powstrzymując chęć przechadzania się po nim i opanowując drżenie, chociaż serce zaczynało bić szybciej, ilekroć pomyślał o zbliżaniu się świtu.

Ciemność wokół okrętu poszarzała i można już było dojrzeć jego zarysy oraz wyraźne kształty grotmarsla i fokmarsli. Za rufą w szarość nieba pojawił się leciutki ślad różowości, a wokół okrętu widać było ciężkie szare fale z białymi grzywami. Gwiazdy znikły i w otaczającej ich szarości nawykłe oko mogło już dojrzeć, co się działo w promieniu mili od okrętu. A potem, gdy „Lydia” uniosła się znów na fali, za rufą, po wschodniej stronie, ukazał się nad widnokreśm złoty punkcik, znikł, znów się pojawił i zaczął szybko rosnąć. Wschodzące słońce spijało chciwie delikatną mgiełkę wiszącą nad oceanem. Niezadługo tarcza słoneczna podniosła się w górę w całej swej okazałości i cud jutrzeńki dokonał się.

— Widać żagle! — dobiegło wołanie z topu masztu. Przewidywania Hornblowera sprawdziły się.

W odległości dziesięciu mil prosto z dziobu „Natividad” nurzała się bezwładnie w falach, a jej wygląd stanowił absolutny kontrast w stosunku do tego, czym była poprzedniego ranka. W nocy założono jakiś awaryjny takielunek. Ze złamanej stengi zrobiono prowizoryczny fokmaszt, który odchyłał się brzydko ku tyłowi, stengę grotmasztu zastąpiono wiotkim drzewcem — była to chyba bombram-stenga. Ten awaryjny takielunek dźwigał przedziwny zestaw rozmaitych żagli wciągniętych tak nieudolnie, że — jak się Bush wyraził — wyglądały „jak rozwieszane na sznurku pranie starej matki Brown”. Zadaniem ich było umożliwić okrętowi posuwanie się z wiatrem z postawionym grotem, bezanmarslem i sterzągłem.

Na widok „Lydii” okręt hiszpański obrócił ster i wykręcał, dopóki maszty nie znalazły się w jednej linii. Widać było wyraźnie, że chce uciec od fregaty.

— Wystawia się na pościg za rufą — powiedział Gerard, patrząc przez lunetę. — Chyba wczoraj dosyć dostała.

Hornblower dosłyszał tę uwagę, lecz on jeden rozumiał dobrze, co może kryć się za tym manewrem Crespa. Jeśli zwłoka w kontynuowaniu walki była dlań korzystna — a była napewno — miał ze swego punktu widzenia rację, że walkę odwlekał do ostatniej chwili. Na morzu nic się nie da przewidzieć. Coś może przeszkodzić „Lydii” w rozpoczęciu starcia, szkwał, przypadkowa utrata drzewca czy nagłe, korzystne dla „Natividad”, pojawienie się mgły — każda z tysiąca rzeczy, które mogą się zdarzyć na morzu. Wciąż istniała szansa, że „Natividad” zdoła się wymknąć, i Crespo robił wszystko, co mógł, żeby to się udało. Postępowanie takie było logiczne, chociaż niezbyt bohaterskie; właśnie takiego można się było spodziewać po Crespie.

Obowiązkiem Hornblowera było nie dać mu tej szansy. Obejrzał dokładnie „Natividad”, przebiegł wzrokiem po żaglach „Lydii”, by sprawdzić, czy wszystkie pracują, i pomyślał o swojej załodze.

— Poślijcie ludzi na śniadanie — rzekł. Każdy kapitan okrętu królewskiego starał się w miarę możliwości, żeby załoga szła do boju z pełnymi żołądkami.

Sam pozostał na pokładzie rufowym i nie mogąc już dalej ustać spokojnie, zaczął przechadzać się po nim tam i z powrotem. „Natividad” może teraz uciekać, ale był pewny, że gdy ją dopadną, będzie się bić do ostatka. Myślał z niepokojem, jak kruche poszycie „Lydii” znieśie miażdżące salwy z ciężkich dział dwudziestoczworofuntowych, ustawionych na dolnym pokładzie okrętu hiszpańskiego. „Lydia” dość od nich ucierpiała — słyszał ciągle monotony szcęk pomp usuwających wodę, która wdzierała się przez dziury od pocisków; pracowały od wczoraj bez przerwy. Mając tylko awaryjny bezanmaszt i przeciekając jak sito, mimo położenia na dnie plastra z płótna żaglowego, z sześćdziesięcioma czterema ludźmi z załogi niezdolnymi do walki, „Lydia” nie była w stanie stoczyć ciężkiej bitwy. Za skrawkiem błękitnego morza dzielącego ich od nieprzyjaciela mogła czekać okręt klęska, a jego dowódcę śmierć.

Na pokładzie rufowym pojawił się Polwheal z tacą w ręku.

— Śniadanie, sir — rzekł — bo wygląda, że o tej porze, kiedy pan zwykle je, będziemy się już bili.

Spojrzawszy na tacę podsunietą mu przez Polwheala, Hornblower zdał sobie nagle sprawę, jak bardzo potrzebował kubka gorącej kawy. Chwycił go z tacy i zaczął pić łapczywie, zapomniawszy na chwilę, że nie powinien zdradzać wobec podwładnych takiej ludzkiej słabości, jak apetyt na cokolwiek.

— Dziękuję, Polwheal — rzekł, pijąc teraz kawę małymi łydkami.

— I jeszcze, sir, Jaśnie pani pozdrawia i pyta się, czy może zostać tam, gdzie siedzi teraz, na samym dole, jak się bitwa znowu zacznie.

— Hmm — chrząknął Hornblower wyrwany z rytmu spaceru tym nieoczekiwanym pytaniem. Przez całą noc starał się zapomnieć o problemie, któremu na imię Lady Barbara, jak ktoś usiłujący zapomnieć o bólu zęba. Pokład najniższy — to znaczy, że Lady Barbara znajdzie się tuż przy rannych, że będzie ich od niej oddzielać jedynie zasłona płócienna — nie, to nie było miejsce dla kobiety. Ale nie była nim również komora lin kotwicznych. Na fregacie sposobiącej się do bitwy nie było właściwie w ogóle miejsca dla kobiety.

— Umieść ją, gdzie chcesz, żeby tylko nie była w zasięgu pocisków — powiedział zirytowanym tonem.

— Tak jest, sir. I jeszcze... Jaśnie pani kazała powiedzieć, że życzy panu dzisiaj jak najlepszego powodzenia, sir... i... że jest pewna, że odniesie pan sukces, no, tego... na jaki pan zasługuje, sir.

Polwheal wystękał to długie przemówienie w sposób świadczący o tym, że nie udało mu się wyuczyć go na tyle, żeby je wygłosić tak płynnie, jak tego pragnął.

— Dziękuję ci, Polwheal — odrzekł Hornblower posepnie. Przypomniawszy sobie twarz Lady Barbary spoglądającej wczoraj ku niemu z pokładu głównego. Rysunek jej był czysty i ostry — jak miecz. Uśmiechnął się, spostrzegłszy, że takie właśnie absurdalne porównanie przyszło mu do głowy.

— Hmm — chrząknął ze złością. Zdał sobie sprawę, że na myśl o Lady Barbarze wyraz jego twarzy złagodniał i bał się, że Polwheal mógł to zauważyć i powiązać z jej osobą. — Idź na dół i dopilnuj, żeby jej lordowskiej wysokości było tam wygodnie.

Marynarze opuszczali tłumnie mesę po śniadaniu; rytm pracy pomp stał się szybszy, gdy stanęła przy nich świeża zmiana. Obsługa dział zajęła swe stanowiska, a kilku ludzi, którzy nie mieli w tej chwili nic do roboty, stało na baku, obserwując żądnym okiem pogoń za hiszpanem.

— Sir, jak pan myśli, czy wiatr się utrzyma? — zapytał Bush, wchodząc na pokład rufowy, a jego słowa zabrzmiały jak złowróżbne krakanie ptaka. — Bo coś mi się zdaje, że słońce go połyka.

Istotnie, w miarę wznoszenia się słońca po nieboskłonie siła wiatru malała. Fale na spienionym morzu były wciąż krótkie i strome, lecz „Lydia” nie unosiła się już na nich lekko i wdzięcznie. Pozbawiona równomiernego nacisku wiatru kiwała się brzydko i podskakiwała gwałtownie. Niebo nad ich głowami szybko przybierało intensywnie niebieską, metaliczną barwę.

— Prędko ich doganiamy — powiedział Hornblower, koncentrując wzrok na ściganej fregacie, aby nie widzieć oznak zmieniającej się pogody.

— Jeszcze trzy godziny i dojdziemy ich — rzekł Bush. — Jeśli tylko wiatr się utrzyma.

Upał nasilał się szybko. Żar lejący się z nieba wydawał się gorętszy przez kontrast z chłodem ubiegłej nocy. Znużeni marynarze zaczęli szukać skrawków cienia pod schodniami, by się tam położyć. Teraz, gdy wiatr słabł, nieustanny szcęk pomp wydawał się coraz głośniejszy. Hornblower pomyślał, że nie wolno mu dopuścić do siebie myśli o znużeniu. Trwał uparcie na pokładzie rufowym, czując na plecach żar promieni słonecznych i co kilka chwil kierował lunetę w stronę „Natividad”, a Bush pilnował trzymowania żagli, w miarę jak wiatr zaczynał się załamywać.

— Steruj lepiej, u diabła! — wrzasnął na sternika, gdy dziób okrętu zapadł się w dolinę fali.

— Nie da rady, sir, za przeproszeniem — brzmiała odpowiedź. — Za mało wiatru.

To była niestety prawda. Wiatr przycichł do tego stopnia, że „Lydia” nie mogła nawet utrzymać szybkości dwóch węzłów, koniecznej dla zapewnienia sterowności.

— Trzeba zwilżyć żagle. Panie Bush, proszę się tym zająć — powiedział Hornblower.

Kilku ludzi z wachty posłano do wykonania tego zadania. Namoknięte żagle chwytają wiatr lepiej niż suche. Przeciągnięto liny przez bloki na rejach i polewano płótna wodą morską, wciągana w kubłach na górę. Słońce grzało silnie i parowanie było tak gwałtowne, że wiadra musiały być wciąż w ruchu. Do szczęku pomp doszedł teraz pisk krążków linowych. W oślepiającym blasku słońca „Lydia” wlokła się wciąż, ryjąc wściekle dziobem rozhuśtane morze.

— „Natividad” tańczy na wszystkie strony — powiedział Bush, wskazując kciukiem fregatę hiszpańską. — Nie może się równać z naszą ślicznotką. Ten nowy takielunek też jej nic nie pomoże.

„Natividad” obracała się bezradnie to dziobem, to rufą do fali, ukazując raz burty, to znów wszystkie trzy maszty w jednej linii, niezdolna utrzymać żadnego kursu przy tak słabym powiewie. Bush spojrzął z dumą na swój nowy bezanmaszt, z rozpiętą na nim piramidą płócien, a potem przeniósł wzrok na „Natividad” chwiejącą się na wodzie w odległości niespełna pięciu mil. Minuty wlokły się wolno, a ich mijanie odmierzały jedynie monotonne odgłosy towarzyszące życiu na okręcie. Hornblower stał w skwarnej słońcu, bębniąc palcami w lunetę.

— Na Boga, wiatr wraca! — zawołał nagle Bush. Powiew stał się na tyle silny, że lekko przechylił okręt i obudził nikły szmer w takielunku. — Odstawić wiadra!

„Lydia” szła wolno naprzód, to zapadając się w wodę, to wznosząc w miarę ruchu fal pod jej dziobem. A „Natividad” była wyraźnie coraz bliżej.

— Zaraz dojdzie i do nich! Tam! Co, nie mówiłem?

W chwilę później wiatr dotarł istotnie do „Natividad” i wypełnił jej żagle. Mogła teraz naprostować kurs.

— Im to nie pomoże tyle co nam. Rany, żeby tylko dalej tak wiało — rzekł Bush.

Powiew załamał się, lecz po chwili wrócił. Gdy fala uniosła „Natividad”, można było ją zobaczyć gołym okiem. Jeszcze godzina — a może mniej — i znajdzie się w ich zasięgu.

— Zaraz spróbujemy poczęstować ją z długich dział — odezwał się Bush.

— Panie Bush — zauważył kostycznie Hornblower — potrafię ocenić sytuację bez pomocy pańskich uwag, choćby były bardzo głębokie.

— Przepraszam, sir — odrzekł Bush. Poczul się dotknięty i gniewny rumieniec oblał mu twarz, lecz zobaczywszy niepokój w zmęczonych oczach kapitana odszedł ku przeciwległej poręczy, by tam ochłonać z rozdrażnienia.

Jak gdyby reagując na uwagę Hornblowera wielkie płótnisko grota załopotalo raz głośno, jak wystrzał z działa. Wiatr cichł tak samo bez powodu, jak przedtem się zaczął. A „Natividad” wciąż jeszcze miała go w żaglach i szła tym samym równym kursem, oddalając się, znowu wspomagana zmiennym powiewem. Tu, w tropikalnej części Pacyfiku, jeden statek może mieć wiatr pomyślny, gdy drugi, oddalony zaledwie o dwie mile, leży unieruchomiony ciszą; teraz na przykład wzburzone morze kołyszące ich okrętem wskazywało, że huragan, który szalał tu ubiegłej nocy, wciąż dmie gdzieś za horyzontem, po drugiej stronie zatoki Tehuantepec. Hornblower kręcił się niespokojnie pod skwarnym słońcem. Bał się, że zobaczy, jak „Natividad” znika mu z oczu; wiatr ucichł do tego stopnia, że nie było sensu zwilżać żagli, i „Lydia” kołysała się i dryfowała bezradnie, nurzając się dziobem w fali. Minęło dziesięć minut, zanim widok „Natividad” zachowującej się w podobny sposób przywrócił mu spokój.

Teraz już wiatr ustał zupełnie. „Lydia” tańczyła na falach jak oszalała przy akompaniamencie spazmatycznego skrzypienia drewnianych części, łopotania żagli i klekotu bloków. Tylko szczeńk pomp rozlegał się nieustannie w upalnym powietrzu. „Natividad” znajdowała się w odległości czterech mil — półtorej mili poza zasięgiem dział „Lydii”.

— Panie Bush — rzekł Hornblower. — Będziemy holować łodziami. Niech opuszczą barkas i kuter.

Bush spojrział na kapitana z powątpiewaniem. Bał się, że tamci mogą pójść w ich ślady. Ale po chwili uświadomił sobie to, o czym Hornblower pomyślał już wcześniej, że zgrabny kadłub „Lydii” będzie bardziej podatny na holowanie niż niezdarna masa „Natividad”. W dodatku po bitwie fregata hiszpańska mogła zostać bez żadnej łodzi zdolnej do unoszenia się na wodzie. Obowiązkiem Hornblowera było próbować wszelkich sposobów, które mogły doprowadzić do zmierzenia się z wrogiem.

— Szalupy na wodę! — ryknął Harrison. — Załoga kutra, załoga barkasa do łodzi!

Gwizdki służbowych poparły ten rozkaz. Marynarze wybrali talie; podniesiono kolejno obie łodzie, wychylono za burtę i opuszczano na wodę, podczas gdy ich załogi odpychały łodzie od burty w miarę przechyłów bocznych „Lydii” na martwej fali.

Teraz dla załóg łodzi zaczął się czas niezwykle wyczerpującej i nerwowej pracy. Holowali „Lydię”, wyężając wszystkie siły przy wiosłach, i masywne łodzie szły naprzód przez wzburzone fale, aż napięte do granic wytrzymałości liny holownicze dawały o tym znać silnymi szarpnięciami. A wtedy — chociaż ciągnęli ile sił — wydawało się, że stoją w miejscu i pióra wiosel bezsilnie pieniały błękitną wodę, zanim „Lydia” raczyła posunąć się odrobinę do przodu. Wtedy cykl zaczynał się od nowa. Spienione fale bardzo utrudniały wiosłowanie — chwilami wszyscy ludzie, wiosłujący po jednej stronie, naraz „łapali szczupaka” i wówczas łódź zaczynała się kręcić wokół swej osi i przeszkadzać drugiej — a „Lydia”, tak wdzięczna i zwrotna pod żaglami, w czasie holowania zmieniała się w parszywą sukę.

Zbaczała z kursu i myszkowała, opadając w doliny fal czasem tak nisko, że przyciągała rufy kutra i barkasa do swego dziobu, aż spod wiosel zagarniających wodę szły wielkie bryzgi; to znów dla odmiany ruszała tak szybko w ślad za obu holami, że wiosłarze, napierający na wiosła całym swym ciężarem, nie napotkawszy spodziewanego oporu wody, omal nie spadali z ławek i wtedy łodziom groziło rozbicie przez dziób okrętu.

Siedzieli półnaczy na ławach, a pot ciekł strumieniem po ich twarzach i piersiach i nie mogli nawet, jak ich koledzy przy pompach, zapomnieć o zmęczeniu wskutek odrętwienia powodowanego monotonią pracy. Tu każdy moment wymagał czujności, uwagi i uciążliwej pracy przy wiosłach, a strasznego pragnienia nie mogły ugasić niewielkie ilości wody skąpo wydzielane przez siedzących na rufie podoficerów. Wiosłowali, aż dłonie stwardniałe w ciągu lat ciężkiej pracy na morzu pękały i pokrywały się pęcherzami, tak że dotknięcie wiosel stawało się torturą.

Hornblower wiedział doskonale, jak straszliwie się męczą. Przeszedł na dziób i spojrzął w dół na utrudzonych marynarzy, zdając sobie sprawę, że jego własne ciało nie wytrzymałoby takiego wysiłku nawet przez pół godziny. Dał rozkaz, by wiosłarze zmieniali się co godzina, i robił co mógł, żeby podnieść ich ducha. Odczuwał nawet niejakię współczucie dla tych ludzi — trzy czwarte z nich po raz pierwszy znalazło się na morzu w charakterze marynarzy, i to niedobrowolnie; siedem miesięcy temu zostali przymusowo wcieleni do marynarki. Hornblowerowi udawało się zwykle (choć mimo woli) to, czego nie potrafili przeważnie jego oficerowie — umiał sobie wyobrazić swoich ludzi nie jako marynarzy czy pomocników okrętowych, ale jako tych, kim byli, zanim nie wzięto ich przemocą na pokład — sztauerami, przewoźnikami, tragarzami.

Miał wśród załogi byłych woźniców i garncarzy, a nawet dwóch sprzedawców towarów łokciowych i drukarza; ludzi oderwanych bez uprzedzenia od rodzin i od normalnej pracy i zmuszanych do niezwykle ciężkich wysiłków, przy parszywym pożywieniu, w strasznych warunkach, ściąganych nieustannie obawą przez ketem[32] lub trzcina Harrisona i na domiar wszystkiego narażonych na utonięcie lub śmierć z rąk nieprzyjaciela. Indywidualista z taką wyobraźnią jak Hornblower musiał czuć dla nich współczucie nawet wtedy, gdy uważał, że nie powinien, szczególnie że (podobnie jak inni nieliczni liberałowie) z biegiem lat stawał się coraz bardziej liberalny. Lecz uczuciu temu przeciwstawiało się niespokojne, nerwowe dążenie, aby dobrze wykonać każde zadanie, jakie sobie postawił. Mając „Natividad” w polu widzenia nie mógł spocząć, póki jej nie zwiąże walką, a gdy kapitan okrętu nie może odpocząć, to oczywiście i jego załoga — niezależnie od tego jak bardzo bolą plecy lub krwawią dłonie.

Po upływie godziny, zmierzyszy starannie kąty przy pomocy sekstansu, mógł już powiedzieć

z całą pewnością, że dzięki wysiłkom swych załóg łodzie podciągnęły „Lydię” nieco bliżej ku „Natividad”, a Bush, który też robił pomiary, twierdził to samo. Słońce wznosiło się coraz wyżej, a „Lydia” centymetr po centymetrze pełzła w stronę nieprzyjaciela.

— „Natividad” opuszcza łódź, sir — zawołał Knyvett ze szczytu przedniego masztu.

— Ile wiosła?

— Chyba dwanaście, sir. Biorą okręt na hol.

— Niech sobie biorą — odezwał się drwiąco Bush. — Dwanaście wiosła nie pociągnie daleko tej starej balii.

Hornblower spojrział na niego i Bush wycofał się na swoją stronę pokładu rufowego; zapomniał, że kapitan nie jest w nastroju do rozmowy. Nerwy Hornblowera były napięte do granic wytrzymałości. Stał w skwarzym słońcu, a fale gorącego powietrza od rozgrzanego pokładu pod stopami były mu w twarz. Przepełniona koszula drażniła skórę. Czuł się uwięziony, jak dzika bestia w klatce, w obrębie ograniczeń stwarzanych przez drobiazgi natury praktycznej. Nieustanny szcęk pomp, kołysanie się okrętu, skrzypienie takielunku, odgłosy wiosła trących o dulki—to wszystko przywodziło go niemal do obłędu, tak że najmniejszy dodatkowy bodziec mógł sprawić, że zacznie krzyczeć lub łkać.

W południe zmienił ludzi przy wiosłach i pompach i posłał załogę na obiad — wspomniał z goryczą, że już na śniadanie posyłał ich w przewidywaniu natychmiastowej bitwy. Po wybiciu dwóch dzwonów zaczął się zastanawiać, czy najdalej niosące działo dosięgłoby już „Natividad”, lecz sam fakt, że się zastanawiał nad tym, świadczył, iż byli jeszcze za daleko. Zbyt dobrze znał swoje usposobienie sangwinika, toteż opanował pokusę, która mogła ich tylko narazić na stratę kul i prochu. A potem, gdy już po raz tysięczny przyłożył do oczu lunetę, zobaczył nagle, że nad wysoką rufą „Natividad” pojawił się krążek bieli. Krążek rozpostarł się w rozrzedzoną chmurkę, a w sześć sekund po jego pojawieniu się dobiegł ich głuchy odgłos strzału. „Natividad” chciała widocznie wypróbować zasięg.

— „Natividad” ma na rufie dwie osiemnastofuntówki o dalekim zasięgu — powiedział Gerard do Busha na tyle głośno, że Hornblower to usłyszał. — Trudny orzech do zgryzienia dla ścigających.

Hornblower już zdążył to sobie uświadomić. Przez co najmniej godzinę będzie wystawiony na silny ostrzał z tych dwóch armat, zanim będzie mógł użyć swego dziewięćfuntowego mosiężnego działka na baku. Następny kłęb dymu z „Natividad” i tym razem Hornblower zobaczył fontannę wody strzelającą z grzbietu fali w odległości pół mili. Lecz przy działach bijących tak daleko i na tak wzburzonym morzu nie znaczyło to bynajmniej, że „Lydia” znajdowała się wciąż pół mili poza zasięgiem „Natividad”. Hornblower usłyszał jak nadlatuje następny pocisk i ujrzał niski strumień wody, który wystrzelił w górę nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od prawej burty „Lydii”.

— Panie Gerard — powiedział. — Proszę posłać po pana Marsha; zobaczymy, co będzie mógł zrobić dalekonośną dziewięćfuntówką z dziobu.

Nastrój ludzi poprawi się, jeśli od czasu do czasu usłyszą huk własnego działa, zamiast biernego znoszenia ostrzału z okrętu nieprzyjacielskiego. Z ciemności magazynu wyszedł Marsh kołyszącym się krokiem i mrugał oślepiiony ostrym blaskiem słońca. Zmierzywszy okiem odległość między obydwojma okrętami, potrząsnął głową z powątpiewaniem, lecz kazał przygotować działo i własnoręcznie z lubością je załadował. Odmierzył pełną ilość prochu i przez kilka sekund wybierał w skrzyni najlepszą i najbardziej okrągłą kulę. Potem naprowadził starannie lufę na cel i stanął obok ze sznurem do odpalania w dłoni, obserwując wznoszenie się okrętu i zanurzenie dziobem w fali, a tymczasem z tuzin chyba lunet skierowało się na „Natividad” i wszystkie oczy śledziły, gdzie padnie pocisk. Nagle Marsh szarpnął za sznur i armata huknęła, a odgłos wystrzału odbił się matowym echem w nieruchomym, rozgrzanym powietrzu.

— Dwa kable za ich rufą — krzyknął Knyvett ze szczytu fokmasztu. Hornblower nie zauważył pluśnięcia — jeszcze jeden dowód braków w edukacji morskiej, pomyślał, lecz ukrył ten fakt pod maską niewzruszoności.

— Panie Marsh, spróbujcie jeszcze raz — rzekł.

Teraz „Natividad” waliła już z obu dział rufowych naraz. W chwili gdy Hornblower wydał rozkaz, jedna z kul osiemnastofuntowych uderzyła z trzaskiem w „Lydię”, tuż nad linią wody. Usłyszał jak na dole w barkasie młody Savage klnie przeraźliwie, popędzając ludzi przy wiosłach — pocisk musiał przelecieć tuż nad jego głową. Marsh pogłaskał się po brodzie i przystąpił do ponownego załadowywania dalekonośnej dziewięcioletki, a tymczasem Hornblower pogrążył się w rozważaniu szans, jakie mogli mieć w bitwie.

Ta długa dziewiątka, chociaż mniejszego kalibru, biła dalej niż krótkolufę działo z pokładu głównego, natomiast wielkokalibrowe karonady, stanowiące połowę uzbrojenia „Lydii”, były dobre tylko przy krótkim zasięgu. A zatem, aby zaatakować skutecznie, „Lydia” musi podejść blisko do nieprzyjaciela. Lecz między chwilą, w której „Natividad” będzie w stanie wprowadzić wszystkie swe działa do akcji, i momentem, od którego „Lydia” będzie mogła się rewanżować, nastanie długa i niebezpieczna dla „Lydii” przerwa. Będą zabici, może jakieś zniszczone działa, poważne straty. Hornblower wahał się argumenty za i przeciw, wciąż dążąc do zwarcia z przeciwnikiem, a Marsh zmrużonymi oczyma patrzył przez przyrząd celowniczy dziewięcioletki. W pewnej chwili Hornblower potoczył groźnie okiem i przestał szarpać podbródek. Podjął decyzję. Zaczął bój i będzie go toczyć do końca, choćby miało go to kosztować nie wiem ile. Jego umysł, tak zwykle giętki, potrafił stężeć w ponurym uporze.

Z dziewięcioletki działa „Lydii” buchnął strzał, jak gdyby oznajmiając tę decyzję.

— Przy samej burcie! — krzyknął triumfująco Knyvett z topu fokmasztu.

— Dobra robota, panie Marsh — rzekł Hornblower i Marsh pogładził brodę z zadowoleniem.

Teraz kanonada z „Natividad” nasiliła się. Trzy razy głośny odgłos pęknięcia oznajmił, że pocisk był celny. I nagle Hornblower zachwiał się, jakby pchnięty niewidzialną ręką, a uszy jego napełnił krótki, przeszywający dźwięk. Odbity rykoszetem pocisk wyorał bruzdę w poszyciu pokładu rufowego. Jakiś żołnierz siedział przy relingu, gapiąc się z ogłupiałą miną na swoją lewą nogę, która

na końcu nie miała już stopy, a inny upuścił z trzaskiem muszkiet i zakrył dłońmi rozdartą pociskiem twarz; pomiędzy palców płynęła krew.

— Czy pan jest ranny, sir? — zawołał Bush, rzuciwszy się w stronę kapitana.

— Nie.

Hornblower odwrócił się i patrzył przez lunetę na okręt nieprzyjacielski, a tymczasem rannych usuwano spiesznie z pokładu. Dojrzał przy burcie „Natividad” ciemny punkcik, który się poszerzał i wydłużał. Była to łódź, spuszczone na wodę w zamiarze holowania okrętu — być może zrezygnowali już z tego, lecz nie wciągano jej jeszcze. Przez sekundę Hornblower zastanawiał się, co to mogło oznaczać. Miał teraz przed oczyma okaleczone fokmaszt i grotmaszt „Natividad”. Łódź z trudem obracała okręt, żeby umożliwić pełną salwę burtową. Wkrótce „Lydia” znajdzie się w ogniu nie dwóch, lecz dwudziestu pięciu dział.

Hornblower poczuł, że jego oddech staje się szybszy i musiał przełknąć ślinę, żeby się uspokoić. Puls też miał przyspieszony.

Trzymał lunetę przy oczach, aż się upewnił, jaki manewr wykonuje nieprzyjaciel, a potem swobodnym krokiem poszedł ku schodni. Zmusił się, by wyglądać niefrasobliwie i beztrosko; wiedział, że ci durnie, którymi dowodzi, będą z większym zapalem walczyć dla takiego kapitana.

— Chłopcy, gotują się tam na nas — rzekł. — Za chwilę posypią się kamyki. Pokażmy im, że Anglicy nic sobie z tego nie robią.

Tak jak się spodziewał, powitali te słowa gromkimi okrzykami. Znów popatrzył przez lunetę na „Natividad”. Obracała się dalej, bardzo powoli — trzeba było sporo czasu, żeby w martwej ciszy obrócić ciężki dwupokładowiec. Ale już można było rozróżnić każdy z trzech masztów oddzielnie i dojrzeć skrawek szerokich białych pasów, którymi ozdobiona była burta okrętu.

— Hmm — powiedział.

Przed sobą słyszał skrzypienie wiosł; utrudzeni marynarze w łodziach holowali „Lydię” do starcia z nieprzyjacielem. Po drugiej stronie pokładu grupka oficerów, wśród których byli Bush i Crystal, rozprawiała uczenie, jaki procent strzałów z „Natividad” może być celny na odległość mili. Robili to z absolutnie zimną krwią, do czego on sam nigdy nie byłby zdolny. Nie bał się tak bardzo śmierci — na pewno mniej niż klęski i litościwej pogardy ze strony kolegów. Kalectwo było tym, czego w głębi duszy najbardziej się obawiał. Były oficer marynarki wojennej kuśtykający na dwóch drewnianych nogach mógł być przedmiotem współczucia, kimś, na czyj temat wygłasza się oklepane frazesy o bohaterskich obrońcach Brytanii — lecz mimo wszystko byłby postacią śmieszną. Hornblower nie mógł znieść myśli, że może być śmieszny. A przecież może stracić nos czy kawałek policzka, co go tak oszpeci, że ludzie nie będą mogli znieść jego widoku. Na tak straszną myśl wstrząsnął nim dreszcz. Patrzył dalej przez lunetę, ale perspektywa ta była tak okropna, że nie mógł odegnąć myśli, co będzie musiał znieść, jeśli zostanie ranny; o potwornych mękach w ciemności kokpitu, gdzie by leżał zdany na łaskę tego idioty Lauriego.

Nagle „Natividad” znikła, spowita kłębamii dymu, a w kilka sekund później salwa burtowa rozdarła powietrze i wodę i runęła na „Lydię”.

— Najwyżej dwa celne — powiedział Bush lekkim tonem.

— A nie mówiłem! — rzekł Crystal. — Ten ich kapitan powinien obejść wszystkie działa i własnoręcznie każde nacelować.

— Skąd pan wie, że tego nie zrobił? — spytał Bush.

Jakby stawiając kropę nad „i”, dziewięciofuntowe działo na dziobie „Lydii” rzuciło swoje wyzwanie. Hornblowerowi wydało się, że jego wyteżony wzrok dostrzegł odłamki przelatujące nad śródkręciem „Natividad”, chociaż nie było to raczej możliwe z tej odległości.

— Świetny strzał, panie Marsh! — zawołał. — Dobrze ich pan wymacał!

„Natividad” wysyłała z burty salwę za salwą i pociski co chwila omiatały pokłady „Lydii” od końca do końca. Znow leżały tam ciała zabitych, a rannych wyjących z bólu wleczono na dół.

— Dla kogokolwiek, kto ma choć trochę pojęcia o matematyce — powiedział Crystal — jest sprawą jasną, że każde z ich dział jest nastawiane przez kogo innego. Inaczej nie byłoby tak dużego rozrzutu.

— Nonsens! — upierał się Bush. — Zauważcie tylko, ile czasu mija między poszczególnymi salwami. Akurat tyle, ile trzeba, żeby jeden człowiek mógł nacelować wszystkie armaty. W przeciwnym razie cóż by robili w tym czasie?

— Załoga złożona z samych diegów... — zaczął Crystal, lecz przeraźliwy gwizd pocisku armatniego tuż nad jego głową uciszył go na moment.

— Panie Galbraith! — zawołał Bush. — Niech pan każe spleść zerwany padun grotmasztu. — Potem odwrócił się do Crystala i zapytał z triumfem w głosie: — Czy zauważył pan, że wszystkie pociski z tej salwy poszły górną? Jak umysł matematyczny wytłumaczy ten fakt?

— Strzelali na wstępującej fali, panie Bush. Naprawdę, panie Bush, wydaje mi się, że po Trafalgarze...

Hornblower pragnął przerwać ten spór, który drażnił mu nerwy, lecz nie mógł okazać się aż takim tyranem.

W spokojnym powietrzu dym z dział „Natividad” osnuł okręt, wynurzający się zeń chwilami jak zjawia, i na tle czystego nieba widoczny był tylko wyraźnie samotny top bezanmasztu nad chmurą dymu.

— Panie Bush — zapytał Hornblower — jak pan sądzi, ile nas od nich teraz dzieli?

Bush ocenił starannie odległość.

— Powiedziałbym, że jakieś trzy czwarte mili, sir.

— Raczej dwie trzecie, sir — odezwał się Crystal.

— Pana nie pytałem o zdanie, panie Crystal — powiedział ostro Hornblower.

Przy odległości trzech czwartych, niech by nawet dwóch trzecich mili, ostrzał z wielkokalibrowych karonad „Lydii” będzie jeszcze nieskuteczny. Muszą dalej znosić biernie salwy z „Natividad”. Sądząc po rozkazach, jakie Bush wydał w następnej chwili, był on również tego samego zdania.

— Czas zmienić ludzi przy wiosłach — powiedział i poszedł dopilnować zmiany. Hornblower słyszał, jak zagania świeżą załogę do łodzi, spiesząc się podjąć holowanie, zanim „Lydia” zdąży stracić ten niewielki odcinek, o który zdołała się posunąć naprzód.

Słońce paliło niemiłosiernie, mimo że południe dawno już minęło. Odór krwi rozlanej na pokładzie mieszał się z wonią rozgrzanej smoły uszczelniającej pokład i zapachem prochu dziewięcioletniej armaty, z której Marsh nieustannie raził nieprzyjaciela. Hornblower poczuł, że jest mu niedobrze. Mdłości były tak silne, że ogarnęła go obawa, iż mógłby skompromitować się raz na zawsze wymiotując na oczach całej załogi. Osłabiony zmęczeniem i niepokojem silniej odczuwał kołysanie i kiwanie się okrętu pod stopami. Zauważył, że ludzie przy działach przycichli — przez długi czas śmiali się i żartowali, lecz po sromotnych cięgniach, jakie dostawali od wroga, zaczęli się poddawać ponuremu nastrojowi. To nie był dobry znak.

— Niech Sullivan weźmie swoje skrzypce i przyjdzie tutaj — rozkazał Hornblower.

Rudowłosy zwariowany Irlandczyk przyszedł na rufę i drapiąc się w głowę stał przed kapitanem ze skrzypcami i smyczkiem pod pachą.

— No, Sullivan, zagraj nam — rozkazał Hornblower. — Hej tam, ludzie, który z was najlepiej tańczy hornpipe'a[33]?

Nie było zgodnego zdania na ten temat.

— Benskin, sir — odezwało się kilka głosów.

— Hali, sir — mówili inni.

— Nie, MacEvoy, sir.

— Więc zrobimy turniej — zdecydował Hornblower.

— Benskin, Hali, MacEvoy, chodźcie tutaj. Niech każdy zatańczy hornpipe'a, a ten, który zrobi to najlepiej, dostanie gwineę.

Później przez lata opowiadano, jak to marynarze z „Lydii” tańczyli hornpipe'a na głównym pokładzie w czasie, gdy holowano okręt do boju. Cytowano to jako dowód chłodnej odwagi

Hornblowera, ale tylko on jeden wiedział, jak mało było w tym prawdy. Uczynił to, żeby rozładować napięcie załogi i poprawić jej nastrój. I nikomu nie przyszło do głowy, że kapitan z trudem powstrzymał wymioty, widząc jak Hali, obryzgany odpryskami mózgu marynarza zabitego przez pocisk, który wpadł przez przednią furkę strzelniczą, ani na moment nie zaprzestał tańca.

Jeszcze tegoż straszliwego popołudnia od przodu dobiegł trzask, a potem zza burty rozległ się chór krzyków i jęków.

— Barkas zatopiony, sir! — krzyknął Galbraith z dziobu. Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, Hornblower był już przy nim.

Silne uderzenie pocisku roztrzaskało barkas na drzazgi, a ci z załogi, którzy ocaleli, utrzymywali się z trudem na falach i w szalonym strachu przed rekinami usiłowali osiągnąć watersztagu albo wdrapać się na kuter.

— Diegowie oszczędzili nam trudu wciągania barkasa — powiedział głośno Hornblower. — A teraz jesteśmy już dosyć blisko, żeby poczuli nasze zęby.

Słowa te wywołały okrzyki otaczających go ludzi.

— Panie Hooker! — zawołał do kadeta w kutrze. — Jak już pan wyłowi tych ludzi, niech się pan łaskawie usunie na prawą burtę. Otwieramy ogień.

Powiedziawszy to, Hornblower poszedł z powrotem na pokład rufowy.

— Prawo na burtę! — zawołał do sternika. — Panie Gerard, niech pan pierwszy otworzy ogień, jak tylko pańskie działa znajdą się w linii celu.

Bardzo wolno „Lydia” wykonywała obrót, tak że zanim zdążyła go zakończyć, dostała jeszcze jedną salwę burtową z „Natividad”. Ale Hornblower niemal jej nie zauważył. Skończył się okres bierności. Doprowadził swój okręt na odległość czterystu jardów od nieprzyjaciela i teraz obowiązkiem jego było chodzić po pokładzie, dając ludziom przykład odwagi. Już nie musiał głowić się nad podejmowaniem jakichkolwiek decyzji.

— Odwiedz spusty! — krzyknął Gerard na śródokręciu.

— Powoli, panie Hooker. Dosyć! — zawołał Hornblower grzmiącym głosem.

„Lydia” obracała się cal po calu, a Gerard obserwował zmrużonymi oczyma jedno z dział burtowych, żeby złapać moment, w którym znajdzie się ono w linii celu.

— Cel! — krzyknął i cofnął się, odczekując, aż okręt zejdzie z dużej fali. — Ognia!

Dym skłębił się, zagrzemiał huk salwy i „Lydia” zakołysała się od odrzutu dział.

— Dajcie im jeszcze, chłopcy! — krzyczał Hornblower poprzez zgiełk. Teraz, gdy bitwa się już zaczęła, poczuł, że ogarnia go uczucie szczęścia i radosnego podniecenia; zapomniał nawet o

swych obawach przed kalectwem. W trzydzieści sekund załadowano ponownie działa, natoczono i oddano z nich salwę. I jeszcze raz i znowu, i znowu — na każdorazowy znak Gerarda, obserwującego kołysanie się okrętu. Hornblower naliczył pięć salw z „Lydii” i w tym samym czasie tylko dwie z „Natividad”. Takie tempo strzelania zrekompensuje z nadwyżką większą liczbę i cięższy kaliber dział stanowiących uzbrojenie „Natividad”. Przy szóstej salwie któreś działo wystrzeliło o sekundę przed podaniem komendy przez Gerarda. Hornblower skoczył ku przodowi, by stwierdzić, która obsługa zawiniła. Nie było to rzeczą trudną, bo winowajcy udawali bardzo zajętych, oglądając się przy tym ukradkowo. Pogroził im palcem.

— Hej, wy tam! Uważać! — zawołał. — Wychłosczyć następnego, który odda strzał za wcześniej.

Przy tak długim dystansie koniecznością było zgranie czynności wykonywanych przez obsługę dział, gdyż w tym upale i podnieceniu towarzyszącym bitwie nie było gwarancji, że działonowi zajęci ładowaniem i naprowadzaniem luf na cel ocenią właściwie ruchy okrętu.

— Poczciwy stary Horny! — wrzasnął ktoś piskliwie na dziobie. Słowa te skwitowano wybuchem śmiechu i okrzykami, które przerwał Gerard dając znów sygnał do strzału.

Dym zgęstniał wokół okrętu — jak we mgle londyńskiej z pokładu rufowego nie można było rozpoznać na baku pojedynczych ludzi. W nienaturalnych ciemnościach spowodowanych kłębam dymu widać było długie pomarańczowe błyski z dział, chociaż ponad nimi świeciło jasno słońce. „Natividad” znikła pod chmurą dymu — sterczała z niej tylko jedna stenga masztu. Na „Lydii” gęsty dym piekł oczy, drażnił płuca i powodował nieprzyjemne swędzenie skóry.

Hornblower spostrzegł Busha obok siebie.

— „Natividad” poczuła nasz ogień, sir! — zawołał Bush poprzez zgiełk. — Strzelają jak wściekli. Niech no pan tam spojrzy, sir!

Z całej salwy burtowej najwyżej jeden lub dwa pociski były celne. Z pół tuzina plusnęło na raz w morze za rufą „Lydii”; fontanna wody bryzgnęła aż na pokład rufowy i oblała ich obu. Hornblower kiwnął głową uszczęśliwiony. Dobrze zrobił, że czekał, aż zbliżą się na tę odległość, i podjął związane z tym ryzyko.

Aby utrzymać szybki i celny ogień pośród tego zgiełku, dymu, przy ponoszonych stratach i zamieszaniu towarzyszącym bitwie na morzu, trzeba było dyscypliny i umiejętności na poziomie, którym załoga „Natividad”, jak wiedział, nie mogła się poszczycić.

Spojrzał w dół poprzez dym na główny pokład „Lydii”. Na widok chłopców biegnących spiesznie z wiadrami pełnymi kul, wściekłego wysiłku obsługi dział, stosu zabitych i rannych, ciemności i zgiełku niedoświadczone oko mogło odnieść wrażenie, że ma przed sobą absolutny bałagan, lecz Hornblower wiedział, że tak nie jest. Wszystko, co się działo, każda pojedyncza czynność była częścią planu obmyślanego przezeń siedem miesięcy temu, gdy obejmował służbę na „Lydii”. Wszystkie szczegóły zostały wbite w pamięć załogi w czasie długich i uciążliwych ćwiczeń.

Widział Gerarda stojącego przy grotmaszcie; w uniesieniu bitewnym wyglądał niemal jak święty — strzelanie było równie wielką pasją Gerarda jak kobiety; widział kadetów i podoficerów, każdego przy działach na swoim odcinku, wpatrzonych w Gerarda w oczekiwaniu na rozkazy i pilnujących, aby działa ich pracowały rytmicznie; działonowych ze stemplami, kanonierów z wyciorami i celowniczych przykucniętych przy zamkach z uniesionymi prawicami.

Bateria na lewej burcie straciła już większość ludzi z obsługi; pozostało po dwóch na dział. Stali w pogotowiu i tylko czekali, żeby skoczyć do akcji, jeśli koleje bitwy przywiodą cel przed ich działa. Reszta pełniła swoje obowiązki na okręcie — zastępując zabitych na prawej burcie, harując przy pompach, których strudzony szcęk można było słyszeć nieustannie poprzez zgiełk bitewny, czekając w kutrze z dłońmi na wiosłach lub ciężko pracując w górze przy naprawie takielunku. Hornblower zdążył nawet pomyśleć z wdzięcznością o tych siedmiu miesiącach czasu, które mu dano na doprowadzenie załogi do obecnego poziomu dyscypliny i sprawności.

Coś — może wstrząsy spowodowane salwami dział, lekki powiew wiatru czy działanie fal morskich — spowodowało, że „Lydia” odwróciła się nieznacznie od nieprzyjaciela. Hornblower zorientował się, że konieczność ciągłego obracania dział i nastwiania ich na coraz większy namiar sprawiała, iż tempo strzelania stało się wolniejsze. Wbiegł na koniec bukszprytu. Pod nim, w kutrze, Hooker i jego ludzie obserwowali przebieg walki.

— Panie Hooker, proszę obrócić dziób o dwa rumbly w prawo.

— Tak jest, sir.

Ludzie pochylili się ku wiosłom i skierowali łódź w stronę „Natividad”; lina holująca „Lydię” napięła się, a tymczasem następna źle wycelowana salwa burtowa wyrzuciła dookoła nich fontanny spienionej wody. Przy największym wysiłku obróca okręt na czas. Hornblower zostawił ich i pospieszył na pokład rufowy. Dopadł go tam chłopiec okrętowy z pobladłą twarzą.

— Przysłał mnie pan Howell, sir. Pompę łańcuchową prawej burty rozbiło na amen.

— Tak? — Hornblower wiedział, że cieśla okrętowy Howell nie przysyłałby mu gońca z samą tylko złą wieścią.

— On ustawia drugą, sir, ale to zajmie z godzinę, sir, zanim ona zacznie pracować. Kazał mi powiedzieć panu, że woda troszeczkę przybiera, sir.

— Hmm — chrząknął Hornblower. Dzieciak stał się teraz śmielszy, gdy minęło pierwsze wrażenie spowodowane tym, że mówi z samym kapitanem.

— Sir, tam, koło tej pompy rozerwało na kawałki czternastu ludzi. To strasznie okropne, sir.

— Doskonale. Biegnij do pana Howella i powiedz mu, że kapitan jest pewny, iż uda mu się zamontować nową pompę.

— Tak jest, sir.

Chłopiec rzucił się w stronę pokładu głównego. Hornblower patrzył, jak biegnie wymijając w ciasnej, zatłoczonej przestrzeni ludzi, którzy gdzieś także spieszyli. Musiał tłumaczyć się przed posterunkiem żołnierzy piechoty morskiej przy luku przednim — nikomu nie wolno było zejść na dół, zanim nie udowodnił, że wzywa go tam obowiązek. Hornblower pomyślał, że wiadomość przysłana mu przez Howella nie ma znaczenia. Nie wymagała żadnej decyzji z jego strony. Jedyna rzecz, którą mogli teraz czynić — to walczyć, choćby okręt miał tonąć pod ich stopami. Była w tym pewna ulga, że w ten sposób został uwolniony od wszelkiej odpowiedzialności.

— Już półtorej godziny — odezwał się Bush, podchodząc do kapitana. Zacierał ręce z radości. — Wspaniale, sir. Wspaniale.

Gdyby go o to spytano, Hornblower powiedziałby, że nie upłynęło więcej niż dziesięć minut. Ale Bush, jak nakazywał obowiązek, obserwował klepsydrę przy czaszy podstawy kompasu.

— Nigdy dotąd nie spotkałem diegów, co by się tak przykładali do armat — zauważył Bush. — Celują podle, ale salwy wciąż dają szybkie. A przecież jestem przekonany, że dobrze od nas dostali, sir.

Wachlując zabawnie rękami próbował dojrzeć coś poprzez kłęby dymu i te gesty zdradzające, że Bush nie jest tak spokojny, jakby się mogło wydawać, sprawiły Hornblowerowi absurdalną przyjemność. Podszedł Crystal mówiąc:

— Dym trochę rzednie, sir. Zdaje mi się, że zaczął się lekki powiew. — Podniósł do góry pośliniony palec. — Naprawdę, sir. Leciutka bryza z lewej burty. Ach!

Gdy mówił te słowa, silniejszy podmuch, zwiął gęste kłęby dymu z dziobu prawej burty i ukazał scenę jakby po odsunięciu kurtyny w teatrze. Mieli przed sobą „Natividad”. Wyglądała jak wrak. Awaryjny fokmaszt podzielił los swego poprzednika, a za nim poszedł nasz główny. Trzymał się jeszcze tylko bezanmaszt i okręt, kołysząc się jak szalony na martwej fali, ciągnął po stronie swej wolnej burty spletaną masę takielunku. Na wysokości fokmasztu trzy furty strzelnicze zostały rozbite, tak że powstał jeden otwór wyglądający jak dziura po wyrwanym zębie.

— Mocno zapadła w wodę — rzekł Bush, ale w tym momencie nowa salwa z uzbrojonej burty wypluła kłęby dymu i tym razem, sądząc po trasku i odgłosach pękania, wszystkie pociski jakimś cudem trafiły w „Lydię”. Dym skłębił się nad „Natividad”, a gdy wiatr go rozpędził, Hornblower i stojący obok niego oficerowie ujrzeni, że okręt nieprzyjacielski, zupełnie bezradny przy słabym podmuchu, obraca się dziobem do wiatru. „Lydia” złapała powiew. Hornblower poczuł, że znów odzyskała sterowność. Sternik przebierał szybko szprychami koła, żeby utrzymać ją na stałym kursie. Hornblower z miejsca się zorientował, jaka szansa otwiera się przed nimi.

— Ster jeden rumb w prawo! — rozkazał. — Hej, tam na dziobie! Puścić hol kutra!

„Lydia” przeszła prosto przed dziobem nieprzyjaciela i z hukiem i błyskiem ostrzelała go ogniem flankowym.

— Przebrasować grotmarsel, żeby chwycił wiatr z przodu! — rozkazał Hornblower.

Poprzez huk dział z pokładu głównego dobiegły radosne okrzyki załogi. Za rufą szkarłatne słońce zanurzało się w ocean w glorii czerwieni i złota. Wkrótce zapadnie noc.

— Musi zaraz opuścić banderę. Chryste! czemu nie opuszcza? — mówił Bush, gdy teraz z małej odległości salwy burtowe waliły w bezbronnego nieprzyjaciela, rażąc go ogniem flankowym od dziobu po rufę.

Ale Hornblower wiedział, dlaczego. Żaden okręt dowodzący przez Crespa i pływający pod flagą el Suprema nie opuściłby swojej bandery. Poprzez dym widział łopocącą na wietrze złotą gwiazdę na błękitnym tle.

— Walcie w nich, chłopcy! Zalejcie im sadła za skórę! — krzyczał Gerard.

Przy coraz krótszym zasięgu ostrzału mógł teraz zostawić komendę poszczególnym działonowym. Przy działach obsługa dwoiła się i troiła, żeby jak najszybciej załadować i oddać strzał. Armaty były tak rozgrzane, że po każdym wystrzale podskakiwały wysoko w kołyskach, a nasiąkłe wodą wyciory wpychane w lufy syczały i parowały przy dotknięciu rozgrzanego do białości metalu. Zapadał zmrok i znów widać było pomarańczowe języki ognia z luf. Nad zachodzącym szybko słońcem rozblęła jasno pierwsza gwiazda.

Poszedł już bukszpryt „Natividad”; zwisał z dziobu, cały rozbity w drzazgi. A potem w słabnącym świetle wieczora dojrzano z „Lydii”, jak padał bezanmaszt, przecięty wpół pociskami, które pruły bez przeszkód po całym okręcie.

— Na Boga, teraz musi opuścić! — powiedział Bush.

Pod Trafalgarem Bush został wysłany jako dowódca przyzry na zdobyty okręt hiszpański i teraz przypominał sobie jego wygląd — rozbite działa, ciała rannych i zabitych zwalone na pokładzie i rzucone tam i z powrotem w rytm kołysania się pozbawionego masztów statku; obraz bólu, rozpacz i bezradności. Jak gdyby w odpowiedzi na te myśli z dziobu „Natividad” dobiegł nagle błysk i huk. Jacyś nieustępliwi marynarze, pomagając sobie taliami i łomami, zdołali obrócić działo i wycelować je i teraz bili prosto w majaczącą niewyraźnie sylwetkę „Lydii”

— Walcie w nich, chłopcy, dajcie im! — darł się Gerard, na pół oszalały ze zmęczenia i napięcia.

Dmuchał w ocalały osprzęt „Lydii” wiatr spychał ją szybko w stronę kiwającego się wraka. Odległość między okrętami malała z każdą sekundą. W chwilach gdy oczu nie oślepiały błyski pocisków, Hornblower i Bush widzieli poprzez mrok postacie ludzkie poruszające się po pokładzie nieprzyjaciela. Teraz strzelano tam już także z muszkietów. Błyski dziurawiły ciemność i Hornblower usłyszał, jak kula z matowym odgłosem stuknęła w poręcz tuż obok niego. Przyjął to obojętnie. Czuł, jak opanowuje go śmiertelne znużenie.

Wiatr to zrywał się w podmuchach, to znów zmieniał nagle kierunek. W ciemnościach szczególnie trudno było dokładnie się zorientować, na ile oba okręty zbliżyły się do siebie.

— Im bliżej podejźmy, tym szybciej ich wykończymy — rzeki Bush.

— Tak, ale za chwilę możemy władować się na nich — odpowiedział Hornblower.

Przemógł zmęczenie i zmobilizował się do dalszego wysiłku.

— Zawołać ludzi, żeby przygotowali się do odparcia abordażu — rozkazał i poszedł ku miejscu, skąd były dwa ciężkie działa bliskiego zasięgu. Obsługa pracowała w takim napięciu, jakby zahipnotyzowana monotonią ładowania i odpalania, że kapitan potrzebował paru sekund, aby skoncentrować ich uwagę na tym, co mówił. Ociekając potem wysłuchali w milczeniu jego rozkazów. Obie karonady załadowano kartaczami przyniesionymi ze schowka rezerwowego obok relingu rufowego. Ludzie przykucnęli przy działach i czekali, a tymczasem okręty dryfując zbliżały się coraz bardziej ku sobie, a działa wciąż były z pokładu głównego „Lydii”. Teraz z „Natividad” dobiegły urągania i obraźliwe okrzyki, a błysk strzałów z muszkietów ukazał na dziobie zbitą gromadę ludzi, oczekującą na moment zetknięcia się okrętów. Lecz samo zderzenie nastąpiło niespodziewanie, w chwili gdy wskutek silniejszego podmuchu wiatru i ruchu fal morza zamknęła się nagle przerwa między obu okrętami. Dziób „Natividad” uderzył z trzaskiem w śródkręcie „Lydii”, tuż przed bezanmasztem. Z „Natividad” dobiegł piekielny wrzask załogi, która stłoczyła się na baku, gotowa do abordażu. Dwaj działonowi skoczyli do talii.

— Czekać! — krzyknął Hornblower.

Mózg jego pracował szybko jak maszyna, oceniając stan wiatru i morza, czas i odległość, podczas gdy „Lydia” obracała się powoli. Z najwyższym wysiłkiem, pomagając sobie łomami, ludzie na jego rozkaz odwrócili jedną armatę na dziobie, potem drugą; a tymczasem na baku „Natividad” wzdłuż nadburci zgromadziła się hałastrą, szykując się do abordażu. Obie ciężkie karonady nacelowane w tym kierunku.

— Ognia!

Tysiąc kul muszkietowych lunęło z luf dział wprost w zbity tłum. Zaległa cisza, a potem istne piekło wrzasków i okrzyków zmieniło się w nikły chór jęków — salwa kul muszkietowych wymiotła z ludzi bak „Natividad” od burty do burty.

Przez jakiś czas oba okręty trwały przylgnięte do siebie, ale „Lydia” miała wciąż jeszcze tuzin nacelowanych dział i teraz zaczęły one bić w „Natividad”, wylotami luf dotykając niemal jej dziobu. A potem wiatr i fala odsunęły znów okręty od siebie. „Lydia” znalazła się po zawietrznej i dryfując oddalała się od rzucanego falami wraku nieprzyjacielskiego. Na okręcie angielskim strzelało każde działo zdolne do strzału, lecz z „Natividad” nie odpowiedziano już ani jednym pociskiem, ani nawet strzałem z muszkietu.

Hornblower raz jeszcze przemógł zmęczenie.

— Przerwać ogień! — zawołał do Gerarda znajdującego się na pokładzie głównym i działa ucichły.

Poprzez ciemności Hornblower wpatrywał się z wytężeniem w niewyraźną sylwetkę „Natividad”, kołyszącą się bezradnie na falach.

— Poddajcie się! — krzyknął.

— Nigdy! — brzmiała odpowiedź i Hornblower przysięgłby, że był to głos Crespa, cienki i piskliwy. Głos ten dorzucił kilka bardzo obraźliwych słów.

Mimo zmęczenia Hornblower uśmiechnął się. Stoczył bitwę i wygrał ją.

— Zrobiliście wszystko, na co stać dzielnych ludzi! — zawołał.

— Jeszcze nie wszystko, kapitanie — dobiegła z ciemności jękliwa odpowiedź.

Wtem coś zwróciło uwagę Hornblowera — czerwone języki nad niewyraźnie majaczącym dziobem „Natividad”.

— Crespo, ty szaleńcze! Twój okręt płonie! — zawołał. — Poddajcie się, póki czas!

— Nigdy!

Działa „Lydii”, wycelowane w burtę „Natividad”, wystrzeliły pociski zapalające prosto w jej potrzaskany kadłub. Suche jak huba drewno od razu się zajęło i ogień rozszerzał się szybko. Robiło się od niego coraz jaśniej.

Wkrótce cały okręt stanie w płomieniach. Pierwszym obowiązkiem Hornblowera było zatroszczyć się o własny okręt — gdy ogień dotrze do ładunków prochu na pokładach „Natividad” albo do magazynu, okręt zamieni się w wulkan plujący płonącymi szczątkami, które mogą być niebezpieczne dla „Lydii”.

— Panie Bush, musimy od nich odejść — powiedział Hornblower kategorycznym tonem, aby pokryć drżenie głosu. — Ludzie do brasów!

„Lydia” odwróciła się i odeszła ostro pod wiatr od płonącego wraka. Bush i Hornblower skierowali nań swój wzrok. Widać już było jasne płomienie tryskające z pogruchotanego dziobu — czerwony blask odbijał się we wzburzonym morzu wokół okrętu. A potem płomień zgasł nagle, jak zdmuchnięta świeca. Nastąpiła zupełna ciemność, nie było widać nic poza słabym połyskiem grzebieni fal. Morze połknęło „Natividad”, zanim ogień zdążył ją strawić.

— Na Boga, zatoneła! — wykrzyknął Bush, przechylając się przez poręcz.

W ciągu paru następnych sekund ciszy Hornblowerowi zdawało się, że ciągle jeszcze słyszy to ostatnie żalosne „Nigdy!” A jednak chyba właśnie on pierwszy z całej załogi otrząsnął się z wrażenia. Kazał zmienić hals i podejść do miejsca zatonięcia „Natividad”, posłał kuter z Hookerem na poszukiwanie ocalałych z załogi nieprzyjacielskiej — kuter był jedyną łodzią, jaka im pozostała, gdyż zarówno gig, jak i jolkę pogruchotały pociski z „Natividad”, a resztki barkasa pozostały w odległości pięciu mil od nich. Wyłowiono paru ludzi — dwóch marynarze wciągnęli na pokład

„Lydii”, a kuter odnalazł jeszcze sześciu utrzymujących się na wodzie. To było wszystko. Załoga „Lydii” starała się zachowywać przyjaźnie wobec tej grupki ludzi stojących w świetle latarni na pokładzie, z długimi czarnymi włosami, w podartej odzieży ociekającej wodą. Lecz oni byli ponurzy i milczący; któryś z nich rzucił się nawet na swych wybawców, jak gdyby kontynuując desperacką walkę „Natividad”.

— Nie szkodzi, zrobimy z nich jeszcze żeglarzy — rzekł Hornblower, starając się mówić lekkim tonem.

Wyczerpanie dosięgło już takiego szczytu, że mówił jak przez sen, jak gdyby to całe realne otoczenie, okręt, działa i żagle na masztach, krzepka postać Busha były czymś nierzeczywistym, zjawami ze snu — a istniało tylko straszliwe zmęczenie i ból wewnątrz czaszki. Usłyszał swój głos jakby z odległości kilku jardów.

— Tak jest, sir — powiedział bosman.

Wszystko, co znalazło się w zasięgu Królewskiej Marynarki Wojennej, dostawało się w jej tryby — Harrison był gotów przerobić na marynarzy najdziwniejszych przedstawicieli rodzaju ludzkiego; w istocie nie robił niczego innego przez całe swoje życie.

— Jaki wziąć kurs, sir? — zapytał Bush, gdy Hornblower wrócił na pokład rufówki.

— Kurs? — zapytał nieprzytomnie Hornblower. — Kurs?

Było mu niesłychanie trudno zdać sobie sprawę, że bitwa już skończona, że „Natividad” zatonała i że w promieniu tysięcy mil nie ma na morzu żadnego wroga. Ale równie trudno było mu uświadomić sobie, że „Lydia” jest w poważnym niebezpieczeństwie, że szczękające monotonicznie pompy nie są w stanie równoważyć przecieków, że okręt ma wciąż dno uszczelnione tylko plastrami z żagli i ogromnie potrzebuje kompletnego remontu.

Stopniowo Hornblower zaczął sobie uprzytamniać, że musi teraz rozpocząć nowy rozdział w historii „Lydii”, obmyślić nowe plany. A tu długi rząd ludzi czekał już na rozkazy — był tam Bush, bosman, cieśla, artylerzysta i ten dureń Laurie. Musi zmusić swój wyczerpany mózg do myślenia. Oceniał siłę i kierunek wiatru, jak gdyby wykonując zadanie szkolne, a nie coś, co robił przez dwadzieścia lat i co stało się już jego drugą naturą. Zszedł zmęczonym krokiem do swej kabiny i wśród straszliwego bałaganu odszukał pogruchotane skrzynki. Pochylił się nad podartą mapą.

Musi jak najszybciej donieść o swym zwycięstwie do Panamy — to była dlań rzecz oczywista. Może tam będzie można naprawić okręt — chociaż się obawiał, że trudno będzie tego dokonać na tamtejszej niegościnniej, otwartej redzie, szczególnie że w mieście panuje żółta febra. Tak więc musi wlec pogruchotaną „Lydię” do Panamy. Wytyczył kurs na przylądek Mała, z najwyższym wysiłkiem uzmysłowił sobie, że wiatr ma pomyślny i wyszedł na pokład, by wydać rozkazy. Tam stwierdził, że wszyscy ci ludzie, którzy chcieli coś od niego, znikli w jakiś cudowny sposób. Bush rozegnał ich, chociaż nigdy się do tego nie przyznał. Hornblower podał mu kurs, a potem obok zjawił się Polwheal z opończą i leżakiem.

Hornblower nie miał już siły protestować. Pozwolił się owinąć i na pół zemdlały padł na leżak. Dwadzieścia cztery godziny bez przerwy był na nogach. Polwheal przyniósł też coś do jedzenia, ale kapitan odmówił. Nie potrzebował jedzenia! Potrzeba mu było tylko odpoczynku.

Potem ocknął się jeszcze na sekundę, przypomniawszy sobie Lady Barbarę zepchniętą na dół, razem z rannymi, w ciemnościach i odorze wnętrzości okrętowych. Ale odpędził od siebie myśli o niej. Ta przeklęta baba może zadbać sama o siebie — na pewno stać ją na to. Teraz nic nie miało znaczenia. Znów głowa opadła mu na piersi. Zbudził go odgłos własnego chrapania, ale nie na długo. Pochrapując spał głęboko pośród zgiełku, jaki czyniła załoga, usiłując nadać znów „Lydii” wygląd okrętu.

Rozdział XVIII

Zbudziło Hornblowera słońce, które podniósłszy się nad horyzont świeciło mu prosto w oczy. Poruszył się, zamrugał i przez chwilę, jak rozespiane dziecko, zasłoniwszy twarz rękami, chciał spać dalej. Nie wiedział, gdzie się znajduje, ale wtedy nic go to nie obchodziło. Powoli jednak zaczął sobie przypominać wydarzenia poprzedniego dnia i porzuciwszy myśl o dalszym spaniu spróbował otrząsnąć się ze snu. Dziwna rzecz, pamiętał doskonale szczegóły bitwy, natomiast początkowo nie mógł sobie przypomnieć zatonięcia „Natividad”. Ocknął się na dobre, gdy pamięć przyniosła mu tamten obraz.

Podniósł się z leżaka i rozprostował zbolące członki. We wszystkich stawach czuł wczorajsze zmęczenie. Bush stał przy sterniku, a jego twarz, szara i poorana bruzdami, wydawała się dziwnie stara w ostrym świetle dnia. Hornblower skinął mu głową, a Bush zasalutował, przykładając palce do trój graniastego kapelusza, który włożył na brudny bandaż owijający jego głowę. Hornblower byłby się nawet odezwał do niego, gdyby nie to, że całą uwagę z miejsca zaabsorbował okręt. Rozejrzał się dookoła. Silna wichura musiała w nocy skrócić w lewo, gdyż „Lydia” z trudem utrzymywała kurs na wiatr. Szła pod normalnymi żaglami, ale obrzuciwszy szybkim spojrzeniem takielunek Hornblower dostrzegł ogromną liczbę splotów na olinowaniu stałym i ruchomym. Awaryjny bezanmaszt wydawał się dostatecznie dobrze spełniać swoje zadanie, lecz wszystkie żagle podziurawione były kulami; niektóre miały tych dziur więcej niż tuzin. Nadawało to okrętowi wygląd obszarpanego włóczęgi. Trzeba więc będzie zacząć dzień od założenia nowych żagli — z wymianą olinowania można jeszcze poczekać.

Dopiero sprawdziwszy, jak postawione są żagle, i zorientowawszy się w stanie pogody i kursie okrętu, marynarski wzrok Hornblowera powędrował w dół ku pokładom. Od przodu słychać było monotonny szcęk pomp; czysta woda tryskająca z nich na zewnątrz świadczyła najdobitniej, że przecieki są tak duże, iż z trudem daje się je równoważyć nieustannym pompowaniem. W przejściu po zawietrzanej leżał długi rząd ciał owiniętych w płótna hamaków. Hornblower drgnął, zobaczywszy ile ich tam jest, i całym wysiłkiem woli zmusił się do policzenia zabitych. Było ich dwudziestu czterech, wczoraj pochowano czternastu. Niektórzy z tych, co leżeli tu martwi, mogli być — i prawdopodobnie byli — tymi, którzy poprzedniego dnia odnieśli śmiertelne rany. Trzydziestu ośmiu zabitych oznaczało, że zapewne co najmniej siedemdziesięciu rannych leży w kokpicie. A zatem we wczorajszej bitwie ucierpiała jakaś jedna trzecia załogi „Lydii”. Zastanawiał się, którzy to byli — czyje zniekształcone twarze kryły się pod płótnem hamaków.

Na pokładzie liczba zabitych przewyższała liczbę tych, co pozostali przy życiu. Bush posłał widocznie na dół wszystkich, oprócz tuzina ludzi niezbędnych do prac pokładowych i przy sterze. Był to rozsądny krok, gdyż wszyscy byli wyczerpani po trudach ubiegłego dnia, a co siódmy członek załogi będzie musiał pracować przy pompach do czasu, aż cieśla z pomocnikami dotrze do dziur i zdoła je zatkać. Co do reszty załogi, na pierwszy rzut oka wyglądało, że wszyscy śpią. Leżeli przeważnie pod schodami pokładu głównego; tylko bardzo nieliczni mieli dość siły, aby rozwiesić hamaki (jeśli jakieś hamaki w ogóle ocalały po bitwie). Wszyscy inni zwalili się tam, gdzie stali, i spali w skurczonych pozycjach, z głowami opartymi o ciała kolegów lub o inne mniej wygodne przedmioty, jak na przykład klubki i tylne osie lawet.

Oprócz ciał owiniętych w półtno i ciemnych plam, nie zmytych jeszcze dokładnie z jasnego poszycia, widać było wiele innych śladów wczorajszej bitwy. Pokłady były porysowane w różnych kierunkach i poryte odłamkami, które wciąż tkwiły gdzieś w deskach. Na dziury w burtach zaciągnięto z grubsza plastry z żaglowego płótna. Z jednego z parapetów furt strzelniczych, zasypanych czarnym prochem, wystawał pocisk z osiemnastofuntówki, na pół zaryty w twarde dębowe drewno. W każdym razie jednak zrobiono już bardzo dużo — od ułożenia zabitych do zabezpieczenia armat i ściągnięcia ich linami. Mimo wyczerpania załogi „Lydia” mogła w ciągu dwóch minut być gotowa do następnej bitwy.

Hornblower poczuł ukłucie wstydu, że tyle zdziałano w czasie, gdy on wysypiał się na leżaku. I chociaż pochwalić Busha za to znaczyło przyznać się do zaniedbań z własnej strony, Hornblower czuł, że musi być wspaniałomyślny.

— Znakomicie, panie Bush, naprawdę — powiedział idąc ku niemu. Jednakże wrodzona nieśmiałość połączona z uczuciem wstydu sprawiła, że słowa te zabrzmiały sztucznie. — Jestem zaskoczony i równocześnie zadowolony z tego, czego pan tu dokonał.

— Dziś jest przecież niedziela, sir — odrzekł Bush.

Rzeczywiście. Niedziela była dniem, w którym kapitan przeprowadzał inspekcję całego okrętu. Zaglądał wszędzie, aby sprawdzić, czy pierwszy oficer wykonuje swe obowiązki w zakresie utrzymania okrętu w stanie pełnej sprawności. W niedzielę okręt musiał być uprzątnięty i przyozdobiony, wszystkie końce lin ułożone w buchy, a załoga w odświętnej odzieży zebrana w sekcjach; powinno być odprawione nabożeństwo i odczytany regulamin — niedziela była dniem, w którym w całej Królewskiej Marynarce Wojennej sprawdzano zawodowe umiejętności pierwszych oficerów.

Hornblower nie mógł powstrzymać uśmiechu, słysząc to sprytne wyjaśnienie.

— Niedziela czy nie, panie Bush — rzekł — zrobił pan kawał świetnej roboty.

— Dziękuję, sir.

— Będę pamiętał, żeby napisać o tym w moim raporcie dla Admiralicji.

— Wiem, że pan to uczyni, sir.

Znużona twarz Busha rozjaśniła się błyskiem zadowolenia. Uwieńczona sukcesem akcja pojedynczego okrętu przynosiła zwykle pierwszemu oficerowi nagrodę w postaci awansu do stopnia komandora, a dla takiego człowieka jak Bush, bez rodziny i żadnych koneksji, była to jedyna nadzieja na ten wielkiej wagi awans. Lecz kapitan, który byłby żądny podniesienia własnego splendoru, mógłby sformułować sprawozdanie tak, aby wyglądało, że odniósł zwycięstwo pomimo obecności albo bez pomocy pierwszego oficera — znano takie wypadki.

— Kiedy w Anglii usłyszą o naszym zwycięstwie, mogą narobić sporo szumu wokół tego — rzekł Hornblower.

— Na pewno, sir. Nie co dzień się zdarza, żeby fregata zatopiła okręt liniowy.

Nazwanie „Natividad” okrętem liniowym było pewną przesadą — kiedy ją zbudowano przed sześćdziesięcioma laty, nadawała się pewnie do walki w linii, ale od tego czasu wiele rzeczy się zmieniło. Niemniej jednak to, czego dokonała „Lydia”, było nie lada wyczynem. Hornblower dopiero teraz zaczął sobie zdawać sprawę z doniosłości tego faktu i nastrój od razu znacznie mu się poprawił. Było jeszcze inne kryterium, jakie brytyjska opinia publiczna chętnie stosowała przy ocenie wartości bitwy morskiej; a i sama Admiralicja nieraz nim się posługiwała.

— Ilu nam wybito? — zapytał Hornblower brutalnie, w obawie żeby nie został posądzony o czułość, głośno wyrażając myśli ich obu.

— Mamy trzydziestu ośmiu zabitych, sir — odrzekł Bush, wyciągając kawałek brudnej kartki z kieszeni. — Siedemdziesięciu pięciu rannych. Czterech zaginionych. Są to Harper, Dawson, North i ten Murzyn, Chump, sir — zaginęli po zatonięciu szalupy. Clay padł w pierwszym dniu bitwy...

Hornblower skinął głową; przypomniał sobie bezgłowe ciało Claya rozciągnięte na pokładzie rufowym.

— ...i jeszcze pomocnik sternika Summers, dwaj podoficerowie, Henry Vincent i James Clifton. Tych zabiło wczoraj. Wśród rannych są Donald Scott Galbraith, trzeci oficer, porucznik Samuel Simmonds z piechoty morskiej, kadet Howard Savage i czterech innych podoficerów.

— Galbraith? — powtórzył Hornblower. Ta wiadomość przerwała rozmyślenia nad tym, jaka będzie nagroda za listę rannych i zabitych, złożoną ze stu siedemnastu nazwisk, skoro już za osiemdziesięciu kapitanowie fregat otrzymywali tytuł szlachecki.

— Fatalnie, sir. Obie nogi zmiażdżone poniżej kolan.

Galbraitha spotkało zatem to, czego tak bardzo bał się Hornblower dla siebie. Słowa Busha przypomniały mu o jego obowiązku.

— Muszę iść natychmiast na dół i odwiedzić rannych — rzekł. I zreflektowawszy się popatrzył badawczo na swego pierwszego oficera. — A co z panem, Bush? Pan mi nie wygląda na zdolnego do pełnienia wachty.

— Czuję się doskonale, sir — zaprotestował Bush. — Odpocznę godzinkę, kiedy Gerard

przejmie ode mnie pokład.

— Jak pan sobie życzy.

To co zobaczył na samym dole pod pokładami, przypominało opisy piekła. Panowały tu ciemności, a cztery oliwne lampy, wysyłające spod belek pokładu słabe, migotliwe światło o barwie żółtawoczerwonej, wydawały się być tu tylko po to, aby rzucać cienie. Powietrze było duszne. Do normalnych wyziewów z zęz i z magazynów okrętowych doszedł jeszcze odór ciasno stłoczonych rannych, lamp pokrytych sadzą i gorzki zapach prochu, który dotarł tu wczoraj i jeszcze nie wywietrzał. Było straszliwie gorąco; wchodząc Hornblower poczuł, jak uderza mu w nozdrza rozgrzane powietrze i smród, a po kilku sekundach twarz spływała mu potem, jakby zanurzył ją w wodę, tak duszna i wilgotna panowała tu atmosfera.

Hałas, podobnie jak powietrze, był tu także mieszaniną: zwykłych hałasów okrętowych — skrzypienia drewna, drgań takielunku przekazywanych przez wiązania pokładu na dół, szumu morza na zewnątrz, chlupotu wody w zęzach i monotonnego szczęku pomp odbijającego się wzmożonym echem od drewnianych części okrętu. Lecz wszystkie te odgłosy stanowiły jedynie podkład do zgiełku w kokpicie, gdzie leżało siedemdziesięciu pięciu rannych, stłoczonych w ciasnym pomieszczeniu, a wszyscy naraz jęczeli, szlochali i darli się, klnąc i wymiotując na przemian. Nawet dusze potępione nie mogłyby się znaleźć w gorszych warunkach i przechodzić gorszych cierpień.

Hornblower odnalazł Lauriego, który stał w mroku zupełnie bezradny.

— Dzięki Bogu, że pan przyszedł, sir — powiedział. Z tonu jego głosu wynikało, że od tej chwili cała odpowiedzialność przechodzi z niego na kapitana.

— Obejdźmy razem rannych i złożysz mi raport — rzucił Hornblower. Nie znosił tego obowiązku, ale choć na okręcie był absolutnie wszechmocny, nie mógł przecież odwrócić się i uciec, jak podpowiadał mu instynkt. Trzeba to było zrobić i teraz — gdy Laurie okazał się tak bezużyteczny — wszystko spadło na niego. Podszedł do ostatniego w rzędzie i cofnął się zaskoczony. Była tu Lady Barbara — migotliwe światło ukazało klasyczne rysy jej twarzy. Klęczała przy rannym i wycierała mu gąbką twarz i szyję, a on wił się z bólu na deskach pokładu.

Widok Lady Barbary przy tym zajęciu wstrząsnął Hornblowerem. Dzień, w którym Florence Nightingale miała uczynić z pielęgniarstwa zawód dla kobiet, miał dopiero nadejść. Żaden wybredny mężczyzna nie zniósłby myśli o brudnej robocie szpitalnej jako o zajęciu odpowiednim dla kobiety. Siostry miłosierdzia mogły tam pracować dla dobra swoich dusz. Stare baby, lubiące zagłębiać do kieliszka, mogły asystować przy porodach i czasem pomagać w pielęgnowaniu chorych, lecz opieka nad rannymi mężczyznami była wyłącznie sprawą męską — pracą dla mężczyzn, którzy i tak nie zasługiwali na nic lepszego i których skazywano na tę pracę dlatego, że nie nadawali się do niczego innego lub nie mogli wykazać się nieskazitelną przeszłością, jak ci, którym kazano czyścić latryny. Hornblowerowi zrobiło się niedobrze, gdy ujrzał Lady Barbarę dotykającą tych brudnych ciał, wycierającą krew, ropę i wymioty.

— Niech to pani zostawi! — powiedział ostro. — Proszę stąd iść. Niech pani idzie na pokład.

— Zaczęłam to robić — odpowiedziała obojętnie — i nie odejdę, zanim nie skończę.

Jej ton nie dopuszczał możliwości dyskusji; mówiła tak, jak się mówi o czymś, czego nie można uniknąć — jakby mówiła o przeziębieniu, które musi odchorować do końca.

— Ten dżentelmen, który ma to robić, nie ma pojęcia o swych obowiązkach — dodała.

Lady Barbara nie wierzyła, że praca pielęgniarki uszlachetnia; uważała to zajęcie za coś gorszego od gotowania lub cerowania odzieży (co zresztą jej zręczne palce robiły tylko z konieczności, na przykład w czasie podróży, gdy nie mogła tego załatwić inaczej). Lecz teraz widziała, że ktoś wykonuje swą robotę źle i że nie ma tu nikogo poza nią, kto by potrafił zrobić to lepiej w chwili, gdy powodzenie misji okrętu w służbie królewskiej zależało częściowo od tego, czy praca ta zostanie dobrze wykonana. Zabrała się do niej z tym samym zainteresowaniem dla szczegółów i lekceważeniem własnej wygody, z jakim jeden z jej braci rządził Indiami, a drugi walczył przeciwko Mahrattom[34].

— Ten człowiek — ciągnęła — ma tu pod skórą odłamek drewna. Trzeba to natychmiast wyjąć.

Odśloniła wytatuowaną i owłosioną pierś mężczyzny. Pod tatuażem widniał paskudny czarny wylew ciągnący się od mostka aż do prawej pachy, a w mięśniach pachy pod skórą widać było nierówne wybrzuszenie; gdy Lady Barbara położyła na nim palce, mężczyzna jęknął i zwinął się z bólu. W czasie walk między drewnianymi okrętami wiele ran pochodziło od odłamków drewna, a tych drzazg nie udawało się nigdy wyjąć tą samą drogą, którą się dostały pod skórę, gdyż miały kształt haczykowaty. W tym wypadku drzazga ześliznęła się po żebrach i przeszła pod skórę, rozkrwawiając i kalecząc ciało, aż dostała się do obecnego miejsca pod pachą.

— Czy jest pan już gotów do wyjmowania? — spytała Lady Barbara nieszczęsnego Lauriego.

— Tak, proszę pani, ale...

— Jeśli nie, to ja sama to zrobię. Człowieku, niech pan nie robi z siebie głupca.

— Lady Barbaro, ja dopilnuję, żeby to zostało zrobione — wtrącił Hornblower. Obiecałby wszystko, żeby tylko z tym skończyć.

— A więc dobrze, kapitanie.

Podniosła się z klęczek, ale widać było, że nie ma zamiaru odejść, jak uczyniłaby każda przyzwoita kobieta w tej sytuacji. Hornblower i Laurie spojrzeli na siebie.

— No, Laurie — rzekł szorstko kapitan. — Gdzie twoje instrumenty? A wy, Wilcox i Hudson, dajcie mu porządną łyk rumu. Słuchaj, Williams, wyjmemy ci tę drzazgę. Ale to będzie bolało.

Hornblower musiał siłą opanować grymas obrzydzenia i obawy na myśl o czekającym go zadaniu. Mówił szorstko, żeby mu głos nie drżał; cała ta historia była dlań obrzydliwa. W dodatku trzeba będzie zadać temu człowiekowi duży ból i patrzeć, jak płynie krew. Williams starał się z

całych sił nie okazać słabości, ale w momencie wykonywania nacięcia twarz wykrzywiła mu się z bólu i Wilcox z Hudsonem musieli przytrzymać go za ręce i przydusić do pryczy. Przy wyjmowaniu długiego czarnego odłamka drewna krzyknął rozdzierająco, a potem opadł zemdłony i już nie reagował na ukłucia igły przy pospiesznym zszywaniu rany.

Lady Barbara z zaciśniętymi wargami obserwowała Lauriego niezdarnie bandażującego ranę, a potem bez słowa wyjęła szarpie z jego rąk. Mężczyźni przyglądali się jak zafascynowani, gdy jedną ręką podtrzymując plecy Williamsa drugą owijała ranę od lewej strony ku prawej, tak że szybko czerwieniejący opatrunek został wkrótce mocno przyciśnięty do rany.

— Teraz możemy go zostawić — rzekła podnosząc się z klęczek.

Dwie ciężkie godziny spędził Hornblower w kokpicie, obchodząc z Lauriem i Lady Barbarą rannych, ale te dwie godziny nie były wcale tak straszne, jak by można było przypuszczać. Jednym z głównych powodów, dla których czuł się tak fatalnie, gdy chodziło o opiekę nad rannymi, było poczucie własnej bezradności. Nie wiedział po prostu, jak się z nimi obchodzić. Niepostrzeżenie część swej odpowiedzialności za tych ludzi zepchnął na barki Lady Barbary. Znała się na tym tak świetnie i była tak nieustraszona, że najbardziej ze wszystkich na pokładzie nadawała się do tego, aby powierzyć jej nadzór nad rannymi. Kiedy Hornblower obszedł wszystkie prycze i gdy już wyniesiono pięciu ludzi, którzy zmarli tymczasem, podniósł oczy na twarz Lady Barbary i popatrzył na nią w migotliwym blasku lampy.

— Nie wiem, jak pani dziękować — rzekł. — Jestem pani równie wdzięczny, jak wszyscy ci ranni.

— Nie ma potrzeby okazywać wdzięczności za pracę, która powinna być wykonana — odrzekła Lady Barbara, wzruszając szczupłymi ramionami.

Wiele lat później jej książęcy brat miał powiedzieć zupełnie tym samym tonem: „Rząd królewski musi pracować dalej”. Mężczyzna na pryczy obok nich pomachał obandażowaną ręką.

— Niech żyje jej lordowska wysokość — zaskrzeczał.

— Hip, hip, hura!

Kilku rannych przyłączyło się do niego — żalosny chór, zmieszany z rżeniem i jękami majaczących w gorączce na sąsiednich pryczach. Lady Barbara pogroziła im palcem i zwróciła się do kapitana.

— Musimy wpuścić tu trochę powietrza — rzekła. — Czy to się da zrobić? Pamiętam, mój brat opowiadał mi, jak śmiertelność w szpitalu w Bombaju spadła, gdy tylko zaczęto dobrze wietrzyć sale. Czy lżej rannych nie można by wynieść na pokład?

— Załatwię to, proszę pani — odpowiedział Hornblower.

Zrozumiał jeszcze bardziej słuszność żądania Lady Barbary, wyszedłszy na pokład — mimo ziejącego żarem słońca, po zaduchu panującym na dole, świeże powietrze Pacyfiku podziało nań

jak haust szampana. Rozkazał natychmiast założyć z powrotem nawiewniki płócienne, usunięte w czasie przygotowywania pokładów do boju.

— Panie Rayner—ciągnął — niektórym rannym dobrze zrobi wyniesienie na pokład. Proszę iść do Lady Barbary Wellesley i zapytać, których należy wynieść.

— Lady Barbary Wellesley, sir? — spytał Rayner z nietaktownym zdziwieniem, ponieważ nic nie wiedział o ostatnim rozwoju wypadków.

— Słyszał pan, co powiedziałem — odrzekł Hornblower ostrym tonem.

— Tak jest, sir—powiedział Rayner i zniknął co prędzej pod pokładem, w obawie żeby nie rzec czegoś, co by jeszcze bardziej zirytowało kapitana.

Tak więc tego ranka na pokładzie „Lydii”, fregaty jego królewskiej mości, odbyła się zbiórka w sekcjach i zostało odprawione nabożeństwo — nieco opóźnione pogrzebem zmarłych — wśród jęku rannych kołyszących się w hamakach rozwieszonych po obu stronach pokładu głównego i wśród stłumionego echa przeraźliwych odgłosów płynących z dołu przez otwory wentylacyjne.

Rozdział XIX

„Lydia” znów szła wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki Środkowej, zostawiając za sobą po wschodniej stronie szaroróżowawe wierzchołki wulkanów. Czasem u ich stóp widać było soczystą zieleń nadbrzeżnej roślinności. Woda i niebo były błękitne, a latające ryby ślizgały się po powierzchni morza zostawiając za sobą szybko niknące bruzdy. Lecz o każdej minucie dnia i nocy dwudziestu ludzi pracowało przy pompach, aby uchronić okręt przed zatonięciem, a wszyscy inni zdolni do pracy spędzali całe dni naprawiając osprzęt „Lydii”.

W ciągu dwóch tygodni, jakie minęły, zanim okrążyli przylądek Mała, liczba rannych znacznie się zmniejszyła. Niektórzy zdążyli już wyzdrowieć—ich mocne organizmy, zahartowane miesiącami ciężkiej pracy na morzu, sprawiły, że niczym były dla nich rany, które mogły okazać się śmiertelne dla ludzi słabszej kondycji. Wstrząs i wyczerpanie uwolniły okręt od innych rannych, a teraz gangrena, ta nieubłagana Nemezis, niosąca śmierć w czasach, gdy nie znano jeszcze zasad antyseptyki, zabierała dalsze ofiary. Każdego ranka odbywała się przy burcie ta sama ceremonia i dwa lub trzy ciała zawinięte w hamaki ześlizgiwały się w błękitne wody Pacyfiku.

Tak skończył Galbraith. Zniósł wstrząs spowodowany urwaniem nóg przez pocisk, przeżył nawet tortury, którym Laurie — poganiany przez Lady Barbarę — poddał go, obcinając nożem poszarpane ciało i odpilowując pogruchotane kawałki kości, stanowiące resztki tego, co było kiedyś nogami. Robił wszystko, żeby wyzdrowieć; blady i osłabiony leżał w swojej koi i już nawet słyszano, jak Laurie przechwalał się swymi umiejętnościami chirurgicznymi i tym, jak zgrabnie pozaszywał kikuty i jak świetnie podwiązał tętnice, gdy nagle wystąpiły fatalne objawy gangreny i Galbraith zmarł po pięciu dniach, nie odzyskawszy na szczęście przytomności.

Dni te zbliżyły Hornblowera i Lady Barbarę. Ona nie szczędząc siebie toczyła do samego końca przegraną walkę o życie Galbraitha, na zewnątrz nie zdradzając żadnych uczuć, jak gdyby

wykonywała po prostu pracę, którą trzeba było wykonać. Hornblower zaś może by w to i uwierzył, gdyby nie ujrzał jej twarzy w momencie, kiedy Galbraith ścisnął jej dłonie i przemawiał do niej pod wrażeniem, że to jego matka. Umierający chłopiec wyrzucał gorączkowo słowa z silnym akcentem szkockim, do którego powrócił, gdy zaczął majaczyć; obejmował kurczowo jej dłonie i nie pozwalał odejść, a ona siedziała przy nim i przemawiała łagodnym, uspokajającym tonem. Głos jej był tak cichy, spokojny i beznamiętny, że Hornblower dałby się może zwieść, gdyby nie dojrzał bólu malującego się na jej twarzy.

Sam Hornblower nieoczekiwanie boleśnie odczuł zgon Galbraitha. Zawsze uważał siebie za człowieka znajdującego zadowolenie w posługiwaniu się innymi, pozbawionego ludzkich słabości w sposób mu dogadzający. Toteż fakt, że śmierć Galbraitha zabolowała go i zmartwiła tak bardzo, był dlań zaskoczeniem, jak i to, że przy czytaniu modlitwy drżał mu głos i łzy napływały do oczu, a myśl, co rekiny zrobiły z ciałem chłopca pod błękitną powierzchnią wód Pacyfiku, wywołała w nim uczucie rozpaczliwego smutku. Uznał to za swą słabość i spiesznie upewnił siebie, że martwi go jedynie strata dobrego podwładnego, lecz nie czuł się przekonany. Zły o to, rzucił się w wir zajęć i gnał ludzi do pracy przy uzupełnianiu osprzętu „Lydii”, a jednak gdy czasem na pokładzie lub przy obiednim stole oczy jego napotykały wzrok Lady Barbary, nie było już w jego spojrzeniu poprzedniej niechęci. Wytworzyło się między nimi coś w rodzaju wzajemnego zrozumienia.

Hornblower rzadko widywał teraz Lady Barbarę. Niekiedy zjadali wspólnie obiad, zawsze w towarzystwie jakiegoś oficera, lecz przeważnie on robił swoje, a ona zajmowała się chorymi. Żadne z nich nie miało czasu, a przynajmniej on również energii, na flirt, do którego skłaniały przecież łagodne noce tropikalne. A ponadto, kiedy weszli do Zatoki Panamskiej, na Hornblowera zważyło się tyle kłopotów, że nie miał czasu nawet myśleć o flirtowaniu.

Po lewej stronie dziobu pojawiły się właśnie Wyspy Perłowe i „Lydia”, idąc ostro na wiatr, miała już do Panamy tylko jeden dzień drogi, gdy lugier straży przybrzeżnej, który wyszedł im poprzednio na spotkanie, pojawił się na widnokręgu po nawietrznej. Na widok „Lydii” zmienił kurs i ruszył z wiatrem w jej stronę, podczas gdy Hornblower szedł dalej tym samym kursem. Czuł lekkie, radosne podniecenie na myśl, że wejdzie wreszcie do portu, nawet choćby to miał być port opanowany zarazą i tak źle wyposażony, jak Panama, gdyż napięcie towarzyszące utrzymywaniu „Lydii” w stanie pływalności zaczynało mu się już dawać we znaki.

Lugier położył się w dryf w odległości paru kabli i w kilka minut potem ten sam elegancki, we wspaniałym mundurze oficer, który niedawno schodził z trapu „Lydii”, zaczął się wspinać na jej pokład.

— Dzień dobry, kapitanie — rzekł, kłaniając się głęboko. — Mam nadzieję, że jego ekscelencja cieszy się dobrym zdrowiem.

— Dziękuję — odrzekł Hornblower.

Oficer hiszpański spojrzał ciekawie na niego; „Lydia” nosiła jeszcze wyraźne ślady niedawnej walki — rząd rannych w hamakach dopowiedział reszty. Hornblower zorientował się, że Hiszpan ma się na baczności, w obecnej chwili zdecydowany jak gdyby nie angażować się, póki się nie dowie tego, czego nie wie.

— Widzę — rzekł Hiszpan — że pański okręt był ostatnio w akcji. Tuszę, iż waszej ekscelencji powiodło się w utarczce.

— Zatopiliśmy „Natividad”, jeśli to ma pan na myśli — rzekł brutalnie Hornblower.

— Pan ją zatopił, kapitanie?

— Tak.

— Więc jest zniszczona?

— Tak.

Twarz Hiszpana spoważniała — Hornblower pomyślał, że musi to być dlań gorzki cios słysząc już drugi raz, że okręt hiszpański został pobity przez o połowę słabszy okręt angielski.

— Skoro tak, sir — rzekł Hiszpan — to mam tu list do przekazania panu.

Gestem zdradzającym niepewność sięgnął do kieszeni na piersi — później Hornblower zdał sobie sprawę, że tych listów musiało być dwa, każdy w innej kieszeni i o różnej treści; jeden do przekazania w wypadku zniszczenia „Natividad”, drugi — gdyby okręt ten był jeszcze zdolny do wyrządzenia szkody. List, który Hiszpan mu podał, upewniwszy się, że jest to ten właściwy, był niezbyt krótki, lecz sformułowany lapidarnie, co dla kogoś znającego kwiecistość stylu oficjalnych wypowiedzi hiszpańskich oznaczało absolutny brak grzeczności, z czego Hornblower zdał sobie sprawę natychmiast po otwarciu koperty i przeczytaniu jej zawartości.

Był to formalny zakaz ze strony wicekróla Peru rzucenia kotwicy przez „Lydię” lub wejścia do jakiegokolwiek portu Ameryki Hiszpańskiej w wicekrólestwie Peru, wicekrólestwie Meksyku lub obszarze pod zarządem generała kapitana Nowej Granady.

Hornblower przeczytał list raz jeszcze, a posępny szcęk pomp, który dobiegł jego uszu w tym momencie, pogłębił jeszcze świadomość kłopotów, jakie nagle spiętrzyły się przed nim. Pomyślał o swym pogruchotanym, przeciekającym okręcie, o rannych i chorych, o wyczerpanej załodze i nadwątlonych zapasach i o tym, że czeka go opłynięcie przylądka Horn i przebycie czterech tysięcy mil, jakie dzielą go od Anglii. Ale to jeszcze nie koniec; pomyślał o dodatkowych rozkazach, otrzymanych po opuszczeniu Anglii, a dotyczących wysiłku, jaki miał uczynić w celu udostępnienia Ameryki Hiszpańskiej dla handlu brytyjskiego i dla budowy kanału przez przesmyk

— Pan zna treść listu, sir? — zapytał.

— Tak, sir.

Hiszpan powiedział to hardo, nawet bezczelnie.

— Czy może mi pan wyjaśnić to niezwykle nieprzyjazne zachowanie się wicekróla?

— Nie ośmieliłbym się tłumaczyć posunięć mego pana, sir.

— A jednak wyjaśnienie takie jest mi absolutnie niezbędne. Nie rozumiem, jak człowiek cywilizowany może opuścić sprzymierzeńca, który walczył dla niego i który z tej właśnie przyczyny pilnie potrzebuje pomocy.

— Pan przybył nie proszony na te wody, sir. Nie musiałby pan toczyć bitew, gdyby został pan w tej stronie świata, gdzie rządzi pański król. Morze Południowe jest własnością jego katolickiej cesarskiej mości, który nie będzie tolerował na nim intruzów.

— Rozumiem — rzekł Hornblower.

Domyślił się, że usłyszawszy o obecności fregaty angielskiej na Pacyfiku, rząd hiszpański przysłał tu nowe rozkazy. Utrzymanie monopolu w Ameryce było dla Hiszpanów warte tyle, co życie, i nie było ofiar, na które rząd nie potrafiłby się zdecydować dla tego celu, nawet jeśli pociągało to za sobą obrazę sprzymierzeńca w czasie, gdy toczyła się walka na śmierć i życie z najpotężniejszym despotą w Europie. Dla władz hiszpańskich w Madrycie obecność „Lydie” na Pacyfiku niosła ze sobą niebezpieczeństwo masowego napływu handlarzy brytyjskich, wysychania strumienia złota i srebra, na którym oparta była egzystencja rządu i — co gorsza — wprowadzenia herezji do tej części świata, która od trzech wieków była utrzymywana w wierności dla papieża. To, że Ameryka Hiszpańska była biedna, źle rządzona, niszczone chorobami, nie miało żadnego znaczenia, ani że reszta świata odczuwała braki wynikające z odcięcia od niej w okresie, gdy system kontynentalny[35] doprowadził handel europejski do ruiny.

W momencie olśnienia Hornblower przewidział, że świat nie będzie mógł dalej tolerować samolubstwa posuniętego do takich granic i że wkrótce, przy akompaniamencie ogólnego poparcia, Ameryka Hiszpańska zrzuci jarzmo hiszpańskie. A potem jeśli ani Hiszpania, ani Nowa Granada nie przekopie tego kanału, ktoś inny weźmie się za to i zrobi to za nich.

Miał nawet ochotę to powiedzieć, ale powstrzymała go wrodzona ostrożność. Niezależnie od tego, jak bardzo źle go potraktowano, nie mógł nic zyskać, powodując otwarte zerwanie. Słodszą zemstą było zachowanie tych myśli dla siebie.

— Doskonale — odrzekł. — Proszę przekazać swemu panu pozdrowienia ode mnie. Nie zajdę do żadnego portu w hiszpańskich posiadłościach w Ameryce.

Proszę wyrazić jego ekscelencji mą głęboką wdzięczność za uprzejmość, z jaką mnie potraktowano, i powiedzieć mu, że miło mi widzieć ten dalszy dowód dobrych stosunków między rządami, których mamy szczęście być poddanymi.

Hiszpański oficer spojrzał na niego ostro, lecz Hornblower z niewzruszonym wyrazem twarzy pochylał się w kurtuazyjnym ukłonie.

— A teraz, sir — dodał chłodno — muszę, ku memu żalowi, pożegnać pana i życzyć mu przyjemnej podróży, gdyż wzywają mnie moje rozliczne obowiązki.

Ta rycerska forma odprawy sprawiła Hiszpanowi przykrość, lecz nie miał podstaw otwarcie zarzucić cokolwiek temu, co Hornblower powiedział. Pozostało mu jedynie odwzajemnić ukłon i

odejść. Jeszcze nie wszedł do łodzi, gdy Hornblower zwrócił się do Busha.

— Panie Bush, proszę położyć okręt w dryf — rzekł.

Stojąc w dryfie „Lydia” kołysała się ciężko na martwej fali, a jej kapitan kontynuował swój spacer po pokładzie rufowym, przeprowadzany ukradkowymi spojrzeciami tych oficerów i członków załogi, którzy się domyślili, jakiego rodzaju złe wieści przywiózł posłaniec.

Hornblower chodził tam i z powrotem między kołyskami dział z jednej strony i pierścieniami pokładowymi z drugiej, a szcęk pomp rozbrzmiewający ponuro w ciężkim powietrzu przypominał mu wciąż, jak pilną sprawą było podjęcie jakiejś nowej decyzji.

Pierwszą rzeczą — jeszcze przed rozstrzygnięciem, co zrobić ze złym stanem okrętu — był problem zapasów i wody; każdy kapitan musi się tym zająć przede wszystkim. Sześć tygodni temu napełnił wodą wszystkie beczki i załadował magazyny zapasami. Lecz od tego czasu stracił czwartą część załogi. W razie konieczności — nawet przyjąwszy dłuższy okres potrzebny na remont — mieli więc dosyć jedzenia, aby dotrzeć do Anglii, szczególnie że okrażanie przylądka Horn w kierunku wschodnim trwało zawsze krócej niż w przeciwnym i że teraz (gdy nie musiał już dalej robić tajemnicy ze swego pobytu na morzu) w razie potrzeby będzie mógł uzupełnić zapasy na Świętej Helenie, w Sierra Leone lub w Gibraltarze.

To było bardzo pocieszające. Mógł zatem skoncentrować się całkowicie na sprawach okrętowych. Naprawa osprzętu jest absolutną koniecznością. W obecnym stanie, przeciekając jak sito, z awaryjnym takielunkiem i dnem uszczelnionym tylko za pomocą plastra z płótna żaglowego „Lydia” na pewno nie przetrzyma burz szalejących wokół przylądka Horn. Pracy tej nie można wykonać na morzu, a porty są dla nich zamknięte. Musi zrobić to, co robili dawni korsarze — i co uczynili Drake, Anson i Dampier na tychże wodach — znaleźć jakąś zaciszną zatoczkę, gdzie można będzie przechylić okręt. O coś takiego trudno byłoby na brzegu stałego lądu, gdyż Hiszpanie zajęli każdą zatokę nadającą się do żeglugi. Pozostaje więc wyspa.

Widoczne na horyzoncie Wyspy Perłowe nie są odpowiednie, ponieważ, jak wiedział Hornblower, są zamieszkałe i często przybywają tam statki z Panamy — poza tym lугier wciąż będzie śledził ruchy „Lydii”. Hornblower zszedł na dół i wyjął mapy; pomyślał o wyspie Coiba, którą mijali poprzedniego dnia. Mapy nie powiedziały mu nic o niej poza położeniem, ale było rzeczą jasną, że tam należy najpierw próbować. Hornblower wytyczył kurs i udał się na pokład.

— Panie Bush, proszę zrobić zwrot — rzekł.

Rozdział XX

Cał po calu „Lydia”, fregata jego królewskiej mości króla Brytanii, wpełzała do zatoki. Przodem szedł kuter z Raynerem, który pracowicie mierzył sondą głębokość, a „Lydia” na zamierającym wietrze, przy postawionym tylko strzępku żagla, szukała między dwoma cyplami drogi do krętego kanału. Te cyple, po jednym z każdej strony wejścia, były to stronie skaliste ściany, zachodzące nieco na siebie, tak że tylko wyostrzone potrzebą oko, wyzyskując nabytą w tych dniach znajomość formacji skalnych tego wybrzeża, mogło wyczuć, że za nimi jest szerokie rozlewisko

wodne.

Gdy „Lydia” przebrnęła zakręt, Hornblower oderwał oczy od kursu okrętu, by obejrzeć rozciągającą się przed nimi zatokę. Otaczały ją zewsząd góry, ale tam, po drugiej stronie, zbocza były mniej strome niż u wejścia, a u stóp soczystej zieleni porastającej brzegi w miejscu, gdzie woda stykała się ze skałami, widać było złotą plamkę pisku, co wskazywało, że dno tam jest takie, jakiego potrzebowali. Na pewno opada łagodnie i nie jest skaliste.

— Wydaje mi się bardzo odpowiednie—rzekł Hornblower do Busha.

— Tak jest, sir. Jakby specjalnie stworzone do tego celu — odrzekł Bush.

— A zatem może pan rzucić kotwicę. Od razu bierzemy się do roboty.

W tej małej zatoczce wyspy Coiba było piekielnie gorąco. Otaczające ją wysokie góry zatrzymywały każdy powiew wiatru, a odbite od nich ciepło ogniskowało się w zatoce. Gdy łańcuch zazgrzytał w kluzie kotwicznej, Hornblower poczuł, że ogarnia go fala upalnego powietrza. Chociaż stał bez ruchu na pokładzie rufowym, był cały mokry od potu; zapragnął kąpieli i chwili odpoczynku. Żebyż to można było odczekać do wieczora, który na pewno przyniesie ochłodę. Ale nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Jak zawsze, czas był najważniejszy. Muszą się zabezpieczyć, zanim Hiszpanie wykryją miejsce ich schronienia.

— Wezwać z powrotem kuter — rozkazał.

Na lądzie było jeszcze upalniej niż na wodzie. Hornblower kazał się zawieźć łodzią na piaszczysty brzeg, sondując po drodze głębokość i badając uważnie próbki dna, które przyklepiały się do wysmarowanego łożem wgłębienia w ołowiance. Dno jest bez wątpienia piaszczyste — będzie mógł spokojnie wyciągnąć tu „Lydię” na brzeg. Wylądował w dżungli, gdzie nie czuło się najłżejszego powiewu wiatru, a sądząc po braku ścieżek wśród gęstych zarośli, nie było tu żadnego życia ludzkiego. Wysokie drzewa i krzewy, pnącza i pasożyty trwały splecione ze sobą w milczącej walce o życie. W mrocznym gąszczu gałęzi przelatywały nieznane ptaki, wydając dziwne odgłosy. W nozdrza uderzał fetor gnijącego poszycia. W towarzystwie złanej eskorty z muszkietami w dłoniach Hornblower przedzierał się przez las, aż dotarł do miejsca nad ujściem zatoki, gdzie skała była zbyt stroma, aby mogła się na niej utrzymać roślinność. Otoczył go oślepiający blask dnia. Spocony, ostatkiem sił wdrapał się na stromy występ. „Lydia” kołysała się leniwie na tle jaskrawego błękitu małej zatoki. Hornblower obejrzał uważnie przez lunetę sterczące wysoko występy na cyplu z drugiej strony wylotu, a potem wrócił na okręt i pchnął całą załogę do gorączkowej pracy.

Przed wyciągnięciem na brzeg trzeba było „Lydię” odbalastować, by cieśla ze swymi ludźmi mógł rozpocząć pracę nad łataniem dna. Musieli też zabezpieczyć zatoczkę przed ewentualnymi intruzami na czas, gdy „Lydia” będzie leżeć bezbronna, przechylona na burtę. Założono talie i z pokładu głównego ściągnięto osiemnastofuntowe działa, z których każde ważyło dwie tony. Kuter, ostrożnie prowadzony i dokładnie zrównoważony, ledwo mógł udźwignąć jedno takie monstrum. Przewożono więc je kolejno na ląd, gdzie Rayner i Gerard z grupą ludzi przygotowywali dla nich stanowiska. Inni w pocie czoła pracowali nad jakim takim wygładzeniem pasma zbocza, a ledwo zakończyli tę pracę, już dano im liny i talie, by wciągnęli działa na górę po tym wyrównanym

odcinku ściany skalnej. Pozostali wnosili proch, pociski i zapasy żywności i wody dla obsługi dział. Po trzydziestu sześciu godzinach wyczerpującej pracy „Lydia” stała się lżejsza o sto ton, a wejście do zatoki było tak zabezpieczone, że statek, który by się chciał tam dostać, musiałby stawić czoło morderczemu ogniovi dwudziestu dział.

Tymczasem inna część załogi pracowała zapamiętałe na brzegu, za piaszczystą plażą. Wycięto kawałek lasu i ze zwalonych drzew ułożono prymitywne ogrodzenie; do środka tego zaimprovizowanego fortu, pomiędzy pnie ściętych drzew, marynarze wnosili baryłki z mięsem i prochem, wory mąki, drzewca, broń i skrzynie pocisków. Wkrótce „Lydia”, pusta jak wydrążona skorupa, kołysała się na drobnych falach zatoczki. Załoga ustawiła daszki z płótna żaglowego dla osłony przed częstymi ulewami tropikalnymi, a dla oficerów zbudowano proste drewniane domki — jeden z nich przeznaczono dla kobiet.

Rozkaz zbudowania domku dla kobiet stanowił jedyny dowód, że Hornblower pamięta o ich istnieniu. W nawale pracy, dźwigając na barkach ogromną odpowiedzialność, nie miał ani czasu, ani sił na rozmowy z Lady Barbarą. Był zmęczony, a upalne, nasyczone wilgocią powietrze odbierało mu resztki energii. Lecz wobec konieczności pośpiechu naturalną jego reakcją na te warunki było uporczywe zmuszanie się do coraz cięższej pracy, przekraczającej granice rozsądku. Ogarnięty obsesją pośpiechu Hornblower kończył każdy dzień w stanie koszmarnego zmęczenia, a minuty spędzone z Lady Barbarą były dlań jak mignięcia, w których majaczącemu w gorączce mężczyźnie zjawia się przed oczyma piękna kobieta.

Gnał ludzi do ciężkiej pracy od świtu do nocy i kazał im harować jak niewolnikom w miażdżącym upale, a oni mówiąc o nim między sobą, kiwali głowami z ponurym podziwem. Nie mieli żalu, że żąda od nich takiego wysiłku; to było niepodobne do marynarzy brytyjskich, kierowanych przez człowieka, który nie szczędził także samego siebie. Ponadto — jak wszyscy angielscy ludzie morza — pracowali tym bardziej ochoczo, im bardziej niezwykle były warunki, w których się znajdowali. Cieszyło ich i podniecało wszystko — spanie na piasku, zamiast w dużo wygodniejszych hamakach, i to, że pracują na lądzie stałym, a nie na okręcie, i że zamiast widzieć odległy horyzont, osaczeni są zewsząd gęstwiną leśną.

Robaczki świętojańskie, od których roiło się w dżungli, dziwne owoce zbierane przez jeńców z „Natividad”, zagnanych do tej pracy, a nawet Moskity, będące tu istną plagą, urozmaicały żywot załogi. Zboczem jednej ze skał, w której sąsiedztwie ustawiono baterie dział, chroniące wejście do zatoki, spływał z szumem przejrzysty strumień górski i chociaż raz w życiu mieli tyle słodkiej wody, ile chcieli — a dla ludzi, którzy miesiącami musieli się godzić na to, że przy beczkach z wodą do picia stoi nieustannie warta, był to luksus wprost niesłychany.

Wkrótce na piaszczystym brzegu z dala od miejsca stale pilnowanego przez wartowników, gdzie złożono baryłki z prochem, przykryte płótnem żaglowym, zapłonęły ogniska, nad którymi topiono smołę z magazynu bosmańskiego. Jakoś mało było akurat takich, którzy coś przeszkrobali; żeby więc nadażyć z szarpaniem lin na pakuły — chociaż była to praca wykonywana zwykle przez ludzi odsiadujących karę — część załogi musiała w niej pomóc. Tymczasem „Lydia” została przechylona na burtę i cieśla zabrał się do naprawy jej dna. Dziury od pocisków zabito drewnianymi kołkami, nadwątłone szwy uszczelniono i zasmołowano, a brakujące blachy miedziane zastąpiono nowymi, których kilka było jeszcze na szczęście w zapasie. Przez cztery dni zatoczka rozbrzmiewała

echem uderzeń młotków uszczelniający, a zapach topionej smoły z dymiących kotłów, donoszonych do grup zajętych uszczelnianiem, snuł się nad spokojną wodą.

Pod koniec czwartego dnia cieśla oznajmił, że zrobili już co trzeba, i Hornblower po dokładnym zlustrowaniu każdego kawałka dna musiał z oporem przyznawać mu rację „Lydię” wyprostowano i pustą jeszcze przeciągnięto za pomocą kotwicy zawoźnej i doholowano przez zatokę do stóp wysokiego urwiska, na którym stała jedna z baterii dział. Brzeg był tu na tyle stromy, że bez zapasów i uzbrojenia okręt mógł podejść i stanąć zupełnie blisko. Tymczasem sto stóp wyżej porucznik Bush ustawiał wysunięty żurawik kozłowy tak, aby znalazł się on niemal pionowo nad pokładem okrętu. Po wielu uciążliwych manewrach przycumowano „Lydię” tak precyzyjnie, że kikut jej bezanmasztu znalazł się w tej samej linii, co lina pionowa, opuszczona przez Busha z zawieszanej u góry talii. Wówczas wybito kliny, talie poszły w ruch i odłamana część masztu wyciągnięto z gniazda jak zepsuty ząb.

Ta część pracy była łatwa w porównaniu z następnym etapem. Trzeba było podnieść grotreję o długości siedemdziesięciu pięciu stóp do kozłów i zaczepić ją tak, aby zwisała pionowo w dół. W razie wyśliznięcia się ze stropów reja runęłaby jak monstrualna strzała i przebiwszy dno okrętu niechybnie by go zatopiła. Po ustawieniu rei dokładnie pionowo nad gniazdem bezanmasztu zaczęto ją opuszczać powoli, cal po calu, aż jej dolny koniec, prowadzony z najwyższą ostrożnością, przeszedł przez pokład główny i pokład najniższy i utkwiał mocno w osadzonym w następce gnieździe masztu. Teraz trzeba było tylko zamocować porządnie drzewce klinami, założyć nowe wanty i „Lydia” znów miała bezanmaszt zdolny do stawienia czoła wichrom przyłądka Horn.

Przeprowadzona na swoje poprzednie kotwicowisko, „Lydia” została ponownie załadowana baryłkami z wołowiną, armatami i materiałami strzelniczymi, z wyjątkiem tego co stanowiło wyposażenie baterii ustawionych przy wejściu do zatoczki. Tak obciążony, postawiony na równej stępce okręt mógł już teraz otrzymać olinowanie i stengi. Wszystkie liny znów przewleczono przez bloki i obciągnięto stały takielunek. Wymieniono zużyte części osprzętu i „Lydia” stała się znów okrętem tak samo sprawnym, jak w czasie gdy opuszczała Portsmouth, jako nowo zbudowana jednostka.

Dopiero teraz Hornblower miał czas na oddech i odpoczynek, na co nie mógł sobie pozwolić tak długo, dokąd dowodzony przezeń okręt nie był właściwie okrętem, lecz bezradnym kadłubem zamkniętym w wąskiej zatoce, zewsząd niemal otoczonej lądem. Jego sytuacja przed naprawieniem „Lydii” była znacznie gorsza niż los odszczepieńca zamkniętego w lochach Inkwizycji. Wokół siebie miał nieprzyjazny ląd, a kompletna bezradność i nieustanna obawa, że któreś nocy zbudzi się haniebnie obłożony, nie dawały mu chwili spokoju. Spacerując znów po pokładzie „Lydii” i przebiegając zadowolonym spojrzeniem po strzelającym w górę takielunku Hornblower miał uczucie człowieka, którego wypuszczono z celi śmierci. Ucichł szcęk pomp prześladowający go nieustannie w ciągu ostatnich dwóch tygodni krążenia po morzu, a świadomość, że pod stopami ma mocny pokład i że nie będzie już musiał planować żadnych akcji przed powrotem do Anglii, napełniała go szczęściem.

Właśnie demontowano jedną z baterii, ustawionych u wejścia do zatoczki, i kolejno przewożono działa na pokład. Mając już baterię burtową gotową do strzału i okręt zdolny do manewrowania, mógł sobie nic nie robić ze wszystkich okrętów hiszpańskich na Pacyfiku. To było

wspaniałe uczucie. Obejrzawszy się, zobaczył na pokładzie rufowym Lady Barbarę i uśmiechnął się do niej szeroko.

— Witam panią — powiedział. — Mam nadzieję, że znów ma pani wygodną kabinę?

Lady Barbara odwzajemniła jego uśmiech — w istocie omal się nie roześmiała, tak zabawny był kontrast między tym miłym powitaniem a gniewnymi spojrzeniami, jakimi ją darzył w ciągu ubiegłych jedenastu dni.

— Dziękuję, kapitanie — odrzekła. — Jest wspaniała. Mam wszystkie wygody. Pańska załoga dokazała cudów, robiąc to wszystko w tak krótkim czasie.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, kapitan ujął jej obie dłonie w swoje ręce i trzymał je przez chwilę, a na jego twarzy oświetlonej słońcem malował się wyraz absolutnego szczęścia. Lady Barbara pomyślała, że jeszcze słowo z jej strony, a Hornblower zacznie tańczyć.

— Przed zachodem słońca będziemy już na morzu — powiedział z uniesieniem.

Nie potrafiła zachowywać się dostojnie w stosunku do niego, tak jak nie umiałyby być dostojna wobec dziecka; знаła na tyle mężczyzn i życie, aby nie czuć się dotkniętą jego poprzednim zachowaniem. Tak naprawdę to nawet polubiła go trochę za to.

— Jest pan świetnym żeglarzem, sir — rzekła nagle. — Wątpię, czy znalazłby się inny oficer w służbie królewskiej zdolny do dokonania tego, czego pan dokonał w czasie tej podróży.

— Cieszę się, że pani tak sądzi — odpowiedział, lecz czar prysnął. Wystarczyło kilka słów na jego temat i już przekłeta nieśmiałość znów wzięła w nim górę. Niezręcznie wypuścił jej dłonie z uścisku swych rąk, a jego opalona twarz pokryła się lekkim rumieńcem.

— Spełniłem tylko swój obowiązek — mruknął odwróciwszy wzrok.

— To potrafi wiele ludzi — odrzekła Lady Barbara — ale mało kto czyni to dobrze. Nasz kraj jest pańskim dłużnikiem i żywię najszczęśliwszą nadzieję, że Anglia uzna ten dług.

Słowa te obudziły w Hornblowerze myśli, które nieraz snuł przedtem. Anglia będzie pamiętać tylko to, że jego bitwa z „Natividad” nie była potrzebna; że inny kapitan, mający nieco więcej szczęścia, dowiedziałby się o nowo zawartym przymierzu między Hiszpanią i Anglią przed przekazaniem okrętu rebeliantom, co oszczędziłoby tych wszystkich kłopotów, tarć i strat, które wynikły z tego faktu. Stoczona przez fregatę walka, opłacona setką zabitych i rannych, mogłaby stać się powodem do sławy, lecz niepotrzebna akcja, która pochłonęła sto ofiar, była czymś haniebnym. Nikt się przy tym nie zastanowi, że przyczyną tego było dokładne przestrzeganie rozkazów i umiejętność ich wykonania. Będzie się go winić za to, czego dokazał z takim trudem. Życie stało się nagle znów pełne goryczy.

— Przepraszam panią — rzekł i odwróciwszy się od niej ruszył ku przodowi i ostrym tonem zaczął wydawać rozkazy ludziom zajęтым wciąganiem osiemnastofuntówki z szalupy na pokład.

Patrząc, jak odchodzi, Lady Barbara pokiwała głową.

— Coś podobnego! — powiedziała miękko sama do siebie. — On był niemal ludzki przez chwilę!

W ciągu przymusowej samotności Lady Barbara — niczym mieszkaniec bezludnej wyspy — zaczęła nabierać nawyku mówienia do siebie samej. Zreflektowała się szybko, zauważywszy to; zeszła na dół i wyłajała głośno Hebe za drobne przeoczenie przy rozpakowywaniu kufra z garderobą.

Rozdział XXI

Okręt obiegra pogłoska, że „Lydia” nareszcie wraca do kraju. Ludzie walczyli i pracowali najpierw po jednej stronie, potem po drugiej, nie rozumiejąc pobudek wielkiej polityki, które decydowały, przeciw komu mają się bić, a dla kogo pracować. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy zastanawiać się nad tym, że Hiszpanie, którzy początkowo byli ich przeciwnikami, a potem przyjaciółmi — zajęli w końcu neutralne, lecz niemal wrogie stanowisko. Woleli wypełniać rozkazy nie myśląc. Lecz teraz pogłoska, że wracają do domu, wydawała się zupełnie pewna. Marynarzom, którzy nie grzeszyli nadmiarem wyobraźni, zdawało się że Anglia jest tuż za widnokretem. Nie myśleli o leżących przed nimi pięciu tysiącach mil burzliwej drogi. Głowy ich pełne były Anglii. Ci, których wzięto siłą, myśleli o żonach, ochotnicy o kobietach w portach i uciechach jakie ich czekają, gdy się zwolnią ze służby. Radości nie zaciemniało im nawet to, że mogą zostać przerwani na inny okręt i posłani znów na drugi koniec świata, zanim zdążą postawić stopę na angielskiej ziemi.

Rzucili się z zapalem do wyciągania „Lydii” na kotwicach zawoźnych z zatoczki i żaden nie obejrzał się z żalem na miejsce, które dało im schronienie i umożliwiło wyruszenie w drogę do domu. Na masztach, dokąd wdrapali się, aby stawiać żagle, śmiali się i błaznowali jak gromada małp. Kiedy nadszedł wieczór — ciepły i spokojny — ludzie z wolnej włości od zajęć wachty tańczyli, podczas gdy „Lydia” szła gładko pod pomyślnym wiatrem przez błękitny Pacyfik. W nocy kapryśny wiatr tropikalny przycichł i zamienił się w słaby powiew, a później w niepewne podmuchy, od których łopotały żagle i trzeszczał takielunek. Wachta miała pełne ręce roboty przy brasach z nieustannym trymowa-niem żagli.

Hornblower ocknął się na swej koi o chłodnej godzinie świtu. Było jeszcze za ciemno, żeby dojrzeć, co pokazuje kompas kontrolny wmontowany w deski pokładu nad jego głową, lecz z długiej fali, która kołysała okręt, i sporadycznych hałasów nad głową zorientował się, że mają spokojną pogodę. Zbliżał się już czas na poranną przechadzkę po pokładzie i w błogim poczuciu, że nie musi już o niczym decydować, Hornblower czekał, aż Polwheal przyjdzie i poda mu ubranie. Naciągał właśnie spodnie, gdy nad włazem rozległ się głos marynarza na oku:

— Widać żagle! Z lewej burty na trawersie. To znowu ten lugier, sir.

Przyjemny nastrój beztroski rozwiął się błyskawicznie. Ten lugier to jego zły omen. Dwakroć widzieli go w tejże Zatoce Panamskiej i za każdym razem niósł im złe wieści. Z niepokojem charakterystycznym dla ludzi przesądnych Hornblower pomyślał, co przyniesie mu to trzecie

spotkanie. Wyrwał mundur z rąk Polwheala i naciągał go, idąc spiesznie w górę zejściówką.

Istotnie był to ten sam lugier; stał, unieruchomiony ciszą, w odległości około dwóch mil od „Lydii”. Kilku oficerów — widocznie nie mniej przesądnych niż ich kapitan, skierowało w tamtą stronę lunety. — Jest coś w ich takielunku, co mi się mocno nie podoba — mruczał Gerard.

— Zwykła hiszpańska guarda-costa[36] — rzekł Crystal. — Widziałem ich tuziny. Pamiętam, jak niedaleko Hawany...

— Kto ich nie widział — przerwał mu Gerard szorstko. — Mówiłem... patrzcie! Łódź odbija od luga.

Obejrzał się i zobaczył kapitana wychodzącego na pokład.

— Lugier wysłała łódź, sir.

Hornblower starał się z całych sił przyjąć obojętny wyraz twarzy. Mówił sobie, że dowodząc teraz najszybszym i najlepiej uzbrojonym okrętem na całym Pacyfiku nie potrzebuje bać się niczego. „Lydia” jest przygotowana do podróży z jednej półkuli na drugą i zdolna do pokonania każdego okrętu o sile do pięćdziesięciu dział. A zatem widok luga nie powinien go niepokoić. Lecz tak wcale nie było.

Przez długie minuty obserwowali, jak łódź podskakując płynie w ich kierunku, niesiona martwą falą. Początkowo wyglądała jak czarny punkcik pojawiający się od czasu do czasu na grzebieniach fal, ale w krotce było już widać pióra wioseł odbijające promienie leżącego jeszcze, nisko słońca i łódź wyglądała teraz jak wielki czarny owad wodny pełznący po powierzchni. Wkrótce zbliżyła się na odległość głosu i kilka minut później ten sam młody oficer hiszpański we wspaniałym mundurze wdrapał się po raz trzeci na pokład „Lydii” i został powitany ukłonem przez Hornblowera.

Nie usiłował nawet maskować ciekawości zmieszanej z podziwem, gdy zobaczył, że awaryjny bezanmaszt zniknął i został zastąpiony nowym, tak samo wyposażonym i równie sprawnym, jak maszty ustawiane w stoczni; widział starannie załatane dziury po kulach i zorientował się, że pompy już nie pracują. Znaczyło to, że w czasie tych szesnastu dni od ostatniego spotkania „Lydia” została całkowicie odremontowana, i to — jak wiedział na pewno — bez pomocy z lądu i bez zachodzenia do portu, chyba że zrobili to wszystko w jakiejś nie zamieszkałej zatoczce.

— Jestem zaskoczony, że widzę tu pana znowu, sir — rzekł.

— Dla mnie — odpowiedział Hornblower z kurtuazją — jest to równie duża przyjemność, jak zaskoczenie.

— I dla mnie to przyjemność — śpiesznie dodał Hiszpan — lecz sądziłem, że jest już pan daleko w drodze powrotnej.

— Jestem w drodze powrotnej — odrzekł Hornblower, zdecydowany w miarę możliwości nie dawać powodu do obrazy — lecz jak pan widzi, sir, na razie nie upłynąłem daleko. Jednakże, co pan

zapewne zauważył, dokonałem koniecznych napraw i teraz już nic nie powstrzyma mnie od podążania możliwie najszybciej ku Anglii — chyba że zaszłoby coś, co by sprawiło, iż dla wspólnego dobra naszych obu krajów byłoby rzeczą wskazaną, bym pozostał dłużej na tych wodach.

Hornblower wyrzekł te słowa z pewną obawą i już obmyślał wymówki, które mogłyby uwolnić go od konsekwencji tej oferty w razie jej przyjęcia. Lecz odpowiedź Hiszpana uspokoiła go.

—Dziękuję, sir—odrzekł — lecz nie ma potrzeby, abym korzystał z pańskiej uprzejmości. Dominia jego katolickiej królewskiej mości potrafią obronić się same. Jestem przekonany, że jego królewska mość król Brytanii będzie rad widzieć tak piękną fregatę wracającą, aby pomagać jego sprawie.

Po tej wymianie grzeczności obaj kapitanowie skłonili się sobie głęboko, a Hiszpan ciągnął dalej:

— Myślałem, sir, że gdyby korzystając z panującej ciszy, zechciał pan zrobić zaszczyt i złożyć mi wizytę na moim statku, pokazałbym waszej ekscelencji coś, co mogłoby pana zainteresować i przekonać go, że potrafimy sobie radzić bez pańskiej uprzejmej pomocy.

— Cóż to takiego? — zapytał podejrzliwie Hornblower.

Hiszpan uśmiechnął się.

— Sprawiłoby mi przyjemność, gdybym mógł zrobić panu niespodziankę. Proszę, niech mi pan nie odmówi.

Hornblower odruchowo potoczył wzrokiem po widnokręgu, a potem spojrzał badawczo na twarz Hiszpana. Nie wyglądał na głupca, a tylko głupiec mógł obmyślać zdradę, znajdując się niemal w zasięgu dział fregaty, która jedną salwą burtową mogła zatopić jego stateczek. I chociaż większość Hiszpanów to wariaci, żaden nie byłby na tyle szalony, aby zastosować gwałt wobec kapitana brytyjskiego. Poza tym cieszył się już naprzód myślą, jak jego oficerowie przyjmą oznajmienie, że udaje się na pokład lugra.

— Dziękuję, sir — odpowiedział. — Z największą przyjemnością będę panu towarzyszył.

Hiszpan skłonił się ponownie, a Hornblower zwrócił się do pierwszego oficera.

— Udaję się z wizytą na lugier, panie Bush — oznajmił.

— Będę tam krótko. Proszę opuścić kuter i posłać go za mną, żebym mógł nim wrócić.

Hornblower rozkoszował się, widząc jak Bush usiłuje ukryć konsternację wywołaną tą nowiną.

— Tak jest, sir — odpowiedział. Otworzył usta, jakby chcąc protestować, lecz nie śmiał. Powtórzył tylko jeszcze raz słabym głosem: — Tak jest, sir.

Gdy płynęli łódeczką w stronę lugra, Hiszpan był wprost uosobieniem kurtuazji. Gawędził uprzejmie na temat pogody, wspominał o ostatnich wiadomościach dotyczących wojny w Hiszpanii — nie było wątpliwości, że w Andaluzji armia francuska poddała się Hiszpanom i że armie hiszpańska i brytyjska zabierają się do wspólnego marszu na Francję. Opisał spustoszenia, jakie sieje na lądzie żółta febra. Ale przez cały czas nie napomknął ani słowem o rodzaju niespodzianki, jaką miał dla Hornblowera na lugrze.

Wywindowawszy się na śródokręcie, obaj kapitanowie zostali powitani z całym hiszpańskim ceremoniałem. Było dużo zamieszania i prezentowania broni, a dwie trąby i dwa bębny wygrywały marsza bardzo głośno i okropnie fałszując.

— Na tym okręcie wszystko jest do pańskiej dyspozycji, sir — rzekł Hiszpan z kastylijską kurtuazją i nie czując niestosowności następnego swego zdania dodał: — Czy jego ekscelencja napije się czegoś? Może filiżankę czekolady?

— Dziękuję — odrzekł Hornblower. Nie miał zamiaru zniżyć się do zapytania, co też za niespodziankę mają dlań w zanadru. Mógł poczekać — tym bardziej że szalupa była już wpół drogi do lugra.

Hiszpan też się nie spieszył. Wyraźnie delektował się już z góry zaskoczeniem Anglika. Zwrócił uwagę Hornblowera na pewne szczególne cechy takielunku lugra, zwołał oficerów i przedstawił ich Hornblowerowi, podkreślając zalety swej załogi — prawie wszyscy rodowici Indianie, jak na „Natividad”. W końcu Hornblower zwyciężył, Hiszpan nie mógł się doczekać pytania.

— Pozwoli pan tędy, sir — rzekł i poprowadził go na pokład dziobowy. A tam, obwiązany w pasie łańcuchem przykutym do pierścieni w pokładzie, z kajdanami na rękach i nogach, był el Supremo.

Odziany w szmaty — faktycznie na pół nagi — z brodą i włosami zmierzwionymi i rozczochranymi, tkwił na pokładzie zbrukany wokół niego jego własnymi odchodami.

— Przypuszczani, sir — rzekł kapitan hiszpański — że miał pan już przyjemność poznać jego ekscelencję Don Juliana Marię de Jesus de Alvarado y Montezuma, który zwie siebie Wszechmocnym?

El Supremo nie pokazał po sobie, że są mu przykre te drwiny.

— W istocie, kapitan Hornblower został mi już przedstawiony — rzekł wyniośle. — Pracował dla mnie długo i z oddaniem. Mam nadzieję, kapitanie, że cieszy się pan dobrym zdrowiem?

— Dziękuję, sir — odrzekł Hornblower.

Mimo łańchmanów, nieczystości i łańcuchów el Supremo zachowywał się z tą samą narzuconą sobie godnością, jak wówczas, gdy parę tygodni temu Hornblower miał z nim do czynienia.

— Ja również — ciągnął el Supremo — czuję się doskonale. Jest dla mnie źródłem nieustannej

satisfakcji to, że widzę, jak moje sprawy świetnie posuwają się naprzód.

W tym momencie na pokładzie zjawił się czarny służący z filiżankami czekolady na tacy, a za nim szedł inny z krzesłami. Na zapraszający gest gospodarza Hornblower usiadł — był zadowolony, że może to uczynić, gdyż czuł, jak mu słabną kolana. Nie miał jednak absolutnie ochoty na czekoladę. Hiszpański kapitan pił ze swej filiżanki z głośnym siorbaniem, a el Supremo przyglądał mu się uważnie. Na jego twarzy pojawił się wyraz apetytu. Oblizwał się, cmoknął wargami, oczy zalśniły mu pożądlivym blaskiem, wyciągnął rękę... Ale już po chwili miał znów wygląd człowieka spokojnego i obojętnego.

— Mam nadzieję, sir, że smakuje panu czekolada — rzekł. Zamówiłem ją specjalnie dla pana. Sam dawno przestałem mieć apetyt na czekoladę.

— To się dobrze składa — odrzekł kapitan hiszpański. Roześmiał się głośno i pił dalej, oblizując wargi.

El Supremo zignorował go i zwrócił się do Hornblowera.

— Jak pan widzi, noszę te łańcuchy — rzekł. — To dziwna zachcianka z mojej strony i ze strony mojej służby. Ale mam nadzieję, że pan się zgodzi ze mną, iż wspaniale uwydatniają moją figurę?

— T-tak, sir — wystękał Hornblower.

— Zdążamy do Panamy, gdzie zasiądę na tronie świata. Mówią o powieszeniu; ci tutaj odgrają się, że szubienica czeka już na nas na stokach cytadeli. To będą ramy mego złotego tronu. Złotego, będzie taki, z diamentowymi gwiazdami i wielkim turkusowym księżycem. Stamtąd będę ogłaszał przyszłe wyroki mej woli dla świata.

Kapitan hiszpański znów zaśmiał się rubasznie, lecz el Supremo stał wciąż ze spokojną godnością, tuląc do siebie łańcuchy, a słońce świeciło mu prosto w skołtunioną głowę.

— Nie utrzyma się długo w tym nastroju — rzekł Hiszpan półgłosem do Hornblowera. — Dostrzegam już oznaki nadchodzącej zmiany. Jestem niezmiernie szczęśliwy, że ma pan możność widzieć go w obu nastrojach.

— Słońce jest co dzień wspanialsze — odezwał się el Supremo. — Jest równie wszechmocne i straszne jak ja. Potrafi zabijać-zabijać-zabijać... jak zabijało ludzi, których wystawiałem na jego działanie... kiedy to było? A Montezuma nie żyje i cały jego ród, prócz mnie wymarł setki lat temu. Ja jeden trwam. Hernandez także nie żyje, ale to nie słońce go zabiło. Powiesili Hernandeza, jeszcze gdy krew ciekła z jego ran. Wieszali go w moim mieście, San Salvador, a jak mu zakładali sznur, wciąż wzywał imienia el Supremo. Wieszali mężczyźni i wieszali kobiety długimi rzędami w San Salvador. Został tylko el Supremo, żeby rządzić ze swojego złotego tronu. Swego tronu! Swego tronu!

El Supremo toczył teraz wokoło nieprzytomnym spojrzeniem. Na brzęk łańcuchów, którymi był

przykuty, przebłysk świadomości wywołał przerażenie na jego twarzy. Wpatrywał się w nie półprzytomnie.

— Łańcuchy! To są łańcuchy!

Wrzeszczał i miotał obelgi, to znów śmiał się obłąkanym śmiechem, szlochał i wił się po pokładzie, gryząc więzy. Twarz wykrzywiła mu się w straszliwy grymas i ślina ciekła z ust, gdy wywrzaskiwał słowa, których sensu nie można już było zrozumieć.

— Ciekawe, nieprawdaż? — rzekł kapitan hiszpański. — Czasem tak rzuca się i wrzeszczy przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy.

— Ba! — mruknął Hornblower, a krzesło upadło z trzaskiem na pokład, gdy podnosił się z niego. Z trudem powstrzymywał wymioty. Hiszpan widząc jego pobladłą twarz i drżące wargi nawet nie ukrywał rozbawienia.

Hornblower nie mógł jednak dać ujścia fali protestu, która w nim wezbrała. Ostrożny umysł podpowiadał mu, że na tak małym stateczku, jak lugier, człowiek obłąkany musi być przykuty łańcuchami do pokładu, a bezlitosne sumienie przypomniało mu katusze zadawane bez skrupułów przez el Suprema. Ten hiszpański zwyczaj robienia przedstawienia z szaleństwa i wielkości był odrażający, ale podobne wypadki zdarzały się dość często w historii Anglii. Jeden z największych pisarzy angielskich, a ponadto wysoki dostojnik kościelny, znajdujący się w stanie obłąkania, był pokazywany publicznie za pieniądze. Mógł spróbować tylko jednego wyjścia.

— Zamierza pan go powiesić w tym stanie umysłu? — zapytał. — Bez stworzenia mu szansy pojednania się z Bogiem?

Hiszpan wzruszył ramionami.

— Wszyscy rebelianci obłąkani czy normalni, muszą wisieć. I pan, ekscelencjo, wie o tym równie dobrze jak ja.

To była prawda. Nie pozostał mu żaden argument. Wymamrotał coś niewyraźnie, choć wewnątrz gotowało się w nim wszystko z pogardy do samego siebie za takie postępowanie. Straciwszy godność we własnych oczach, mógł już teraz starać się tylko o zachowanie choćby jej pozorów w oczach otaczających go ludzi. Zebrał się w sobie, świadomy daremności oszustwa.

— Muszę panu bardzo podziękować, sir — rzekł — za danie mi możliwości obejrzenia niezwykle ciekawego widowiska. A teraz, dziękując raz jeszcze, muszę niestety odpłynąć. Wygląda na to, że zaczyna się bryza.

Starając się trzymać możliwie prosto poszedł ku burcie lugra i dostawszy się do szalupy usiadł na ławce rufowej. Musiał znowu zmobilizować swe siły do tego, by wydać rozkaz odrzucenia cum, a potem przez całą drogę powrotną siedział milczący i ponury. Bush, Gerard i Lady Barbara obserwowali go, gdy wchodził na pokład. Twarz jego wyglądała jak twarz człowieka, który stanął oko w oko ze śmiercią. Potoczył wokół nic nie widzącym, nieprzytomnym spojrzeniem i zbiegł na

dół, żeby ukryć swój ból. Przez chwilę nawet łkał, leżąc twarzą na koi, lecz otrząsnął się i zaczął sobie wymyślać od słabeuszów i durniów. Musiało jednak minąć parę dni, zanim odblask śmierci znikł z jego twarzy, a przez ten czas siedział w ukryciu swej kabiny, niezdolny do przyłączenia się do rozbawionych grup załogi na pokładzie rufowym, skąd wesołe rozmowy dolatywały doń przez świetlik. To, że dał się wprawić w taki stan widokiem zbrodniczego szaleńca, którego miał spotkać los, na jaki sobie w pełni zasłużył, było dla Hornblowera jeszcze jednym dowodem własnej słabości i głupoty.

Rozdział XXII

W ciepłą noc księżycową Lady Barbara i porucznik Bush gawędzili siedząc przy relingu rufowym. Po raz pierwszy zdarzyło się, że Bush przebywał z nią tete a tete, a był to zupełny przypadek — przypuszczalnie gdyby to przewidział, postarałby się uniknąć tej rozmowy. Lecz gdy już ją zaczął, znajdował w tym taką przyjemność, że zapomniał o wszelkim skrępowaniu. Siedział na stosie wypchanych pakułami poduszek, które Harrison zrobił dla Lady Barbary, i obejmował dłońmi kolana, a ona wyciągnęła się wygodnie na leżaku. „Lydia” wznosiła się i opadała miękko w takt powolnego rytmu fal i melodyjnego szmeru trącanego powiewem takielunku. Jasny księżyc oświetlał białe żagle, a w górze gwiazdy świeciły dziwnie jasno. Lecz Bush nie mówił o sobie, jak by to czynił w księżycową tropikalną noc każdy dorzecznym mężczyzna, mając obok siebie młodą kobietę.

— Tak jest, madam — powiedział. — On jest jak Nelson. Tak samo nerwowy jak Nelson. I nawet to samo go drażni. Cały czas myśli... pani byłaby zdziwiona, gdyby pani wiedziała, o ilu rzeczach on myśli.

— Nie sądzę, żeby mnie to zdziwiło — odrzekła Lady Barbara.

— Bo pani sama też myśli. Miałem właściwie powiedzieć, że to my, głupi ludzie, byśmy się zdziwili. On ma więcej rozumu niż my wszyscy, cała reszta na tym okręcie razem, oczywiście z wyjątkiem pani, madam. Mówię pani, on jest cholernie mądry.

— Wierzę panu.

— Jest najlepszym żeglarzem z nas wszystkich, a jeśli chodzi o nawigację... Crystal to dureń w porównaniu z nim, madam.

— Tak?

— Oczywiście czasem bywa, że nie cacka się ze mną jak z jajkiem, taki sam zresztą jest dla wszystkich, ale niech pani sama powie, czy można się czego innego spodziewać. Wiem, ile kłopotów ma na głowie, a przecież nie jest silny, tak samo jak Nelson nie był silny. Czasami martwię się o niego, .proszę pani.

— Pan go lubi.

— Czy go lubię, proszę pani? — Twardy angielski umysł Busha borykał się przez chwilę z tym

określeniem i sentymentalnymi skojarzeniami, które ono budziło. Uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Kiedy pani tak mówi, to chyba tak jest. Nigdy dotąd nie pomyślałem, że go lubię. On mi się podoba, madam, ot co.

— To właśnie miałam na myśli.

— Ludzie go uwielbiają, madam. Zrobiliby wszystko dla niego. Niech pani tylko pomyśli, ile zdziałał w czasie tej podróży, i to nie stosując chłosty nawet raz na tydzień. Właśnie dlatego on jest jak Nelson. Kochają go nie za to, co robi lub mówi; lecz za to, jaki jest.

— Jest na swój sposób przystojny — zauważyła Lady Barbara. Nie byłaby kobietą, żeby nie zwrócić na to uwagi.

— Chyba tak, kiedy już pani mówi o tym. Ale jeśli o nas chodzi, to niech sobie nawet będzie paskudny jak sam diabeł, dla nas to nie ważne.

— Oczywiście że nie.

— Ale on jest nieśmiały, łaskawa pani. Nigdy mu nie przyjdzie do głowy, że jest mądry. Zawsze mnie to u niego dziwi. Łaskawa pani nie uwierzy, ale on ma nie więcej wiary w siebie, jak... jak, powiedzmy, na przykład ja w siebie, proszę pani. A nawet, proszę pani, mniej.

— Jakie to dziwne! — rzekła Lady Barbara. Przywykła do upartej pewności siebie swych braci, niekochanych i nie wzbudzających miłości u tych, którymi dowodzili. Intuicja kazała jej wyrzec te słowa z grzeczności — to, co mówił Bush, nie było dla niej w istocie tak dziwne.

— Niech pani patrzy, madam — rzekł nagle Bush ścisząc głos.

Hornblower wyszedł na pokład. Widzieli jego twarz, białą w świetle księżyca, gdy rozglądał się po pokładzie, aby się upewnić, że wszystko na jego okręcie jest w porządku. Mogli z niej wyczytać udrękę. W czasie tych kilku sekund pobytu na pokładzie wyglądał jak ktoś zupełnie zagubiony.

— Dałbym nie wiem co, żeby się dowiedzieć — rzekł Bush, gdy Hornblower udał się znów do swej kabiny, by tam przebywać w samotności — co te diabły powiedziały mu albo zrobiły, kiedy pojechał na ten ich lugier. Hooker, co był wtedy w kutrze, mówił, że słyszał stamtąd czyjeś opętańcze wrzaski. Podłe diabły! Na pewno popisywali się przed nim swoim bestialstwem. Sama pani widziała, jak to na niego podziałało.

— Tak — rzekła miękko Lady Barbara.

— Bardzo przepraszam za śmiałość, proszę pani, ale prosiłbym, żeby pani spróbowała go troszeczkę rozruszać, żeby tak wciąż nie myślał. Mam podejrzenie, że trzeba mu jakiejś rozrywki. Może pani coś poradzi... ja bardzo przepraszam, proszę pani.

— Spróbuję — odrzekła Lady Barbara. — Ale nie sądzę, żeby mi się powiodło tam, gdzie panu się nie udało. Widzi pan, panie Bush, kapitan Hornblower nigdy nie zwracał na mnie większej

uwagi.

Na szczęście jednak formalne zaproszenie na zjedzenie obiadu z Lady Barbarą, przekazane przez Hebe Polwhealowi, a przez niego kapitanowi, przyszło w momencie, gdy Hornblower sam zapragnął uwolnić się od czarnego nastroju, w którym był pogrążony. Przeczytał jej słowa z równą starannością, z jaką ona je sformułowała — a zadała sobie wiele trudu. Lady Barbara przepraszała, że mu przeszkadza, kiedy jest z pewnością zaabsorbowany swoją pracą; dowiedziała się jednak od pana Busha, że „Lydia” będzie właśnie przepływała równik i sądzi, że okazja ta zasługuje na uczczenie w jakiś spokojny sposób. Lady Barbara byłaby więc zachwycona, gdyby kapitan Hornblower zechciał sprawić jej przyjemność swym towarzystwem przy obiedzie i był tak uprzejmy wskazać, którzy oficerowie jego zdaniem powinni również zostać zaproszeni. Odpowiedź brzmiała, iż kapitan Hornblower z wielką przyjemnością przyjmuje uprzejme zaproszenie na obiad i ma nadzieję, że Lady Barbara zaprosi oprócz niego tych, których sama zechce.

Było jednak coś, co mąciło mu radość powrotu do towarzystwa. Hornblower nigdy nie był zamożny, a w okresie gdy obejmował służbę na „Lydii”, nie wiedział już, do kogo zwrócić się o pożyczkę, aby zostawić Marii dość pieniędzy na względnie dostatnie życie. W rezultacie nie miał za co sprawić sobie wszystkiego, co mu było potrzebne z osobistych rzeczy, i teraz, po tylu miesiącach w morzu, jego odzież ledwo się trzymała. Mundury były połatane i wszędzie nosiły ślady cerowania; miedziane błyski epoletów zdradzały, że są tylko pozłacane; trójgraniaste kapelusze zupełnie straciły fason; nie miał też ani jednej pary całych bryczesów ni pończoch, a białe niegdyś szale straciły apreturę i nikt nie dałby się teraz nabrać, że są zrobione z jedwabiu. Tylko kord „wartości pięćdziesięciu gwinei” zachował dobry wygląd. Ale nie mógł przecież przypiąć go idąc na proszony obiad.

Zdawał sobie sprawę, że białe drelichowe spodnie, uszyte na „Lydii”, nie mają nic z tego modnego kroju, do jakiego przywykła Lady Barbara. Wyglądał nędznie i czuł się nędznie. Przeglądając się w swoim małym lusterku był pewny, że Lady Barbara będzie drwić z niego. W jego ciemnych włosach pojawiły się już pierwsze siwe pasma, a gdy zrobił równy przedziałek, spostrzegł błysk nagiej różowej skóry — tak bardzo posunął się ostatnio w łysieniu. Patrzył z niesmakien na swoje odbicie, a mimo to czuł, że oddałby rękę, nogę albo resztę włosów na głowie za order, który olśniłby Lady Barbarę; cóż, kiedy i to niewiele by pomogło, gdyż ona całe życie obracała się w atmosferze Podwiązek i Ostów[37], czyli takich orderów, o jakich on nie mógł nawet marzyć.

Już miał posłać do Lady Barbary wiadomość, że się rozmyślił i nie będzie u niej tego wieczora na obiedzie, lecz się zreflektował. Gdyby to zrobił po tych wszystkich przygotowaniach, Polwheal odgadłby, że uczynił to w rezultacie zdania sobie sprawy ze stanu swej garderoby i śmiałby się z niego (i z jego ubioru). Przybył więc na obiad i mścił się na otoczeniu, siedząc milcząco na honorowym miejscu przy stole i mroząc swą ponurą obecnością wszelkie próby rozmowy. Zatem uroczystość zaczęła się źle. Nie była to zbyt szlachetna zemsta, niemniej jednak Hornblower miał małą satysfakcję, obserwując, jak Lady Barbara spogląda na niego z troską. Ale pod koniec i to mu zostało odebrane, gdyż Lady Barbara nagle się uśmiechnęła i zaczęła lekką rozmowę i w ujmujący sposób skłoniła Busha, aby opowiedział o swoich przeżyciach pod Trafalgarem, mimo że — o czym Hornblower wiedział doskonale — słyszała już tę historię co

najmniej dwa razy.

Inni również włączyli się do dyskusji, która się bardzo ożywiła, gdy Gerard dorwał się do głosu i zaczął opowiadać swe przygody z dawnego okresu swojej pracy u handlarza niewolnikami, związane ze spotkaniem z algierskim statkiem korsarskim niedaleko przylądka Sbartel. Tego już było za wiele dla Hornblowera. Przy swoim wrodzonym temperamentem nie mógł usiedzieć w milczeniu, gdy wszyscy stali się tak rozmowni. Wbrew woli wtrącił się, a proste pytanie na temat Sir Edwarda Pellewa, rzucone przez Lady Barbarę, wciągnęło go jeszcze bardziej, gdyż w swoim czasie Hornblower był najpierw kadetem, a potem porucznikiem na okręcie wchodzącym w skład floty Pellewa i chlubił się tym. Zreflektował się dopiero przy końcu obiadu i — po wypiciu za zdrowie króla — odmówił zaproszeniu Lady Barbary do partyjki wista. Uważał, że to przynajmniej zrobi na niej wrażenie — zrobiło w każdym razie na oficerach, gdyż dostrzegł, jak Bush i Gerard, słysząc jego odmowę, wymienili zdziwione spojrzenia. Wróciwszy do kabiny słuchał poprzez ściankę grodzi wesołych odgłosów gry w oczko, którą Lady Barbara zaproponowała zamiast wista. Zapragnął niemal znaleźć się przy grze wraz z nimi, chociaż uważał oczko za rozrywkę odpowiednią raczej dla ludzi o ograniczonej inteligencji.

Mimo to obiad spełnił swe zadanie, choćby dlatego, że Hornblower mógł znowu wyjść na pokład i napotkać tam spojrzenie Lady Barbary. Rozmawiał z nią też czasem na temat stanu zdrowia kilku rannych, którzy jeszcze byli na liście chorych, a po paru spotkaniach rankami nie czuł już oporów w nawiązywaniu z nią rozmowy podczas bezwietrznych popołudni i cudownych nocy tropikalnych, gdy „Lydia” szła swoim kursem po spokojnym Pacyfiku. Przestał się też przejmować swymi zniszczonymi uniformami i spodniami o nieforemnym kroju; zapomniał, że poprzednio snuł zawzięte plany trzymania Lady Barbary w zamknięciu kabiny. W jego pamięci zamazywały się na szczęście obrazy el Suprema przykutego do pokładu, umierającego Galbraitha czy bezgłowego ciała biednego małego Claya, rozciągniętego na zakrwawionych deskach pokładu — a jeśli nawet myśl o nich wracała, to już nie musiał oskarżać się o słabość za to tylko, że go smuca.

To były naprawdę szczęśliwe dni. Na „Lydii” szło wszystko jak w zegarku. Wiatr prawie zawsze był dość silny, by zapewnić sterowną szybkość, a jeśli się niekiedy wzmagał, to tylko na tyle, by wnieść urozmaicenie w monotonię przeżyć. Dzień upływał za dniem, jeden piękniejszy od drugiego, bez żadnych burz; a pięćdziesiąt stopni szerokości geograficznej południowej wydawało się tak odległe, że umysł mógł się cieszyć spokojnie upływającym czasem, który wydawał się nie mieć końca. Radowali się tym uczuciem nieskończoności, nie bacząc na ciągłe ostrzeżenia niesione przez coraz niższe położenie słońca w środku dnia i Krzyż Południa każdej nocy wyżej świecący nad ich głowami.

Zaprzyjaźnili się ze sobą w czasie niebiańsko pięknych nocy, gdy kilwater kładł się za okrętem jak długa smuga ognia na słabo jaśniejącej wodzie. Przywykli prowadzić nie kończące się rozmowy. Ona opowiadała błahe szczegóły z życia dworu wicekrólewskiego w Dublinie i mówiła o intrygach, jakimi omotywano generalnego gubernatora Indii; o emigrantach francuskich, którzy bez grosza w kieszeni uczyli moresu angielskich nowobogackich, co zbili fortuny na wyrobach hutniczych; o ekstrawaganckim życiu lorda Byrona i o głupich wyczynach książąt krwi królewskiej. A Hornblower nauczył się słuchać bez cienia zazdrości.

Sam opowiadał natomiast o miesiącach spędzonych na blokadzie, o burzach przebytych w

po bliziu skalistego wybrzeża biskajskiego, o tym, jak Pellew poprowadził swoje fregaty pod brzeg, aż na fale przyboju, by zatopić „Droits-de-rhomme” z dwoma tysiącami ludzi na pokładzie; o trudach, okrucieństwie i niedostatkach, o ciężkim, monotonnym życiu, które jej wydawało się równie fantastyczne, jak jej życie jemu. W chwilach gdy pozbywał się nieśmiałości, potrafił mówić jej nawet o swych ambicjach, choć wiedział, że w jej oczach wyglądały na tak błahe, jak marzenie dziecka o koniku na biegunach; o tych dwóch tysiącach funtów przyzowego, które zdaniem jego miały mu starczyć na uzupełnienie pensji, gdy przestanie już pływać i będzie otrzymywał tylko połowę obecnych poborów, a także na zakup paru akrów ziemi, domu i mnóstwa książek.

A jednak ona wysłuchiwała tego bez uśmiechu, a w świetle księżyca można było nawet dostrzec na jej spokojnej twarzy nikły ślad zazdrości. Właściwie nie bardzo sama wiedziała, czego pragnie, ale cokolwiek by to było, zdawała sobie sprawę, że mogłaby to osiągnąć jedynie poprzez złowienie kogoś w sidła małżeńskie. Hornblower był bardzo poruszony, gdy usłyszał, że córka lorda może zazdrościć ubogiemu kapitanowi fregaty. Patrzył na jej twarz oblaną światłem księżyca i czuł się zadowolony, chociaż równocześnie było mu przykro, że Lady Barbara może zazdrościć komuś czegokolwiek.

Toczyli też rozmowy na temat książek i poezji i Hornblower bronił sprawy szkoły klasycznej z czasów królowej Anny. Był przeciwny barbarzyńskim przywódcom rewolty w piśmiennictwie, których wyraźnie radowało lekceważenie wszelkich ustalonych reguł. Słuchała go cierpliwie, nawet z aprobatą, gdy mówił o Gibbonie, którego podziwiał z głębi serca, czy Johnsonie lub Swifcie, gdy cytował Pope'a i Graya. Lecz aprobowała także literaturę, którą on zwał „barbarzyńską”. Był taki szaleniec, nazwiskiem Wórdsworth, i Hornblower z pewnym przerażeniem słuchał o jego rewolucyjnych opiniach na temat literatury. Lady Barbara uznała, że musi go wziąć w obronę. Pobiła Hornblowera jego własną bronią, twierdząc, że Gray był prekursorem tej samej szkoły, cytowała Campbella i tego nowatora Scotta i skłoniła Hornblowera, by acz niechętnie, uznał piękno chropowatego poematu, zatytułowanego „Rymy starego żeglarza”, choć upierał się do ostatka, że jedyną zaletą tego utworu jest jego treść i że na pewno wypadłby znacznie lepiej, gdyby raczej Pope zabrał się do tego tematu w bohaterских dwuwierszach, a nie ten cały Coleridge, szczególnie gdyby mu pomógł ktoś lepiej obeznany z nawigacją i żeglarstwem niż Coleridge.

Niekiedy Lady Barbara zastanawiała się, czy to nie dziw, że oficer marynarki wojennej tak serio interesuje się literaturą. Ale wiele spraw zaczynała teraz lepiej rozumieć. Nie wszyscy kapitanowie byli ludźmi tej samej klasy, jak ktoś nieświadomy rzeczy mógłby przypuszczać. Od Busha, Gerarda i Crystala, a także od Hornblowera, dowiedziała się, że są kapitanowie piszący poezje elegijne w stylu greckim, kapitanowie zapychający swe kabiny marmurami zdobytymi na wyspach greckich albo zajmujący się klasyfikacją jeży morskich i korespondujący z Cuvierem; a z drugiej strony tacy, dla których rozkoszą jest widok pleców ludzkich pokaleczonych dziewięciopalczasta dyscypliną, upijający się do nieprzytomności co wieczór i robiący piekło na okręcie w napadzie delirium tremens, a także tacy, co głodzą załogi albo wzywają wszystkich na pokład co pół godziny. Zauważyła poza tym, iż jest przekonana, że Hornblower jest wybitnym członkiem klasy, której ludzie w kraju nie przypisują zdolności, jakie faktycznie posiada.

Od chwili, gdy po raz pierwszy stanęła na pokładzie „Lydie”, znajdowała przyjemność w towarzystwie Hornblowera. A teraz przywykli do siebie jak do narkotyku i czuli się dziwnie

niespokojnie, jeśli nie widzieli się przez kilka godzin. „Lydia” podążała na południe, trzymając się kursu, a monotonia podróży sprzyjała powstawaniu nawyków. Weszło więc w zwyczaj, że przy porannym spotkaniu na pokładzie rufowym wymieniali uśmiechy, rozświetlone wspomnieniem chwil intymnej rozmowy z poprzedniego wieczora. Hornblower przywykł po określeniu szerokości geograficznej z pomiarów słońca w południe omawiać z Lady Barbarą posuwanie się okrętu, a po południu wypijać z nią filiżankę kawy. Szczególnie zaś przyzwyczaili się oboje do spotkań o zachodzie słońca przy relingu rufowym, chociaż nigdy się nie umawiali ani wspominali o możliwości takiego spotkania. Przechadzając się w ciepłym mroku mówili najpierw pozornie o niczym, a potem rozmowa stawała się ożywiona, rozkwitała jak bujna roślinność tropiku i trwała pod tajemniczym blaskiem gwiazd aż do chwili, gdy długo po północy z nieświadomym chyba ociąganiem się szli oboje na spoczynek do swych kabin.

Potrafili też siedzieć razem w milczeniu, obserwując, jak szczyty masztów poruszane kołysaniem się okrętu zataczają kręgi na tle gwiazd, i wsłuchując się w delikatnie brzmiącą orkiestrę szmerów, skrzypień i wszelkich odgłosów wydawanych przez okręt, a myśli ich były tak zgrane, że gdy czasem któreś się odezwało, mówiło to, o czym właśnie myślało drugie. Lady Barbara, jak zdrowa, młoda dziewczyna, kładła wtedy rękę obok siebie tak, że Hornblower mógł jej dotknąć bez trudu. Dawniej podczas balów w Londynie i przyjęć u generalnego gubernatora mężczyźni często ujmowali jej dłoń, chociaż tego nie pragnęła. Teraz — mimo że zdawała sobie sprawę, jak bardzo nieroztropnie i lekkomyślnie byłoby prowokować najłżejszą nawet poufałość fizyczną w czasie tej podróży, która miała trwać miesiące — była na tyle nierozważna i lekkomyślna, że podejmowała to ryzyko, nie próbując analizować motywów, jakie nią kierowały. Lecz Hornblower wydawał się nie dostrzegać tej dłoni. Widziała jego twarz wzniesioną ku gwiazdom, spokojną i pozbawioną dawnego napięcia, i przyjemnie jej było, że może przypisać sobie zasługę spowodowania zmiany, jaka w nim nastąpiła od tego wieczora, gdy rozmawiając z Bushem obserwowała wzburzenie na jego obliczu.

Ten etap podróży trwał przez szczęśliwe tygodnie, w czasie których „Lydia” spokojnie zmierzała coraz bardziej na południe. Aż wieczory stały się chłodniejsze, a ranki mgliste, błękitne niebo poszarzało i pokład okrętu skropił pierwszy deszcz od trzech tygodni. Wiał przejmujący zachodni wiatr i Lady Barbara, żeby usiąść na swoim leżaku, musiała owinąć się cała w ciepły płaszcz. Niepostrzeżenie gawędy wieczorne przy relingu rufowym skończyły się. „Lydia” walczyła ze wzmagającą się wichurą. Robiło się coraz chłodniej, mimo że na Antypodach trwało przecież lato. Po raz pierwszy w życiu Lady Barbara ujrzała Hornblowera odzianego w płaszcz brezentowy i w zydwe-stkę i przysła jej do głowy osobliwa myśl, że jest mu do twarzy w tym brzydkim stroju. Niekiedy wracając z pokładu wstępował do jej kabiny, z błyszczącymi oczyma i policzkami zaróżowionymi od wiatru, a ona czuła wówczas, że serca ich biją zgodnym rytmem.

Wiedziała, że zachowuje się nierozsądnie. Mówiła sobie wtedy, że jej słabość wynika jedynie z tego, iż na pokładzie „Lydii” Hornblower jest jedynym człowiekiem z jakąś kulturą i pewną niewielką dozą tych zalet, które czynią z mężczyzny dobrą partię. Że żyjąc z nim w bliskim kontakcie przez cztery miesiące bez przerwy musiała go albo pokochać, albo znienawidzić i że skoro jej charakter nie jest zdolny do nienawiści — to drugie uczucie było nieuniknione. Powtarzała też sobie, że gdy tylko wrócą na łono cywilizacji i zobaczy Hornblowera na tle ludzi z jej towarzystwa, o których zupełnie prawie zapomniała podczas długich miesięcy podróży, jego czar i jej

zainteresowanie tym człowiekiem natychmiast się rozwieją.

Mówiła sobie, że na okręcie widzi się różne rzeczy w zniekształconej perspektywie. Solona wołowina i wieprzowina, oblażłe robactwem suchary i suszony groch i dwa razy na tydzień szklaneczka soku cytrynowego — to jest przecież monotonia. Przy takim życiu drobiazgi urastają do rozmiaru problemów. Ten ból serca, który tu odczuwała, zniknie, gdy będzie musiała zacząć myśleć o innych sprawach, tak jak zapominamy o bólu zęba, gdy coś zajmie nasz umysł. To wszystko była prawda. Ale, o dziwo, nie zmieniało to wcale jej obecnych uczuć.

Weszli w strefę stałych wiatrów zachodnich, które co dzień się wznagały, co dzień też morze stawało się coraz bardziej wzburzone. „Lydia” szła teraz wspaniale; zdarzyło się dwa, a może i trzy razy, że zrobiła na dobę dwieście czterdzieści mil morskich. Było zimno, od czasu do czasu padał ulewny deszcz i nieraz woda na pokładzie głównym sięgała kolan. Bywały dni, gdy Lady Barbarze nie pozostało nic innego, niż skulić się na własnej koi, podczas gdy okręt kołysał się i przechylał, jak gdyby za chwilę miał się przewrócić do góry dnem. Hebe (która zawsze zapadała na chorobę morską) leżała na pokładzie owinięta w koce i jęczała lub szczykała zębami z zimna. Nie można było rozpaścić ognia ani zagotować czegokolwiek, a narastający jęk drewnianych części okrętu rozbrzmiewał tak silnie, jak organy w kościele.

W samym punkcie kulminacyjnym podróży, gdy znaleźli się w miejscu najbardziej wysuniętym na południe, kapryśna pogoda przyłódka Horn pokazała, co potrafi. Pewnego rana Lady Barbarę obudziło pukanie do drzwi kabiny. Okręt znów kołysał się umiarkowanie, a Polwheal powiedział, że kapitan Hornblower przysyła go z zapytaniem, czy Lady Barbara nie zechce tego ranka skorzystać z poprawy pogody, żeby odetchnąć świeżym powietrzem na pokładzie. Wyszedłszy tam, spostrzegła, że niebo jest błękitne i powietrze przezroczyste, lecz wciąż jeszcze było tak chłodno, że chętnie owinięła się wełnianym płaszczem, który usłużnie podał jej Gerard. Wiatr ucichł i przy lekkiej bryzie „Lydia” szła wesoło pełną szybkością pod wszystkimi żaglami, z bombramslami włącznie. Świeciło jasne słońce i przyjemnie było znów przechadzać się po pokładzie w jego blasku, a jeszcze przyjemniej pić dymiącą gorącą kawę z filiżanek przyniesionych przez Polwheala, który podając je Lady Barbarze i oficerom znajdującym się na pokładzie rufowym uśmiechał się od ucha do ucha. Czowała radość bliską bólu, gdy po dniach oddychania smrodliwymi wyziewami dolnych pokładów mogła teraz wciągać do płuc świeże, przeczyste powietrze. Odzież marynarzy rozwieszona na wszystkich linach takielunku, żeby szybciej wyschła, powiewała wesoło, wymachując w kryształowo czystym powietrzu tysiącem rękawów i nogawek.

Przyłodek Horn pozwolił im przeżyć tylko ten jeden przyjemny ranek; tuż przed południem lekka chmurka przysłoniła słońce, wiatr zaczął znów rosnąć na sile, a po nawietrznej widać było zwały ciemnych chmur, szybko nasuwających się w ich stronę.

— Panie Bush, proszę zwinąć bombramsle! — krzyknął Hornblower rzuciwszy okiem na rufę.
— Lady Barbaro, obawiam się, że znów pani będzie musiała skryć się w swej kabynie.

Ledwie dotarła do drzwi, wichura runęła na okręt z okropnym wyciem. Szli pełnym wiatrem całe popołudnie, a wieczorem Lady Barbara po ruchach okrętu poznała (tak doświadczonego żeglarzem stała się przez ten czas), że Hornblower był zmuszony postawić okręt w dryf. „Lydia” musiała leżeć w dryfie przez trzydzieści sześć godzin, a tymczasem niebo pękało wokół nich. Pewną

pociechą było to, że dryfowali w kierunku wschodnim, a więc posuwali się naprzód, gdyż ich kurs prowadził na wschód. Lady Barbarze trudno było uwierzyć, że istotom ludzkim udało się kiedykolwiek przeprowadzić statek wokół przylądka Horn w kierunku zachodnim. Pomogło jej to zgodzić się z Hornblowerem, że już wkrótce, najpóźniej w chwili, gdy zawarty zostanie ogólny pokój, cały świat zjednoczy się w żądaniu przekopania kanału przez Przesmyk Panamski. Na razie nie pozostało nic innego, jak czekać na ten szczęśliwy dzień, gdy dotrą do Świętej Heleny i będą się znów mogli delektować świeżym mięsem, jarzynami, a nawet — choć myśl ta wydawała się utopią — mlekiem i owocami.

Rozdział XXIII

Gdy okrążyli przylądek Horn, pogoda raptownie zaczęła się zmieniać. Lady Bardarze wydawało się, że zmiana ta nastąpiła niemal w ciągu doby, że jednego dnia przebijali się jeszcze przez szary odmęt wód, gnani silnym wiatrem południowo-zachodnim, w chłodzie i niewygodzie, a fale sięgały noków rei, a już następnego dnia niebo było błękitne, a wichura zmieniła się w łagodny powiew z południowego wschodu. Tym razem mieli naprawdę szczęście, gdyż ostatni sztorm przygnał ich w rejon pasatów południowo-wschodnich. Zostawiali za sobą jesień Antypodów, a w ślad za słońcem szła im na spotkanie północna wiosna. Morze było jak zawsze błękitne kolorem najprawdziwszego błękitu, który kontrastował pięknie z białymi grzywami fal. Latające ryby rysowały bruzdy w gładkiej jak emalia powierzchni wody. Trudy i niedostatki przylądka Horn poszły szybko w zapomnienie.

Wydawało się rzeczą najbardziej naturalną pod słońcem, że po zapadnięciu nocy Lady Barbara siadywała znowu w swoim leżaku przy relingu rufowym i że w półmroku pojawiała się w pobliżu sylwetka Hornblowera, który na bardzo uprzejme zaproszenie z jej strony przysiadł obok. Było czymś całkiem oczywistym, że oficerowie przyjmowali ten stan rzeczy jak coś istniejącego od dawna i że oficer pełniący wachtę ograniczał swój obchód do przedniej części pokładu rufowego. Gdy po ósmym dzwonie Gerard przychodził zluzować Raynera, ten gestem kciuka i ruchem głowy zwracał jego uwagę na tych dwoje ledwo widocznych w mroku przy relingu rufowym. Gerard kwitował to szelmowskim uśmiechem, a białe zęby błyskały w świetle gwiazd w jego śniadej twarzy.

On sam wystawił na próbę cnotę Lady Barbary jeszcze na długo przedtem, zanim kapitan zechciał zauważać jej istnienie. Nie sądził, że Hornblower wskóra cokolwiek tam, gdzie jemu się nie powiodło, a w każdym razie powiadał, że ma dosyć zdrowego rozsądku, by nie próbować rywalizacji ze swym kapitanem. Miał w życiu tyle podbojów, że wspomnianie ich wypełniało mu milczące wachty nocne, a filozoficzne usposobienie pozwalało mu życzyć swemu kapitanowi powodzenia. Toteż skwapliwie odwracał się tyłem, gdy tych dwoje rozmawiało tuż poza zasięgiem jego uszu.

Jednakże tu, na Atlantyku, dla Hornblowera — a także i dla Lady Barbary — wszystko wyglądało inaczej niż przedtem na Pacyfiku. Hornblower odczuwał napięcie, jakiego nigdy przedtem nie doświadczał. Być może opłynięcie przylądka Horn przypomniało mu, że nawet rejsy żaglowców kiedyś się kończą i że te pięć tysięcy mil, jakie dzieliły ich od Portsmouth, nie będą trwały wiecznie. Było rzeczą zrozumiałą, że na Pacyfiku towarzystwo Lady Barbary działało nań kojąco. Tu na Atlantyku czuł ciągle jakiś niepokój, podobny do tego, jaki wzbudziłby w nim nagły spadek barometru pośród gładkich jak stół wód Indii Zachodnich.

Z jakiejś przyczyny — być może po prostu dlatego, że zaczął myśleć o Anglii — ostatnio obraz Marii często stawał mu przed oczyma. Maria — mała i baryłkowata, z cerą skłoną do wyprysków, manipulująca przy czarnej jedwabnej parasolce; albo Maria we flanelowej koszuli nocnej, z włosami w papilotach, przemawiająca ochryłym głosem, któremu stara się nadać czułe brzmienie; Maria kłócąca się z właścicielką domu, w którym wynajmowali mieszkanie, i Maria na pokładzie okrętu w Portsmouth z miną świadcząca o tym, że nie żywi najlepszej opinii o prostych marynarzach. Lojalność wzbraniała mu myśleć o Marii w ten sposób; powinien był raczej pamiętać, jaka była tej okropnej nocy w ich mieszkaniu w Southsea, z oczami czerwonymi od płaczu, i jak dzielnie opanowywała drżenie warg, gdy malutki Horatio umierał na ospę w jej ramionach, a mała Maria leżała martwa w sąsiednim pokoju.

— Hmm — chrząknął ochryple i poruszył się niespokojnie.

Lady Barbara popatrzyła na jego twarz oświetloną blaskiem gwiazd. Malował się na niej ten wyraz smutku i samotności, którego nauczyła się obawiać.

— Czy może mi pan powiedzieć, kapitanie, co panu jest? — spytała łagodnie.

Hornblower siedział jeszcze chwilę w milczeniu, a potem potrząsnął głową. Nie, tego nie mógł jej powiedzieć. Zresztą sam nie bardzo wiedział; mimo swej skłonności do introspekcji nie odważyłby się przyznać przed samym sobą, że czynił porównania między kimś małym i grubym a kimś wysokim i szczupłym, między kimś z puciołowatymi policzkami a kimś innym, z twarzą o klasycznym profilem.

Tej nocy Hornblower spał źle, a w czasie przechadzki ranej nie mógł skoncentrować się na sprawach, które powinien rozważyć. Nie potrafił zmusić się do myślenia o problemach zapasów i wody i o tym, jak zająć ludzi, by nie mieli czasu na głupstwa; o wietrze i kursie, który zwykł był ustalać o tej porze, tak aby w ciągu dnia móc grać rolę człowieka zdolnego do podejmowania błyskawicznych decyzji. Początkowo czuł się zbyt nieszczęśliwy, aby móc myśleć logicznie, a potem mózg jego zaczął się borykać z wyobrażeniami tak potwornymi, że sam się ich przeraził. Kusiło go, żeby poczynić jakieś awanse w stosunku do Lady Barbary. Do tego przynajmniej potrafił się przyznać przed samym sobą. Pragnął tego niezwykle intensywnie. Gdy myślał o tym, czuł w piersi ból i ogromną tęsknotę.

Tym co przeraziło go tak bardzo we własnych myślach, było podejrzenie, że Lady Barbara mogłaby go nie odepchnąć. Wydawało się to rzeczą niepojętą, a jednak możliwą, tak jak bywa we śnie. Że mógłby swoją rozgrzaną dłoń położyć na jej chłodnych piersiach — myśl ta wprowadziła go w stan dziwnej udręki. Rozdzierająco pragnął spróbować tej słodyczy. Niemal rok przebywał na „Lydii” zamknięty jak w klatce, a rok takiego nienaturalnego życia rodzi dziwne zachcianki. Gdzieś — tuż za mrocznym horyzontem świadomości — czaiły się w mózgu Hornblowera jeszcze bardziej niesamowite pragnienia; ciemne upiory gwałtu i morderstwa.

Gdy tak się zabawiał tymi szalonymi myślami, jego przeklęta skłonność do analizowania sprawiała, że wazył przy tym argumenty za i przeciw. Niezależnie od tego, czyby obraził Lady Barbarę, czyby ją uwiódł, w obu wypadkach igrał z ogniem. Rodzina Wellesleyów mogłaby zniszczyć go bez trudu. Mogłoby pozbawić go dowodzenia okrętem i skazać na wegetację do końca

życia na połowie pensji albo — w jeszcze gorszym wypadku, gdyby ich uraza była dostatecznie głębsza — mogliby w jego ubiegłorocznej działalności znaleźć podstawy do postawienia go przed sąd wojenny, a sąd wojenny zwołany pod naciskiem Wellesleyów mógłby pozbawić go patentu oficerskiego i uczynić żeń nędzarza żyjącego z funduszy opieki społecznej. To było najgorsze, co mogłoby się zdarzyć w tej sytuacji — z wyjątkiem może przegranego pojedynku — a najlepsze wyjście też nie byłoby dużo lepsze. Przypuśćmy, co zresztą trudno sobie raczej wyobrazić, że Wellesleyowie byliby skłonni zająć tolerancyjne stanowisko wobec faktu uwiedzenia ich siostry — przypuśćmy, że w obliczu faktu dokonanego postanowiliby znaleźć możliwie najlepsze wyjście. Nie, to jest w ogóle nie do pomyślenia. Musiałby przeprowadzić rozwód z Marią, a na to trzeba ustawy parlamentarnej i pięciu tysięcy funtów.

Wdać się w romans z Lady Barbarą znaczyłoby narazić się na skrajną ruinę — zawodową, społeczną i finansową. A wiedział, że tam, gdzie wchodzi w grę ryzyko, nie może sobie ufać. Gdy kazał holować „Lydię” w zasięg dział „Natividad” i toczył z nią bój niemal burta w burte, ryzykował tyle, że dziś jeszcze na wspomnienie tych godzin przebiegał go zimny dreszcz. Ryzyko i niebezpieczeństwo wabiły go nawet wtedy, gdy czuł że robi głupstwo, wystawiając się na nie, i wiedział, że największe nawet ryzyko nie powstrzyma go, gdy raz zdecyduje się podjąć jakieś działanie. Nawet teraz, gdy zastanawiał się nad tym wszystkim z zimną krwią, było coś niebezpiecznie fascynującego w myśli, że mógłby wystrychnąć całą rodzinę Wellesleyów na dudków — później niech robią co chcą!

A potem wszystkie te chłodne rozważania zatoneły w fali gorącego uczucia, gdy pomyślał o niej, takiej smukłej i ślicznej, pełnej zrozumienia i słodyczy. Wstrząsnął nim dreszcz namiętności, wywołując przyływ gorącej krwi, a skłębione obrazy przesuwwały mu się przez głowę w fantastycznej panoramie. Stał przy relingu i patrzył nie widzącymi oczyma na błękitne morze ze złocistymi plamkami wodorostów, nieświadom niczego poza burzą uczuć miotającą jego ciałem i duszą. Gdy wreszcie przyspieszony rytm jego serca uciszył się i Hornblower potoczył wzrokiem po okręcie, wszystko wydało mu się dziwnie ostre i wyraźne. Z odległości stu dwudziestu stóp widział najdrobniejsze szczegóły skomplikowanego splotu lin, wykonywanego przez marynarza z baku. Był rad, że zdołał tak szybko odzyskać panowanie nad sobą, bo właśnie Lady Barbara weszła na pokład z uśmiechem, który zawsze się pojawiał, gdy wychodziła z kabiny i na jej twarz padał pierwszy promień słońca. Zaraz też wdali się w rozmowę.

— Dziś przez całą noc coś mi się śniło — powiedziała Lady Barbara.

— Naprawdę? — spytał z zażenowaniem Hornblower. On także miał sny.

— Tak — odpowiedziała. — Przeważnie śniły mi się jajka. Jajka sadzone i gotowane na miękko. I pajdy białego chleba grubo posmarowane masłem. I kawa z mnóstwem śmietanki. I jeszcze kapusta... zwykła gotowana kapusta. We śnie nie śmiałam marzyć o puree ze szpinaku, ale już, już miałam sobie nabrać porcję młodej marchewki. A potem, rano, Hebe przynosi mi czarną kawę i suchar z mąki kukurydzianej, nieco nadgryziony przez robaki, Polwheal zaś pyta, czy na obiad chcę wołowinę, czy wieprzowinę. Dziś chyba napocznę siódme prosię z rodziny, z której mięso spróbowałam pierwszy raz w Panamie. Poznają już ten smak.

Mówiąc to Lady Barbara śmiała się, ukazując białe zęby w opalonej na brąz twarzy, a jej

śmiech rozładował na jakiś czas namiętność wezbraną w sercu Hornblowera. Czuł dla niej współczucie — miesiące na wikcie okrętowym sprawiły, że formalnie każdy marzył o świeżym jedzeniu — lecz jej miły, naturalny sposób bycia podziałał nań jak otwarcie okna na duszny pokój. Właśnie te rozmowy o jedzeniu odsunęły kryzys o kilka dalszych dni — złotych dni, w czasie których „Lydia” szła spokojnie przez strefę południowo-wschodniego pasatu, zdążając wciąż przez południowy Atlantyk ku Wyspie Świętej Heleny.

Pomyślne wiatry utrzymywały się aż do tego wieczora, gdy marynarz na oku, korzystając z jasności, jaką zachód słońca rozświetlił niebo, popatrzył raz jeszcze uważnie przed siebie i dojrzał wierzchołek góry, w chwili gdy światło zaczynało już gasnąć. Jego okrzyk: — Łąd na kursie! — powiedział Hornblowerowi, że znów udało mu się doprowadzić okręt dokładnie tam, gdzie zamierzał. Tego dnia wiatr słabł wyraźnie, a po zachodzie słońca ustał zupełnie, jak na złość, gdy już tylko kilka godzin drogi dzieliło „Lydię” od wyspy. Z pokładu nie widać było jeszcze ładu i Gerard powiedział Lady Barbarze, że musi wierzyć im na słowo, iż wyspa jest blisko, póki wiatr nie zacznie łaskawie wiać znowu.

Jej rozczarowanie na wiadomość, że musi jeszcze poczekać na swoje wymarzone jajka na miękko, było tak wzruszające, że Crystal podbiegł do grotmaszta i wbił weń ostrze swego składanego noża. Był to — jak powiedział — najpewniejszy sposób wywołania wiatru. A jeśli jakiś niepomyślny zbieg okoliczności sprawi, że to nie pomoże, to on każe wszystkim naraz chłopcom na okręcie zacząć gwizdać, a taka bezczelność wobec władców otchłani morskich na pewno wywoła ogromną nawałnicę.

Być może właśnie działanie tej zwłoki na podświadomość Hornblowera przyspieszyło kryzys. Hornblower żywił utajoną obawę, że zajście do portu na Świętej Helenie może wywołać niepożądaną zmianę sytuacji na pokładzie „Lydii”. Z drugiej strony, to co się stało, musiało się stać, i być może po prostu zbieg okoliczności sprawił, że nastąpiło to właśnie tego wieczora. To był czysty przypadek, że Hornblower wszedł do głównej części kabiny w momencie, gdy sądził, że Lady Barbara jest na pokładzie, i tylko przypadkowo jego dłoń otarła się o jej obnażone ramię, gdy znaleźli się oboje w ciasnej przestrzeni między stołem i skrzynią i gdy Hornblower wypowiadał słowa przeprosin za swoje najście. A potem ona znalazła się w jego ramionach i zaczęli się całować. Położyła mu dłoń na plecach i doknęła nią jego szyi. Fala namiętności przyprawiła oboje o zawrót głowy. Gdy okręt zakołysał się mocniej, Hornblower wypuścił ją z ramion, a ona upadła na skrzynię i siedząc uśmiechała się do niego; podsunął się ku niej na klęczkach i oparł głowę o jej piersi, a ona gładziła jego kędzierzawe włosy i znów się całowali, jakby nigdy nie mieli skończyć. Przemawiała do niego czułymi słówkami, które słyszała od niani — ona sama nie nauczyła się jeszcze używać pieśczośliwych wyrazów.

— Kochany — szeptała. — Mój słodki, moja kruszyno.

Trudno jej było znaleźć słowa na wyrażenie miłości, jaką czuła do niego.

— Twoje dłonie są piękne — powiedziała, kładąc jedną z nich na swojej i bawiąc się długimi, szczupłymi palcami. — Kocham je od czasu, kiedy spotkaliśmy się w Panamie.

Hornblower zawsze myślał, że ma ręce kościste i brzydkie. W lewej dłoni tkwiły ziarenka

prochu, pamiątka z abordażu „Castilli”. Spojrzał na Lady Barbarę, aby się przekonać, czy nie kpi z niego, a gdy ujrzał, że nie, zaczął ją znów całować — jej wargi tak pragnęły jego pocałunków. To było zupełnie cudowne, że chciała być całowana. Jeszcze raz dali się ponieść namiętności.

Na widok wchodzącej Hebe odsunęli się od siebie — a raczej to Hornblower porwał się i usiadł prosto, z wyrazem zakłopotania na twarzy. Hebe spojrzała na nich z szelmowskim uśmiechem. W przekonaniu Hornblowera było rzeczą straszną dla kapitana być przychwyconym na igraszkach z kobietą na okręcie, będącym faktycznie w stanie gotowości bojowej. Było to wbrew przepisom — gorzej, było poniżające i sprzeczne z wymogami dyscypliny, a przy tym niebezpieczne. Lady Barbara zachowała niezmacony spokój.

— Odejdź, Hebe — rzekła łagodnie. — Nie potrzebuję ciebie na razie.

Odwróciła się do Hornblowera, lecz czar prysnął. On zobaczył siebie w innym świetle, zabawiającego się ukradkiem na posłaniu z pasażerką okrętu. Twarz oblał mu gorący rumieniec. Był wściekły na siebie. Zaczął się już zastanawiać, ile z tego, co szeptali oboje, mogło dobiec przez otwarty świetlik do uszu oficera wachtowego i marynarza przy sterze.

— Co mamy zrobić? — zapytał słabym głosem.

— Zrobić? — powtórzyła zdziwiona. — Jesteśmy parą kochanków i świat należy do nas. Zrobimy to, co zechcemy.

— Ale... — wyjąkał. — Ale...

Pragnął wyjaśnić jej w kilku słowach, jakie komplikacje podsuwała mu wyobraźnia. Poczul, że robi mu się zimno; chciał jej powiedzieć, jak wstrętne mu było źle maskowane rozbawienie Gerarda, czy wielce nietaktowne wysiłki Busha, aby być taktownym. I jeszcze to, że kapitan okrętu nie jest wcale tak bardzo panem samego siebie, jak mogło się jej wydawać. Ale to było beznadziejne. Z odwróconą twarzą jąkał jakieś słowa, gestykulując nieporadnie rękami. Pogrążony dotychczas w owych szalonych marzeniach zapomniał o tych wszystkich realnych szczegółach. Lady Barbara ujęła w dłonie jego twarz i zwróciła ją ku sobie.

— Drogi mój, co cię trapi? — spytała. — Powiedz mi, kochany.

— Jestem żonaty — odrzekł, chwytając się tego tchórzliwego wybiegu.

— Wiem. Czy masz zamiar pozwolić, aby to się stało dla nas przeszkodą?

— Poza tym ... — ciągnął, a jego ręce zatrzepotały znów w owym beznadziejnym wysiłku wyrażenia wszystkich wątpliwości, jakie go trawiły.

Lady Barbara, idąc jeszcze dalej w rezygnacji ze swej dumy, rzekła:

— O Hebe możesz być spokojny. Ona mnie uwielbia. I nie odważy się na niedyskrecję.

Zobaczyła wyraz jego twarzy i podniosła się gwałtownie. To co w niej ujrzała, było zniewagą

dla kobiety z jej klasy. Jej ofiara została odrzucona, odrzucona! Opanowała ją zimna wściekłość.

— Kapitanie, zechce pan łaskawie otworzyć mi drzwi — powiedziała.

Opuściła kabinę z całą godnością córki lorda i jeśli płakała później w ukryciu swojej kabiny, Hornblower nie miał się nigdy o tym dowiedzieć. Chodził bez końca po pokładzie, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Piękny sen skończył się. Tak oto zachował się człowiek, dla którego ryzyko i niebezpieczeństwo czyniły zadanie jeszcze bardziej frapującym. Taki z niego pożeracz serc niewieścich, amant cholerny! Złorzeczył sobie, ogarnięty głębokim wstydem. Oto mężczyzna — urągał — który wyobrażał sobie, że potrafi przeciwstawić się gniewowi Wellesleyów, a przestraszył się kpiącego wyrazu twarzy Gerarda!

Mimo to mogło się wszystko dobrze skończyć. Gdyby cisza potrwała dwa lub trzy dni, Lady Barbara mogłaby zapomnieć o swej obrażonej dumie, a Hornblower o swoich wątpliwościach; coś więcej mogło zajść między nimi.

Mogłoby się to odbić echem skandalu w kołach high life'u. Ale stało się tak, że o północy zerwał się lekki wiatr — może wywołany ostrzem noża Crystala wbitym w maszt — i Gerard przyszedł do kapitana po rozkazy. Hornblower znów nie był w stanie zlekceważyć opinii publicznej. Nie potrafiłby znieść myśli o ewentualnych podejrzeniach i pytaniach, jakie by po cichu zadawano, gdyby wydał rozkaz zmiany kursu i lawirowania w przeciwną stronę, teraz gdy kierunek wiatru umożliwiał dojście do Świętej Heleny jednym halsem.

Rozdział XXIV

— Cholernie dużo tu statków — rzekł Bush z lunetą przy oczach, gdy o świcie podeszli do redy. — Do diabła i trochę. Nasze wojenne okręty, sir. Nie, to statki Kompanii Wschodnioindyjskiej. Jedne i drugie, sir. Widzę trójpokładowiec! Niech mnie kule biją, sir, jeśli to nie jest stara „Téméraire”, z flagą kontradmirałską. Musi tu być punkt zborny dla konwoju, co płynie do kraju, sir.

— Proszę posłać po pana Marsha — powiedział Hornblower.

Trzeba będzie wystrzelić salwę powitalną, składać wizyty — wpadnie w wir zwykłych zajęć służbowych i przez całe godziny będzie zbyt zajęty na to, aby móc zamienić parę słów z Lady Barbarą, jeśli nawet ona zniżyłaby się na tyle, aby do tego dopuścić. Nie wiedział sam, czy ma się cieszyć z tego, czy smucić.

„Lydia” wywiesiła swój sygnał rozpoznawczy i oddała należny salut. Echo salwy przetoczyło się wolno nad zatoką. Hornblower włożył na siebie swój zniszczony strój galowy — wyblakły, niegdyś niebieski mundur z mosiężnymi epoletami, znoszone białe bryczesy i jedwabne pończochy z mnóstwem puszczonej oczek, które Polwheal pozszywał, jak umiał. Do burty podjechał oficer portowy, by wziąć od kapitana oświadczenie, że na okręcie nie ma nikogo chorego na chorobę zakaźną. W chwilę potem zazgrzytał łańcuch spuszczonej kotwicy i Hornblower rozkazał opuścić na wodę kuter, który miał go zawieźć do admirała. Miał już zejść przez nadburcie, gdy na pokład wyszła Lady Barbara. Przez sekundę widział jej wzrok zachwycony zielenią zboczy górskich i zdziwiony

widokiem tak wielkiej liczby statków w porcie. Zapraǳał przystanąć i przemówić do niej, lecz się opanował. Nie pozwalała na to godność kapitana. Nie mógł jej też zabrać ze sobą — żaden kapitan udający się z oficjalnymi wizytami nie wzięby do swej łodzi kobiety, żeby siedziała razem z nim na ławce rufowej, nawet gdyby z późniejszych wyjaśnień się okazało, że jest ona z rodziny Wellesleyów.

Kuter ruszył wolno w stronę „Téméraire”. Na obwołanie sternik z „Lydii” odpowiedział podnosząc w górę cztery palce, co oznaczało, że w łodzi znajduje się kapitan i że mają poczynić przygotowania do przyjęcia go z należnym ceremoniałem.

Sir James Saumarez przyjął Hornblowera w salonie na rufie okrętu flagowego. Był to mężczyzna wysoki i szczypty. Wyglądał młodo do momentu, gdy zdjawszy kapelusz odsłonił śnieżnobiałe włosy. Uprzejmie wysłuchał zwięzłego wyjaśnienia Hornblowera co do przyczyn jego tu obecności; po czterdziestu latach służby na morzu i szesnastu latach nieustannego udziału w wojnie potrafił pod suchym sprawozdaniem Hornblowera domyślić się burzliwych przygód. W jego dumnych niebieskich oczach pojawił się błysk aprobaty, gdy usłyszał, że „Lydia” zatopiła pięćdziesięciodziałowy dwupokładowiec w pojedynku burta w burtę.

— Może pan dołączyć do nas — rzekł. — Mam tylko dwa okręty liniowe i ani jednej fregaty do eskorty całego konwoju złożonego ze statków Kompanii Wschodnioindyjskiej. Zdawałoby się, że rząd od czasu wybuchu wojny w dziewięćdziesiątym trzecim powinien zrozumieć konieczność posiadania fregat, nie uważa pan? Rano przyślę panu rozkazy na piśmie. A teraz, sir, zechce pan zrobić mi przyjemność i wziąć udział w śniadaniu, na którym jestem gospodarzem?

Hornblower zauważył, że obowiązkiem jego jest złożyć wizytę gubernatorowi.

— Jego ekscelencja będzie na tym śniadaniu — rzekł admirał.

Hornblower wiedział, że nie należy zgłaszać zastrzeżeń do propozycji admirała, lecz miał jeszcze jedno, którego nie mógł przemilczeć.

— Na „Lydii” jest pewna dama, sir — rzekł, a gdy brwi admirała uniosły się w górę, zaczął spiesznie wyjaśniać powód obecności Lady Barbary na okręcie.

Admirał gwizdnął.

— Kobieta z rodziny Wellesleyów — powiedział. — I pan ją przewiózł wokół przylądka Horn? Nie, musimy powiedzieć o tym Lady Manningtree.

Poprowadził Hornblowera prosto do kabiny admirałskiej. Był tam długi stół przykryty śnieżnym obrusem i lśniący od srebra i kryształów, a przy nim stała niewielka grupka kobiet i mężczyzn, pięknie ubranych i pogrążonych w wesołej rozmowie. Admirał spiesznie przedstawił wszystkich — jego ekscelencja gubernator i jego małżonka; hrabia i hrabina Manningtree, Sir Charles i Lady Wheeler.

Lady Manningtree była małą, przysadzistą kobietą, o twarzy zdradzającej wesołe

usposobienie. Nie okazywała śladu rezerwy i wyższości, czego można się było spodziewać po małżonce byłego gubernatora generalnego, powracającego do kraju po skończonej kadencji.

— Kapitan Hornblower przywiózł z Darien Lady Barbarę Wellesley — rzekł Sir James i zaczął szybko opowiadać. Jego słowa wywołały przerażenie na twarzy Lady Manningtree.

— I pan ją tam zostawił? Na tym malutkim stateczku? — rzekła. — Biedne stworzenie. Nie może tam zostać ani chwili dłużej! Jadę tam zaraz i zabieram ją! Pan mi wybaczy, Sir James, ale nie będę miała chwili spokoju, póki ona się nie znajdzie w wygodnej kabinie obok mnie na pokładzie „Hanbury Castle”. Sir James, czy będzie pan tak dobry i każe dać mi łódź?

Wybiegła z kabiny z mnóstwem przeprosin i wyjaśnień, szumiąc halkami i wyrzucając z siebie potok słów nagany skierowanych głównie do Hornblowera.

— Kiedy kobiety zabierają się do czegoś — rzekł filozoficznie Sir James po jej wyjściu — dla nas mężczyzn najlepiej zejść im wtedy z drogi. Zechce pan usiąść, kapitanie?

Dziwna rzecz, ale Hornblower nie mógł nic prawie przełknąć z delicii, którymi zastawiony był stół. Podano wspaniałe kotlety baranie, kawę z mlekiem i świeżutki pszenny chleb. Było masło, owoce i jarzyny — to wszystko, o czym marzył na „Lydii” w chwilach, gdy nie myślał o Lady Barbarze. A teraz mógł tylko dziobnąć po trochu tego czy tamtego. Na szczęście jego brak apetytu nie został zauważony, gdyż musiał odpowiadać na istną lawinę pytań na temat Lady Barbary, tego co przeżyli na Pacyfiku i przygód przy okrążaniu przylądka Horn, a potem znów Lady Barbary.

— Jej brat dokonuje wielkich rzeczy w Hiszpanii — powiedział Sir James. — Nie ten najstarszy, markiz, lecz Artur, ten, który wygrał bitwę pod Assaye. Wyszedł cało z przesłuchań komisji śledczej po Yimeiro. A teraz wypędził Souлта z Portugalii, a gdy opuszczałem Lizbonę, szedł właśnie na Madryt. Teraz, gdy Moore zginął, on jest najbardziej obiecującym żołnierzem w całej armii.

— Phi — rzekła Lady Wheeler. Nazwisko Wellesley było wciąż wyklęte dla pewnego kręgu Anglohindusów. — Ta Lady Barbara jest znacznie młodsza od niego, co? Pamiętam ją w Madrasie jeszcze jako dziecko.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Hornblowera, lecz lord Manningtree z dobroci serca oszczędził mu zakłopotania związanego z wyjaśnieniami na temat wieku Lady Barbary.

— Nie jest dzieckiem — powiedział szorstko. — To bardzo zdolna młoda kobieta. W Indiach odrzuciła z tuzin świetnych konkurentów, a Bóg wie ilu jeszcze od tego czasu.

— Phi — odezwała się znowu Lady Wheeler.

Śniadanie zaczęło się okropnie dłużyć Hornblowerowi i był zadowolony, kiedy zbliżyło się ku końcowi. Gubernator skorzystał z okazji, aby omówić z nim sprawy zapasów koniecznych dla „Lydii” — sprawy służbowe musiały być załatwione. Należało spieszyć wracać na okręt; przeprosił Sir Jamesa i pożegnał resztę towarzystwa.

Gdy Hornblower wrócił na „Lydie”, łódź admirała była jeszcze przycumowana do burty; załoga jej odziana była w szkarłatne mundury i obramowane złotem kapelusze. Hornblower znał kapitanów fregat, którzy również ubierali załogi swych gigów w podobnie wymyślne mundury, lecz byli to ludzie zamożni, którym powiodło się z uzyskaniem przyzwoitego, a nie tacy nędzarze, jak on. Wszedł na pokład.

Przy trapie czekał stos bagaży Lady Barbary przygotowany do przeładowania na łódź. Z głównej kabiny dobiegał go nieustający szczebiot głosów. Lady Manningtree i Lady Barbara siedziały tam zatopione głęboko w rozmowie; widocznie miały sobie tyle do powiedzenia, że nie mogły z tym czekać do momentu przybycia na „Hanbury Castle”. Przeskakiwały z tematu na temat, a wszystko było tak podniecające, że zapomniały o łodzi, o czekającym bagażu, nawet o śniadaniu.

Lady Barbara skorzystała widocznie z tego, że wyjęto z magazynu jej bagaże i przebrała się. Miała na sobie suknię, której Hornblower nigdy przedtem nie widział, nowy turban i woalkę. Widać było teraz, że to naprawdę wielka dama. Gdy wstała, wydała się Hornblowerowi o sześć cali wyższa, niż gdy ją widział ostatnio. Jego przybycie przerwało tok rozmowy stało się dla nich obu sygnałem do opuszczenia okrętu.

— Lady Barbara opowiadała mi właśnie wszystko o waszej podróży — odezwała się Lady Manningtree zapinając rękawiczki. — Myślę, że zasługuje pan na mnóstwo podziękowań za opiekę, jaką pan jej zapewnił w tym czasie.

Starsza pani o dobrym sercu była jedną z tych kobiet, którym nigdy nic złego nie przychodzi na myśl. Powiodła wzrokiem po ciasnej, brzydkiej kabinie.

— Mimo to jednak — ciągnęła — uważam, że już najwyższy czas, aby mogła mieć nieco więcej wygód, niż pan może ofiarować jej tutaj.

Hornblower wydusił z siebie kilka słów na temat lepszych urządzeń dla pasażerów na luksusowych statkach Kompanii Indyjskiej.

— Nie mam absolutnie zamiaru pana winić o to, kapitanie — dodała spieszenie Lady Manningtree. — Jestem przekonana, że dowodzi pan pięknym okrętem. To fregata, nieprawdaż? Ale fregat nie buduje się przecież po to, żeby woziły kobiety. A teraz musimy się już pożegnać, kapitanie. Mam nadzieję, że będziemy mieć przyjemność goszczenia pana na „Hanbury Castle”. Na pewno znajdzie się okazja do tego w czasie tej nudnej podróży do kraju. Do widzenia, kapitanie.

Hornblower skłonił się i przepuścił ją przed sobą. Lady Barbara poszła za nią.

— Do widzenia — powiedziała. Gdy mijała go, Hornblower pochylił się jeszcze raz w kurtuazyjnym ukłonie. Patrzył prosto w jej twarz, ale nie widział rysów — tylko białą plamę.

— Dziękuję za pańską uprzejmość — rzekła Lady Barbara.

Łódź odcumowała od burty i wolno odpłynęła. Jej kształt też był jakby zamglony, niewyraźna plama czerwieni i złota. Hornblower spostrzegł, że Bush stoi obok niego.

— Oficer żywnościowy daje sygnał, sir — rzekł.

Obowiązki Hornblowera domagały się od niego należytnej uwagi. Gdy odwrócił się od burty, by się w nie pograć, przypomniało mu się ni stąd, ni zowąd, że za jakieś dwa miesiące znów zobaczy Marię. Poczł nawet przelotne zadowolenie na tę myśl, zanim mu nie uciekła z głowy. Czł, że będzie z Marią szczęśliwy. W górze jasno świeciło słońce, a przed nim wznosiły się strome zielone zbocza Świętej Heleny.

SŁOWNICZEK MNIEJ ZROZUMIAŁYCH TERMINÓW MORSKICH

abordaż — sposób walki na morzu, polegający na tym, że atakujący okręt podchodził do okrętu nieprzyjacielskiego i po szepieniu się z nim hakami abordażowymi i linami i przerzuceniu pomostów piechota wdzierała się na pokład wroga i dochodziło do walki wręcz.

bakburta — lewa burta bak — pokład na dziobie bak sztag—1. lina biegnąca od topu masztu do burty; służy do wzmocnienia masztu z boków i utrzymania w pionie; 2. wiatr wiejący z ukosa od tyłu, a więc od strony baksztagów

barkas — wielka łódź okrętowa wiosłowo-żaglowa (16—20 wiosła)

bejdewind — wiatr wiejący skośnie od dziobu; iść bejdewindem — iść ostro pod wiatr

bezan (bezanżagiel) — żagiel na bezanmaszcie; składowy człon nazw osprzętu masztu tylnego

bezanmaszt — tylny bezrejowy maszt na trzy i więcejmasztowym żaglowcu

bom — dolne drzewce niektórych żagli podnoszonych wzdłuż masztu lub sztagu, zawieszane jednym końcem przy maszcie lub sztagu

bom ładunkowy — belka do podnoszenia ładunków

bombramsel — patrz; bombramżagiel

bombramżagiel — żagiel podnoszony na bombramrei, czwartej od pokładu rei na maszcie

bramreja — trzecia od pokładu reja na maszcie

bramstenga — trzecia od pokładu część masztu umocowana do stengi i stanowiąca jej przedłużenie

bramżagiel, bramsel — żagiel prostokątny rejowy, podnoszony na bramrei

bras — lina do ustawiania rei pod odpowiednim kątem do płaszczyzny symetrii statku

brasować — zmieniać ustawienie rei pod odpowiednim kątem

bryza — wiatr lokalny wiejący rano i wieczorem w pasie przybrzeżnym wskutek różnic w nagrzewaniu się i stygnięciu lądu i morza; **bryza morska** — wiatr z morza na ląd, wiejący za dnia; **bryza lądowa** — z lądu na morze, wiejący w nocy

buchta — luźny zwój liny; kręgi liny

bukszpryt — patrz: dziobnik

cegiełkowanie — szorowanie pokładu cegiełkami piaskowca

chronometr — precyzyjny zegar o jednostajnym chodzie, pozwalający na dokładny pomiar czasu przy określaniu pozycji statku metodami astronomicznymi

dziobówka — na „Lydii” brak

dziobnica (stewa dziobowa) — belka stanowiąca przedłużenie stępki i zakończenie dziobu okrętu, mocujące poszycie kadłuba

dziobnik — belka wystająca ukośnie przed dziób żaglowca, do której mocuje się szlagi fokmasztu

dryf — zbaczanie statku z kursu wskutek działania wiatru i fali

dryfkotwa — rodzaj pływającej kotwicy w postaci płóciennego worek bez dna, wyluzowanego za burtę na linie i utrzymującego statek dziobem (rufą) pod wiatr i falę

dryfować — ulegać dryfowi, pozwalać statkowi na unoszenie go przez wiatr i fale

fał — lina służąca do podnoszenia w górę drzewc żagli (rej) lub samych żagli

fregata — typ żaglowca o trzech masztach z ożaglowaniem rejowym (z żaglami czworobocznymi, podnoszonymi na rei)

fok — składowy człon nazw osprzętu przedniego masztu

fokmaszt — przedni maszt na wielomasztowym żaglowcu

fokmarsel — marsel podnoszony na fokmaszcie

foksztagel — sztagel, trójkątny żagiel podnoszony na sztagu przedniego masztu

fordewind — pełny wiatr; kurs okrętu żaglowego, płynącego z wiatrem wiejącym z rufy

furta strzelnicza — zamykany otwór w burcie statku, przez który z umieszczonego za nim działa ostrzeliwano nieprzyjaciela

galeon (galion) — trój-i więcejżaglowy duży okręt wojenny, o ostrym, długim dziobie, wysokich burtach, kilkupokładowy, z wysokim kasztelem (nadbudówką) tylnym i niższym przednim, silnie uzbrojony, używany do przewozu cennych ładunków, głównie we flocie hiszpańskiej i portugalskiej

gig — smukła łódź okrętowa o 4—8 wiosłach, ze ściętą rufą

grot — składowy człon osprzętu środkowego masztu i nazwa skrócona tego masztu

grotmaszt — drugi maszt od dziobu (na trójmasztowcach środkowy)

grotsztagsel — trójkątny żagiel podniesiony na sztagu grota

grotmarsel — marsel środkowego masztu

grotreja — pozioma belka środkowego masztu

hals — 1. lina obciążająca żagiel do dołu; 2. odcinek drogi żaglowca przebywany przy wietrze wiejącym z tej samej burty; płynąć prawym (lewym) halsem — przebywać odcinek drogi przy wietrze wiejącym z prawej (lewej) burty

handszpaki — drążki do obracania kabestanu

jolka — bączek, niewielka szeroka łódź dwuwiosłowa, obsługiwana przez jednego człowieka

kabestan — winda z bębniem o osi pionowej (kołowrót), obracany ręcznie handszpakami, przez chodzących w koło żeglarzy

kil — patrz: stępka

kilwater — ślad torowy, wiry widoczne za rufą płynącego statku

kliwer — sztagsel, trójkątny żagiel, podnoszony na sztagach przedniego masztu

klubki — pierścienie przytwierdzone do pokładu, do których mocowano linobloki w czasie przesuwania dział na okrętach wojennych

kluza kotwiczna — otwór w burcie lub nadburciu dla liny (łańcucha) kotwicznej

kokpit — wgłębienie umieszczone pod pokładem w części rufowej statku

kolumna masztu — dolny pień masztu

kurs — kąt między kresą kursową (na kompasie, wyznaczającą płaszczyznę symetrii statku i pozwalającą odczytać kurs) a kierunkiem północnym określonym za pomocą kompasu; kursy mierzyło się dawniej w rumbach

latacz — trójkątny żagiel podnoszony na sztagu dziobowym, podnosi się przy stałej pogodzie i niezbyt silnym wietrze

linki stoperowe — włókienne stopery; włókienne linki z węzłami, służące do zahamowania liny lub łańcucha.

log (ręczny) — przyrząd do mierzenia prędkości i drogi przebytej przez statek, wleczony na

lince za rufą; składa się z nawiniętej na ręczny bęben logliny z zawiązanymi na niej w różnych odstępach węzłami oraz z obciążonej deski w kształcie wycinka koła

lugier — typ mniejszego statku żaglowego

lacińskie żagle — trójkątne żagle, przymocowane do długiej, wygiętej i skośnie zawieszanej na maszcie rejki

ława wantowa — deska podnoszona na linie wzdłuż masztu, stengi, dla wykonania prac przy osprzęcie (smarowanie lin lub drzewc, malowanie itp.)

mars — platforma w miejscu salingu

marsel — żagiel prostokątny na marsrei (rei zawieszanej na stendze, tzn. nad marsem) górnej (marsel górny) lub dolnej (marsel dolny)

marszałgiel — patrz: marsel

myszkować — nieznacznie zbaczać z kursu w obie strony (dotyczy ruchu okrętu na fali)

nawietrzny — znajdujący się z tej strony, skąd wieje wiatr (nawietrzna burta, strona, brzeg)

nok — koniec bomu, bukszprytu, gafla, rei

oko, na oku — marynarz pełniący służbę obserwatora

ołowianka — sonda ręczna, składa się z ołowianego ciężarka w kształcie stożka i linki konopnej 30—120 m z wyskalowaną za pomocą kolorowych kawałków materiału lub skóry (marki) skalą metrową

padun — lina mocująca stengę lub bramstengę ukośnie do tyłu, biegnąca od topu do burty

podwiązia wantowe — metalowe okucia przymocowane do szkieletu jachtu, do których przymocowuje się wanty

pokład rufowy — pokład na rufie, w tyle okrętu

poszycie — listwy drewniane (klepki), przymocowane do odpowiednich części szkieletu tworzą burty lub pokład statku

ref — część żagla, którą podwiązuje się reflinkami (linkami przyszytymi do żagla w 2—3 rzędach, służącymi do reflowania) w celu zmniejszenia powierzchni żagla (wziąć 1, 2, 3 refy — podwiązać żagiel 1, 2 lub 3 rzędami reflinek)

refować — zmniejszać powierzchnię żagla

reja — pozioma belka zawieszona w swym środku ciężkości na maszcie, na stałe lub

podnoszona i opuszczana, do której przymocowuje się żagle o kształcie zbliżonym do trapezu.

reling — 1. ażurowa bariera otaczająca pokład nie chroniony nadburciem (częścią burty wystającą ponad pokład); 2. górna listwa na nadburciu

rufówka — nadbudówka na rufie

rumb — 1. podziałka róży kompasowej wynosząca III^o stopnia (1/32 krta pełnego, dzielona z kolei na połówki i ćwiartki); 2. kierunek na róży kompasowej wyrażony za pomocą rumbów

saling — poprzeczne wiązanie, łączące stengę z bramstengą, stanowiące na dużych żaglowcach rodzaj platformy, wyzyskiwanej do obserwacji

schodnia — przenośny pomost łączący statek z nabrzeżem

sekstans (sekstant) — przyrząd do dokładnego mierzenia kątów przy określaniu pozycji statku metodami astronomicznymi

sonda — przyrząd do mierzenia głębokości morza

statek kabotażowy — statek kursujący pomiędzy portami jednego kraju lub w granicach jednego morza, a także i odległymi, ale wzdłuż brzegu morskiego w ustalonej od niego odległości

stenga — drzewce będące przedłużeniem kolumny masztu

ster (sterownica) w prawo (w lewo) — komenda do sternika, oznaczała dawniej zwrot okrętu w stronę przeciwną, tzn. ster (sterownica) w prawo — okręt wykona zwrot w lewo; ster (sterownica) w lewo — okręt zwróci dziób w prawo, komenda bowiem tyczyła kierunku wychylenia sterownicy, a nie płetwy steru i kierunku zwrotu [obecnie ster w prawo (lewo) oznacza zwrot okrętu w prawo (lewo), gdyż nie dotyczy kierunku wychylenia sterownicy (rumpla), lecz płetwy steru, a zarazem kierunku zwrotu dziobu okrętuj; dotyczy to zarówno małych łodzi, kiedy sternik bezpośrednio porusza sterownicą (albo rumplem), jak i większych okrętów (tu „Lydii”), kiedy sternik obraca kołem sterowym

stępka — denne wzdłużne wiązanie kadłuba od dziobu do rufy

strop — kawałek liny spleciony w koło

sztag — lina mocująca maszt (kolumnę, stengę) od strony dziobu w płaszczyźnie symetrii statku

szot — lina umocowana do bomu (lub dolnego, swobodnego rogu żagla), służąca do ustawiania żagla pod odpowiednim kątem do płaszczyzny symetrii statku

światlik — pryzmatyczne okno w „suficie” nadbudówki lub w pokładzie statku

takielunek — olinowanie statku

talia — zespół bloków z liną, pozwalający przy pracy z olinowaniem i podnoszeniem ciężarów na przykładanie mniejszej siły niż bez talii

tent — daszek z płótna żaglowego lub brezentu rozpinany nad pokładem dla osłony przed słońcem

top — szczyt kolumny masztu lub stengi

trap — nazwa wszelkiego rodzaju schodów na statku, prowadzących z jednego pokładu na drugi; także przenośnych pomostów (schodnia)

trawers — kierunek prostopadły do płaszczyzny symetrii statku, a także do jego kursu

trym — przegłębienie, różnica zanurzenia dziobu i rufy (przechylenie statku w stronę dziobu lub rufy)

trymować żagle — wykonać czynności, w których wyniku żagle nabiorą pożądanego kształtu, długości; trymowanie nowego żagla polega na nadaniu mu odpowiedniego wybrzuszenia, dopasowaniu listew, wyciągnięciu lików (krawędzi żagla), wygładzeniu fałd płótna

wachta — 1. okres, najczęściej czterogodzinny, pełnienia służby przez jedną zmianę załogi; 2. zespół ludzi tworzący zmianę załogi wanta — lina mocująca maszt lub stengę na boki

watersztag — lina takielunku stałego, łącząca nok bukszprytu (dziobnika) ze stewą dziobową (wiązanym kadłuba na dziobie, biegnącym od stępki do pokładu)

wręga — żebro kadłuba nadające mu poprzeczną sztywność; do wręg przymocowuje się poszycie burt

zawietrzna (burta, strona) — 1. burta osłonięta od wiatru; 2. strona, w którą wieje wiatr; przeciwieństwo do nawietrznej (burty, strony); odpowiednik zawietrznej — podwietrzna (burta, strona)

zęza — dno statku przy stępce dokąd ścieka woda, którą usuwa się przez pompowanie

zydwestka — nieprzemakalne okrycie głowy w postaci kapelusza związanego pod brodą, opadającego na oczy, uszy i kark

żagiel rozprzowy — czworoboczny żagiel skośny (podnoszony w płaszczyźnie symetrii statku), rozpostarty na rozprzy, czyli na drzewcu przebiegającym po przekątnej żagla, od dolnej części masztu do górnego rogu żagla

żurawik — urządzenie dźwigowe, mocne belki wygięte u góry dla zapewnienia wysięgu za burte

- [1] Stopa — ok. 30 cm (0,3048 m) (przyp. red.).
- [2] Karonada — stukalibrowe okrętowe i nadbrzeżne działo, używane w owym czasie głównie do strzelania kartaczami, pociskami o dużym rozrzucie kul stanowiących ich „nadzienie” (przyp. red.).
- [3] Uncja — tu jednostka masy równa 25,3—31,2 g (przyp. red.)
- [4] Jard — ok. 91,5 cm (0,9144 m) (przyp. red.).
- [5] Węzeł — jednostka prędkości statku, równa 1 Mm (mili morskiej) na godzinę (1,852 km/godz) (przyp. red.).
- [6] Kipiel — fale rozbijane o jakąś przeszkodę, np. skałę podwodną (przyp. red.).
- [7] George Anson (1697—1762) — admirał, reformator angielskiej marynarki wojennej. Odbił podróż dookoła świata na okręcie „Centurion” w latach 1740—1744. Wyprawa mało ważna pod względem geograficznym, przyniosła mu obfite łupy (przyp. red.).
- [8] diego — pogardliwe określenie latynosów (Hiszpanów, Portugalczyków i Włochów) w Ameryce, pochodzące od imienia Diego, Jakub; odpowiednik: fryc na Niemców (przyp. red.).
- [9] Mila — mila morska — 1852 m (przyp. red.).
- [10] Potosi — okręg największych kopalń srebra w Boliwii (przyp. red.).
- [11] Drzewo kampszowe — nazwa od stanu Campeche w Meksyku, skąd pochodzi najlepsze drewno; bardzo twarde i ciężkie, po ścięciu o kolorze brązowiofioletowym lub czarnym, służy do wyrobu cennych mebli, inkrustacji i do wyrobu parkietów (przyp. red.).
- [12] Koszenila — pluskwiak meksykański, z którego po wysuszeniu otrzymuje się karminowy barwnik do barwienia tkanin, mający również zastosowanie w wyrobie czerwonych i szkarłatnych farb malarskich oraz w cukiernictwie i kosmetyce, (przyp. red.).
- [13] Wyspy Zawietrzne — Leeward Islands, razem z Wyspami Podwietrznymi, Windward Islands, wchodzi w skład Małych Antyli. Wyspy te noszą w polskich atlasach odwrotne nazwy (przyp. red.).
- [14] Whitehall — nazwa ulicy w Londynie i siedziby biur rządu brytyjskiego (przyp. red.).
- [15] Sążen — 1,8288 m (przyp. red.).
- [16] Patio (hiszp.) — wewnętrzny dziedziniec w pałacach, willach i domach mieszkalnych, wyłożony płytami, porośnięty dekoracyjną roślinnością (przyp. red.).
- [17] Limona — gatunek drzewa cytrynowego i owoc (przyp. red.).
- [18] Tierra templada (hiszp.) — ziemia jałowa, spalona, twarda itp. (przyp. tłum.).

- [19] Pawpaw — flaszowiec z rodziny ananasów, przypominający smakiem banan (przyp. red.).
- [20] Guawa — hiszp. guayaba (guajawa), drzewo tropikalne, którego owoce (podobne do truskawek) służą do wyrobu galarety (przyp. red.).
- [21] Peon (hiszp.) — robotnik (przyp. red.).
- [22] Kanale La Manche (przyp. tłum.).
- [23] Bona fides (łac.) — dosł.: dobra wiara, dobra wola (przyp. tłum.).
- [24] San Salvador (hiszp.) (przyp. tłum.).
- [25] Junta (hiszp.) — nazwa organów rządzących w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej; w XIX w. rady rewolucyjne w czasie powstań, szczególnie przeciw Napoleonowi (przyp. red.).
- [26] Rozmyślnie opuszczono zdanie następujące po tej wypowiedzi kapitana, nawiązujące do jej zakończenia opartego na grze słów, dla której w polskim przekładzie trudno było znaleźć ekwiwalent, a która w oryginale ma następujące brzmienie: „... for your ladyship to join the ship”. A oto owo opuszczone zdanie: „The unhappy double mention of the word » ship « in this sentence did nothing to mąkę Hornblower feel less awkward”. — „Niezręczne dwukrotne wymienienie słowa »okręt« też nie zmniejszyło uczucia skrępowania, jakie odczuwał Hornblower” (przyp. tłum.).
- [27] Yomito negro (hiszp.) — żółta febra (przyp. tłum.).
- [28] Quis custodiet ipsos custodes? (łac) — Któż pilnować będzie samych strażników? (przyp. tłum.).
- [29] Mowa o poemacie Waltera Scotta „The Lay of the Last Minstrel”, pierwszym dziele autora licznych powieści (przyp. dum.).
- [30] W znaczeniu: „Dziękujemy Bogu za wszelkie klęski (itp.), jakie raczy nam zesłać...” — parafraza dziękczynnej modlitwy przed jedzeniem (przyp. tłum.).
- [31] Kabel — 1/10 mili morskiej (185,2 m) (przyp. tłum.).
- [32] Ket — rodzaj dyscypliny; kawałek liny zakończony dziewięcioma sznurkami opatrzonymi węzłami, używany dawniej do chłostania marynarzy i żołnierzy (przyp. tłum.).
- [33] Hornpipe — skoczny taniec, ulubiona rozrywka marynarzy na dawnych żaglowcach, tańczony w pojedynkę. Nazwa pochodzi od nazwy dawnego instrumentu przypominającego kobzę (przyp. tłum.).
- [34] Mahrattowie (Marathowie) — odrębna grupa etniczna Indii Środkowych, mówiąca językiem marathi, stanowiąca od 1650 r. silne państwo; z czasem rozpadło się ono, tworząc luźną konfederację, którą w latach 1803-1805 i 1816-1818 Anglicy rozbili (przyp. tłum.).
- [35] System kontynentalny — blokada kontynentalna, akcja ekonomiczna Napoleona przeciw Anglii

od listopada 1806 r. jako odpowiedź na angielską blokadę morską, skierowaną przeciw Francji.
Zakaz — pod groźbą konfiskaty okrętów i towarów — wszelkich stosunków między W. Brytanią a kontynentem europejskim (przyp. red).

[36] Guarda-costa (hiszp.) — strażniczy statek przybrzeżny (przyp. tłum.).

[37] Order Podwiązki — najwyższy angielski order szlachecki, Order Ostu — szkocki order szlachecki (przyp. tłum.).